

GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI

1881—1943



Od wczesnych lat młodości walczył o Polskę. Nigdy nie zdradził demokracji. Gdy po raz pierwszy stanął na czele rządu polskiego, krajowi przyniósł uspokojenie, odrzucił pokusy jedynowładztwa, uczył Polaków sztuki rządzenia. Po upadku państwa, polskie siły zbrojne zgromadził we Francji i stał się symbolem Polski walczącej. Wbrew małoduszny w chwili dla świata i Polski najtragiczniejszej podjął walkę po raz drugi — przychodząc tu na ziemię angielską.

Związał sprawę polską z Wielkimi Demokracjami, odbudował armię i wsławił ją. Widział przyszłość Polski w federacyjnym związku ludów i pierwszy podwaliny pod zgodną współpracę położył. Mądrością polityczną wiedziony związał Polskę z Czechosłowacją, zawarł pakt z Rosją niosąc ocalenie setkom tysięcy Polaków i utrwalając pozycję Polski wśród narodów sprzymierzonych. Zdobył przyjaźń i zaufanie wielkich przewodców demokracji. Dla tych którzy cierpią w Kraju imię jego było i nadzieją i wiarą i miłością. Liberatorski na którym lądy i morza przemierzał spłonął w pobliżu Gibraltarskiej skały. Niedanym mu było aby jako Oswobodziciel przyniósł do Kraju sztandary zwycięstwa. Niedanym mu było odpocząć na ziemi ojczystej po trudach ciężkich, po pracy ofiarnej, wiernej.

OBÓZ ŚMIERCI

(zbiór relacji zebranych i ogłoszonych drukiem w Kraju)

Ale Ty, Boże! który z wysokości
Strzały Twe rzucasz na Kraju obrońce,
Błagamy Ciebie, przez tę garstkę kości!
Zapał przynajmniej na śmierć naszą — słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy!
Niechaj nas przecie widzą — gdy konamy!

J. Słowacki

Od dwóch lat Oświęcim — urzędowo Auschwitz — jest nazwą, symbolizującą ponurą rzeczywistość polskiego życia pod okupacją niemiecką. Cień Oświęcimia pada na całą Polskę; najdalsze zakątki naszego kraju oddały jego kaźni swych synów i córki. Według zebranych i sprawdzonych informacji do lipca 1942 r. 125 tysięcy osób przeszło obóz. W ciągu całego czasu istnienia obozu niespełna 7 tysięcy osób zostało uwolnionych w tej liczbie 12 osób uratowało się ucieczką, lub przeniesionych do innych obozów.

W lipcu r. b. w obozie pozostawało żywych 24 tysięcy mężczyzn i kobiet, zginęło więc w kaźni oświęcimskiej 94 tysięcy ludzi.

Prócz obozu oświęcimskiego istnieje cały szereg obozów, założonych nieco później; w Treblince, Bełżcu, a w ostatnim roku w każdym niemal okręgu administracyjnym. Życie w tych obozach jest równym piekłem jak w Oświęcimiu. Tu jednak metody okrucieństwa zostały doprowadzone do najwyższego szczytu i stosowane w całej swej różnorodności.

Dość długo tajnia zupełna kryła mękę Oświęcimia. Kto wpadał w jego matnię — ten zabierał okrutne dzieje swych ostatnich kroków ziemskich bezpowrotnie. Początkowo zjawiały się jeszcze listy, obce i skąpe, bo pisane przepisowo po niemiecku i niemiecką ręką obcinane, póki prócz urzędowych słów „ich bin gesund” nie zawierały żadnej prawie treści; potem zazwyczaj przychodziły dobitniejsze znaki: ubranie, na nic już nie przydatne doniedawnemu jego właścicielowi, zawiadomienie oficjalne o dacie jego śmierci i zapytanie czy rodzina życzy sobie odebrać prochy zmarłego. Nieraz od chwili otrzymania własnoręcznie wypisanego świadectwa „ich bin gesund” do chwili nadejścia zawiadomienia o śmierci upływało zaledwie kilka dni. Nieraz wielomiesięczna cisza wypełniała lukę między złudną otuchą ukochaną własną ręką, żywą ręką nakreślonych liter a przerażającą prawdą zawartą w małej skrzynce prochów.

W nienawidzonym „Kurierze Warszawskim” zjawiać się zaczęły między zwykłymi osobliwe nekrologi: „Nabożeństwo żałobne za duszę zmarłego odbędzie się jutro, o dniu pogrzebu nastąpi zawiadomienie po nadejściu drogich prochów”.

Nieraz cała szpalta piśmidła, które pod osłoną powagi śmierni mogło być użyte jako pośrednik wieszczący poufnie zakończenie jakichś mąk w Oświęcimiu, czerniała pod rząd dziwnymi klepsydrami. Ale tak powściągliwa wymowa zdała się być zbyt wyraźnym zdradaniem tajemnicy Oświęcimskiej: wprowadzono zakaz umieszczania zbyt przejrzystych zawiadomień. Odtąd już wyraz „prochy” przestał ukazywać się w nekrologach: podawały one jedynie termin śmierci dziwnie dawny w zestawieniu z bieżącą datą pisma. I tylko z niewinnych danych, że rodzina zawiadamia o

śmierci kogoś najukochańszego z niepojętą opieszałością można było odcyfrować, gdzie zmarły zakończył życie.

Zbrodnię swą chciał okupant całkowicie ukryć. Ale zaczęły jednak przenikać wieści z Oświęcimia. Z początku głucho pogłoski, potem coraz bardziej konkretne wieści, wreszcie tajemnica obozu śmierci została odsłonięta. Ukazało się już nawet kilka publikacyj, zawierających fragmenty tragedii oświęcimskiej. Dodajemy dziś do nich zebrane przez nas materiały. Wciąż jeszcze szeroki ogół naszego społeczeństwa nie zdaje sobie sprawy czym jest Oświęcim. I my tutaj i cały świat muszą mieć możliwie pełny obraz.

Autor skrupulatnie sprawdzał każdy podany szczegół. Unikał starannie jaskrawych barw, a nawet silniejszych wrażeń, chcąc, by same fakty mówiły. Ujawniła się w ten sposób okrutna prawda obozowego życia, prawda rozszalałego sadyzmu, obmyślonej we wszystkich szczegółach tortury, system zracjonalizowanego okrucieństwa, który w swych trybach miażdży ciało i dusze ludzkie.

Bodaj najstraszniejszym obrazem, jaki wyłania się z tych kart jest osiągnięcie przez system obozowy w wielu wypadkach zniszczenia w człowieku wszelkiej więzi społecznej i sprowadzenie jego życia duchowego do przepojonego lękiem jedynego pragnienia: o dzień, o godzinę choćby przedłużyć istnienie. Te karty pozostaną najstraszniejszym bodaj oskarżeniem systemu, który stworzył Oświęcim.

Okrutna jest ta prawda, może powstanie wątpliwość, czy trzeba uświadamiać ją społeczeństwu. Sądzymy, że tak. Wiemy, że walczymy o samo istnienie naszego narodu. Musimy mieć pełną świadomość, czym jest nasz wróg a istotę jego wyraża w całej pełni Oświęcim.

1. Ł a p a n k i.

U wylotu jednej z ulic warszawskich przystanęły dwa ciężkie auta, rzucając złowrogi cień wzdłuż milczących kamienic. Zatrzymujące się auto — o ile służbowe miejskie, czy firmowe polskie — zawsze budzi lęk. Bo to zazwyczaj albo Gestapo albo żandarmeria przystępuje do codziennych czynności. Tym razem jednak widocznie omyłka: zwyczajnie coś się zepsuło w motorze. Z wielkiego pudła wozu wyskakuje jakiś bliżej nieokreślony cywil, w rękoma niewinne narzędzia do naprawy maszyny. Kolega z sąsiedniego wozu wybiega uczynnie, by pomóc w reparacji.

W tem obaj szoferzy zaprzestają majstrowania przy maszynie, która jest tak samo zresztą, jak i była przed chwilą w zupełnej sprawności. Wozy błyskawicznie stają w poprzek jezdni, zupełnie nieprzepisowo tarasując wylot ulicy. Zamykają ją szczelnie, gdyż lukę między samochodami wypełniają wysypujący się z ich wnętrza umundurowani, uzbrojeni Niemcy. Ogarniają pożądlivym wzrokiem, jak myśliwi zwierzynę, biegnącą nieprzytomnie gromadę ludzi. Ludzie uciekają z łozysk sąsiedniej ulicy, którą przecięła u jej źródła przy placu inna, w równie podstępny sposób zbudowana tama. Znaleźli się w jednej z pułapek, których setki zastawił Niemcy tego dnia w Warszawie: na głównych arteriach miasta i mniejszych ich rozgałęzieniach, w szerokich alejach i wąziutkich zaułkach, w śródmieściu, na Woli, Mokotowie, Żoliborzu... we wszystkich krańcach i w samym sercu miasta.

Tramwaje natłoczone podwójnie, wydawały się bowiem przed chwilą jeszcze bezpiecznym schronieniem, zatrzymano, otoczono. Wyglądają teraz jak mniejsze potrzaski, uwieńczone w gigantycz-

nym sidle ulicznym. Już grasują po czerwonych klatkach tramwajowych zielonawo-szarzy myśliwi: wyciągają mężczyzn i wloką pod mur pobliskiej kamienicy, gdzie stłoczono w oka mgnieniu dziesiątki, setki przerażonych, nic nie rozumiejących przechodniów. Nie wiadomo jeszcze jaki cel ma dzisiejsze polowanie na ulicach Warszawy, czy to chodzi o siłę mięśni polskich, by ją wnieść w okupacyjnym wianie gospodarstwu rolnym czy fabrykom Heimatu, czy też urządzono wymyślne zasadzki, by usidlić, przetrzebić poprostu, wciąż żywą jeszcze siłę narodową polską.

W oczach złapanych ludzi trzepocze się niepokój, bo przecież naraz zostali oderwani od swych codziennych zajęć, odsunięci od źródła radości i serdecznych trosk o najbliższych; w oczach ludzi postawionych nagle pod murem kamienic rodzimego miasta pełga nadzieja, bo przecież chodzi tu zapewne o jakieś dorywcze roboty w koszarach czy podmiejskich fortyfikacjach, co za parę godzin, czy dzień pozwolą wrócić do domu; w oczach ludzi zagarniętych potworną łapą najeźdźcy iskrzy się postanowienie odzyskania wolności, bo przecież musi się nadarzyć możliwość ucieczki!

Nie wiedzą jeszcze ci, w pierwszej partii upolowanych w sierpniowy ranek 1940 roku na ulicach Warszawy — że przeznaczeni są na łup Oświęcimia, że mają powiększyć kadry niedostatecznie licznych jeszcze „kolonistów“ obozu, że wracać z niego będą masowo, choć nie jednego dnia, jako przesyłka urzędowa zawierająca garść prochów.

Tymczasem olbrzymi łup, kilkunastotysięcznogłowe trofeum ludzkie ładują Niemcy do ciężarowych aut i odwożą w stronę Pragi. Warkotom naładowanych wozów towarzyszą bolesne i mściwe zarazem westchnienia tych, co ominęli szczęśliwie sidła: przeważnie kobiet i dzieci. A gdy odprowadzają przerażonymi oczyma wydartę przed chwilą miastu ofiary, widzą jeszcze lot maleńkich papierków, sfruwających ukośnie na jezdnię z jęczącego auta. To kartki rzucone ukradkiem rękami więźniów z nakreślonymi naprędce słowami „złapali mnie na ulicy“ i wskazówką, gdzie mają być doręczone. Tak bronią się porwani przed bezimiennym zagięciem.

Kartki opadają na ziemię. Zbierają je z nabożną troskliwością ludzie zostawieni na wolności i odnoszą według przeznaczenia: rodzin lub przyjaciół ludzi, upolowanych dzisiaj w dżungli wielkiego miasta.

W rozległym fabrycznym gmachu na Skaryszewskiej można próbować uwolnić się z sideł. Urzęduje tam jakiś mundur, jakaś szarża która nie wyjaśnia, za co i poco porwano w biały dzień zwykłego przechodnia jak przestępcę, ale przegląda podawane drżącymi rękoma dokumenty i wyrokuje: puścić — zatrzymać. W nielicznych wypadkach papier ma moc przywrócenia wolności; zdarzyło się, że porwano motorniczego tramwaju, pracownika gazowni, czy szpitala. Wolni!

O zatrzymaniu natomiast rozstrzyga wiek — przeważnie młody lub dojrzały, wygląd — raczej dziarski i żywotny, wreszcie wszechpotężne widzimisię gospodarzy polowania.

Dzień jest pogodny, ciepły. Któż wychodząc podczas takiej pogody na kilka godzin do biura, fabryki, szkoły, na chwilę po paczkę papierosów, po lekarstwo z pobliskiej apteki, czy do telefonu w narożnej cukierni ubiera się ciepło, zaopatruje się w sweter, płaszcz, żywność, pieniądze.

Wieczór przynosi zwykle ochłodzenie, noc przejmuje dresz-

czem prawie wszystkich więzionych, nie mających na sobie często-
kroć nawet marynarki i oszczędzających — wojenną modą — skar-
petek. Konfrontowanie ludzi z ich przeważnie bezużytecznymi
papierami trwa długo, przenosi się na dzień następny. Noc ofiaro-
wuje w darze bezsenne czuwanie na podłodze fabrycznej; dni
pierwszy i drugi — zamraczające myśl pragnienie i niecierpliwy,
podhodowany już poprzednio na namiastkach głód.

Dalsze wyczekiwanie na ukończenie łowów i na doprowadzenie
ofiar łapanki do oznaczonej z góry liczby odbywa się na niezupeł-
nie gołej, bo zanieczyszczonej nawozem końskim ziemi ujeżdżal-
ni na Łazienkowskiej. Wreszcie po niezliczonych godzinach spęd-
zonych bez snu, wody, żywności, ładują Niemcy uwięzionych do
samochodów, odwożą na dworzec i wrzucają do szczelnie zaraz za-
mykanych wozów bydłych.

* * *

Łagodnym imieniem „łapanki”, brzmiącej jak nazwa beztro-
skiej zabawy dziecięcej, ochrzczono u nas owo bezprzykładne po-
rywanie niewinnych — nawet w oczach samych prześladowców —
ludzi z ulic, tramwajów, pociągów, kawiarni, wreszcie domów.
Ale właśnie może poprzez lekkość słowa przebija twarda nieustęp-
liwość, zuchwały hart polski, kpiący z wroga nawet w obliczu tak
straszliwych nierównych zapasów.

W następnym zaraz miesiącu, zaledwie stolica ochłoneła tro-
chę po dzikim polowaniu na ludzi, odbyła się druga, na olbrzymią
skalę zakrojona „łapanka” upamiętniona mianem „wrześniowej”,
której ofiarą padły Żoliborz, Kolonia Lubeckiego i Wola, otoczo-
ne lasem karabinów maszynowych i zwartym rojem uzbrojonych
naganiaczy. Już nietylko otwarta ulica, ale własny zamknięty
dom przestał być schronieniem: ludzi wywlekano z mieszkań, za-
bierano z miejsc pracy.

Okrutnym echem rozbrzmiewają „łapanki” na lubelszczyźnie,
w radomskim, kieleckim: rozsiewają się w przestrzeni, ogarnia-
jąc cały znękany bezmiernie, wysysany z żywych sił Kraj; rozta-
czają się w czasie, znacząc to coraz inne kartki kalendarzowe no-
wością upiornych dat.

2. Z n a k i z y c i a .

Tuż u granic wielkiej Warszawy, tam gdzie rozchylają się pod
coraz większym kątem tory kolejowe, w pobliżu szyn leży niewiel-
ki młotek, zgubiony na odludziu, może nie bardzo zdatny do użyt-
ku gdyż trzonek jego owinięty jest mocno szpagatem, ściągają-
cym pęknięcie, które biegnie wzdłuż całej długości.

Po pracy w nocnej zmianie wraca do domu stary robotnik.
Jest zmęczony, skróci więc sobie drogę przecinając tory.

Nie warto się nawet schylać — myśli, gdy oczom jego nasuwa
się obraz leżącego bezużytecznie młotka.

Ale przymocowany na końcu sznurka kolorowy papierek prze-
łamuje niechęć do starego grata, budzi nawet iskierkę zaintere-
sowania. Robotnik schyla się, podnosi pęknięty, zmocowany szpa-
gatem młotek. Zwinięty w rulonik kolorowy papierek — zabaw-
na rzecz — jest prawdziwą pięciozłotówką, która po rozprostowa-
niu ukazuje kilka jeszcze wsuniętych w nią banknotów.
Wszystkie razem tworzą sumę 30 złotych. Robotnik przygląda
się uważnie banknotom: są nieco zroszone, mocno zmięte, ale
prawdziwe, niefałszowane.

Zabawny żart: Przecież niewiele brakowało żeby wymiął

obojętnie zepsuty młotek wraz z pieniędzmi, co to istotnie mogą poprostu leżeć na drodze. Dziwne to wszystko i chyba coś musi znaczyć. Robotnik obraca młotek na wszystkie strony, wreszcie jak gdyby coś zrozumiał: trzonek nie pękł sam, został rozmyślnie rozłupany.

Odwija gorączkowo spiralę szpagatu, uwalnia drzewo z objęć żelaza. Trzonek rozchyła się gwałtownie. Z wydrążonych świeżo ścianek wysypują się maleńkie papierowe ruloniki. Stary robotnik rozwija jeden z nich i czyta:

„Błagamy znalazcę o natychmiastowe doręczenie załączonych kartek według podanych adresów. Jesteśmy złapani wczoraj na ulicach Warszawy. Obecnie wiozą nas, nie wiemy dokąd. Załączamy 30 złotych na kosztą przejazdów. Młotek wyrzucamy przez otwór wagonu. Błagamy o pośpiech.”

Robotnik nie śpieszy już do domu. Siada na wale i układa pośpiesznie kartki. Tu Praga, tu Powiśle, okolica Mokotowa, Żoliborz. Robi to sprawnie niby doświadczony pocztowiec. Poczem nie zwłószcząc ani chwili, zawraca w stronę miasta, siada do tramwaju i rozpoczyna swą misję osobliwego listonosza. Zjawia się w różnych mieszkaniach — wielookiennych pokojach, podniebnych klitkach, przyziemnych izbach, gdzie wszędzie jednaki rozgościł się niepokój, przybywa jako zwiastun — nie wiadomo — życia, czy śmierci, bo choć znak od żyjącego jeszcze przynosi, ten zdąża może do bram Oświęcimia.

Wielu z pośród powiadomionych chce pomóc zmęczonemu, w dalszym roznoszeniu straszliwej nowiny. Ale stary człowiek upiera się, że musi wszystkie kartki doręczyć osobiście. Przecież to w jego ręce los złożył młotek o trzaśniętym trzonie.

Aleję Szucha — główne legowisko Gestapo — oblegają tłumy: są tam i ci, których dobiegły jeszcze na ulicy rzucone kartki, i ci, których odwiedził znalazca wydrążonego młotka, i ci wreszcie, co bez słów wyjaśnienia zdołali sami zrozumieć ponurą wymowę przedłużającej się nieobecności domownika.

Ale Gestapo nie udziela żadnych informacji. „Proszę przyjść za dwa tygodnie, za miesiąc”. Poczta oświęcimska będzie nieraz uczynniejsza, udzieli wiadomości pod postacią listu od Schutzhäftlinga numer taki a taki.

3. W drodze.

Tym samym gorączkowym ruchem, jakim stary robotnik kręcał na wale kolejowym trzonek młotka z powijaków szpagatu, oplątywały go poprzedniego dnia rozdygotane ręce stolarza, jego właściciela, a sto par oczu współtowarzyszy podróży z niepokojem i nadzieją śledziło każde okręcenie sznurka.

Łapanka ogarnęła stolarza w chwili gdy szedł ulicami Powiśla ze skrzynką swych narzędzi pod pachą.

„Komm, Komm” — wyrosłego z za węgła Niemca i groźny manewr karabinem przerywa codzienną marszrutę. Silne pchnięcie kolby włacza stolarza do zaludnionego już samochodu.

Dobry majster zawsze dba o swe narzędzia. Stolarz przyciska mocno swą skrzynkę do boku. Nie rozstaje się z nią ani na Skaryszewskiej, ani w Ujeżdżalni. I teraz, gdy wraz z dwustu innymi zamknięto go w półciemnym wagonie kolejowym, sprawdza odruchowo, czy nic złego nie przytrafiło się narzędziom.

Mało komu udało się dotychczas przemyścić wiadomość do rodziny. Nie wiadomo też, czy rzucone na ulicy kartki trafiły do

odpowiedzialnych rąk, czy dotarły na miejsce przeznaczenia. Małeńkie szparki żaluzji wentylatorów tuż pod dachem wagonu przepuszczają nikłą smużkę światła, przesącza się przez nie zaledwie odrobina powietrza, nie sposób jednak przecisnąć tamtędy kartki papieru. I oto nie wiadomo w której z zamroczonych wypadkami głów rodzi się pomysł zużytkowania stolarzowej skrzynki. Znajduje się między innymi świder do borowania otworów w drzewie, młotek. Za chwilę gdy pociąg rusza i nikogo na straży nie ma w wagonie w podłodze pojawia się otwór, zwiększający się za każdym obrotem żądła boru. Już jest dostatecznie duży, by przesunęło się przezeń inne narzędzie ze skrzynki. Niby rozbitkowie na bezludnej wyspie, co powierzają wieść o swym straszliwym losie rzuconej do morza butli, porwani na ulicach milionowego miasta ludzie wysuwają przez wywiercony otwór swe żałosne SOS ukryte w otworze młotka.

Pociąg sunie leniwie. Ociężały, rozwlekły rytm kół świadczy, iż lokomotywa ciężko pracuje, że wlecze conajmniej kilkadziesiąt naładowanych wagonów. W każdym znajduje się po 100 — 120 ludzi. Już żaden z nich nie szczeka zębami jak ubiegłej nocy. Przeciwnie wszystkim jest gorąco. Spocone ciała przylegają szczelnie do siebie. Znikąd nie można się spodziewać najmniejszego podmuchu. W bydlęcych wagonach nie ma okien, drzwi zaś są mocno zaryglowane od zewnątrz. Trudno też wciąż stać bez możliwości oparcia, w bydlęcym wagonie nie ma przecież ławek. Po chwilach podniecenia przy przewożeniu na dworzec, ładowaniu do wagonów, gdy jednostajność ruchu pociągu uświadamia, iż w ciągu wielu godzin nic się w sytuacji nie zmieni — zaczyna nękać pragnienie, widok przejeżdżających stacji przypomina zastawione bufety i roznoszoną przez chłopców lemoniadę.

Nieznosne pragnienie usiłuje zagłuszyć udręka głodu. Od wyjścia z domu — kiedy to było? upłynęło 48 godzin. Samego napięcia nerwów nie wystarcza już, by zapomnieć, że chce się straszliwie pić, że niewypełnione kiszki skręcają się niesamowicie.

Dokuczliwym jest niezmiernie wrażenie braku w ciele, ale jakże nieznośne w tych warunkach daje się we znaki poczucie nadmiaru. W wagonach bydlęcych nie ma ubikacji dla załatwienia potrzeb fizjologicznych. Ludzie muszą radzić sobie — jak bydlęta. Po długich godzinach drogi kątek podłogi wagonu pokrywają cuchnące ekskrymenty i kałuże moczu. Robi się coraz bardziej gorąco i coraz okrutniej duszno. Niekażde płuca potrafią oszczędnie używać mikroskopijne dawki powietrza, niekażde serce radzi sobie w ohydny zaduchu. Zanim ładunek ludzki przybędzie wreszcie na stację przeznaczenia, po kilka osób w każdej niemal cuchnącej skrzyni wagonu straci przytomność. Cucić ich niepodobna, w wagonie bydlęcym bowiem nie ma okien, drzwi zawarto rygłem zamku, widniejące zaś pod sufitem spary wentylatorów przesączaają aptekarskie dozy powietrza.

Godziny, czyż dni podróży — trudno poddać mierze czas wypełniony jednostajną udręką — wloką się jak niedobry sen, który wola nie potrafi przerwać. Przebudzeniem z koszmaru będzie rozwarcie ciężkich drzwi i wyjście na powietrze. Tymczasem trzeba poddać się ospałemu klekotowi kół i starać się nie myśleć, nie czuć, nie wspominać i nie przewidywać. W bezruchu upiornej ciasnoty wagonowej można tylko trwać.

Naraz pociąg przystaje. Przystaje nie na stacji. Zatrzymuje

się w pustyni, bezludnym polu, obrzeżonym rzadkim pasem krzaków. To w końcowym trzonie wielowagonowego pociągu trzem ludziom udało się przerwać obłądny sen. Zdołali rozwalić ciężkie drzwi podczas biegu pociągu, nabrali do płuc ostrego powietrza i zamroczeni nim, jak pijani szaleńcy wazyli się rozpocząć ucieczkę. Lokomotywa dyszy coraz wolniej, ustaje buczenie kół. Ciszę sennego pola zamąca inny odłós: trzykrotna salwa karabinowa. Trzech więźniów kończy rozpoczętą ucieczkę w pobliskich krzakach, ale już nie w pozycji biegnącej: przygwożdżone kulami eskortujących żandarmów ciała ich rozpościerają się płasko na dalekich błoniach zamiejskich. Pociąg nie rusza jednak dalej. Stoi jeszcze godzinę. Czasu tego wystarczy by żandarmi dobiegli do pobliskiej wioski, porwali z chat trzech chłopów, popędzili ich w stronę toru i wsadzili do tego samego wagonu, skąd dopiero co ruszyło po wolność trzech śmiałków. Złapani we wsi chłopcy dopełniają brak w okrągłej liczbie ofiar przeznaczonych na żer Oświęcimia.

Lokomotywa westchnęła głośno raz, drugi, trzeci. Ruszyła. Ciągnie dalej swój ciężki wyrównany ładunek.

4. Gimnastyka.

Partia przywiezionych dzisiaj do obozu ludzi dygoce z zimna — dziwnie dżdżysta, ponura jest druga połowa tegorocznego podgórskiego sierpnia. Chęć snu lub bodajby ułożenia ciała w poziomej pozycji walczy o pierwszeństwo z mdłym poczuciem głodu — po dwóch dniach podróży w nieprawdopodobnej ciasnocie bydłowego wagonu organizmy domagają się najskromniejszego odwetu: wiązki słomy i kawałka chleba. Ale zarządzenie władzy obozowej nakazuje dla nowoprzybyłych parogodzinną gimnastykę. Dozorcy wołają: „Biegiem! Biegiem!”

Bieg jednokierunkowy wokół wyżwirowanego dziedzińca, szybki i jednostajny. Pierwsze okrażenie rozgrzewa wprawdzie bose stopy, ale przy drugim zaczynają one piec, trzecie nasuwa kapryśne wyobrażenie błogiej zieleni trawy lub pary butów. Pieczenie przemienia się w wyraźny ból. Ostra wyżwirowana powierzchnia praży, jakgdyby stanowiła przykrywę jakiegoś olbrzymiego, rozpalonego pieca. „Biegiem, biegiem”. Początkowo szturchańce zadane ręką dozorczy pobudzają do następnych okrażzeń, potem uderzenie tęgim kijem wymusza dalszy bieg w koło. Każde zetknięcie (a jest ich 150 na minutę) bosych stóp z ostrym żwirem parzy, kłuje, gryzie. Oczy wypatrują bezskutecznie gładszych wysepek na kamienistym morzu dziedzińca. Zresztą nie wolno wysuwać się z szeregu. Właśnie jednemu z biegnących, który nieostrożnie wykroczył nazewnątrz koliska, dozorca podstawił nogę: przewrócony więzień leży maleńką chwilkę, w następnej już kij oprawcy zrywa go na równe, uginające się z bólu nogi.

Tam znów któryś — chyba najstarszy wiekiem w przybyłej partii zwolnił tempo, wygląda jakby chciał przerwać na chwilę ten obłąkany bieg, oderwać bose stopy od coraz straszliwszego natarcia bezlitosnych, kamienistych bryłek. Wściekle walnięcie kijem po plecach nadrabia stracony czas: więzień biegnie dalej. Serce wali, wprawiając w dodatkowy stukot jeszcze jakieś młoteczki w skroniach, oczach, szyi. A nogi zdają się obrastać jakimiś zbitymi poduszkami, otaczać twardymi wałkami, których

każde zetknięcie się ze żwirem wywołuje tysiące ukłuć rozpalonych igiełek.

Wreszcie bezlitosne kamyki zaczynają się odmieniać: oto zrózowiły się zlekka: brunatną, wyżłobioną biegiem ścieżkę podwórza obozowego barwią już krople krwi, spływające z pędzących i popędzanych bezustanku nagich stóp.

Od tej chwili żwir i nogi upadabniają się wzajem coraz bardziej — brunatną surowość kamienia ożywia purpura krwi ludzkiej, blada różowość skóry dojrzewa powoli do czerwieni...

Bieg wciąż w jednym kierunku trwa nadal, całe już ciało rozżętnia się niezliczoną ilością pulsujących młoteczków, oddech nie darzy zwykłą bezwiedną rozkoszą, zda się być raczej bolesnym wbijaniem długiego ostrza w piersi. Ażeby przestać wbijać to ostrze, trzeba zaprzestać poruszania nogami; zresztą nie wiadomo już, czy to wświdrowujące się w stopy ukłucia sztyletują powietrzem klatkę piersiową, czy też odwrotnie okrutny ból piersi rozpryskuje się w tysiące szpilek, przebijających stopy.

Niekiedy dla niektórych przychodzi chwila ukojenia. Z przed oczu nikną gładkie i śpiczaste główki kamieni, milknie rozżętniony dzwon serca, cichną młoteczki pulsu; biegnący zemdłał. Wówczas na szlaku setek krwawych bosych stóp zjawia się jedna para tego obuta. Dozorca zbliża się do zemdlonego i ciężkim buciorem, który sprostałby oporowi żelaza nietylko kamieni, naciska pierś leżącego bez przytomności więźnia. Jeśli ten zabieg nie skutkuje, wleczce omdlałego pod pompę i polewa strumieniem lodowatej wody.

Jest jeszcze jeden sposób haniebnie dziki, stworzony w niemieckiej szkole sadystów, zemdlonemu przywraca się przytomność przez włożenie drążka do otwartych przemocą ust i wprawienie go następnie dłonią w ruch obrotowy.

Jednorazowe czy nawet parokrotne omdlenie nie zabezpiecza przed dalszą torturą; trzeba biegać dalej krwawiącymi stopami po purpurowym miejscami żwirze.

Wreszcie zarządono nowe ćwiczenie: obrót w kółko, dokoła osi własnego ciała. Wirują w podwójnym wirze twarze kolegów, tańczą czerwone bloki baraków, szum w głowie przybiera kolisty kształt i mdły posmak. Przy tym ćwiczeniu utrata przytomności przychodzi szybciej, częściej zostaje przywracana, więcej pracują buciska dozorców, głośniejsze skrzypią pompy, gęstsze wydobywają się jęki z przemocą otwieranych drążkiem ust ludzkich.

Na zakończenie „ćwiczeń gimnastycznych” inne odmienne, bardzo spokojne, nie męczące głów, nie mające nic wspólnego z kołem. Proste na pionowej linii oparte. Oto szereg obleczonych w niebiesko-białe drelichy ciał męskich przykucnął i zastygł na komendę w bezruchu. Ćwiczenie polega na wytrzymaniu w przysiadzie. Naprężone do ostateczności poprzednim biegiem nogi dygocą, poraniona skóra pod palcami nie wytrzymuje już nacisku całego ciała, kolana zaczynają drżeć. Dozorcy ryczą ze śmiechu; istotnie jakżeż to szatańsko groteskowy widok: te trzęsące się nogi z pochylonymi nad nimi pobladłymi z bólu, zdumienia i wściekłości twarzami. Walnięcie kijem po niesfornych, wibrujących febrycznie kolanach, przywołuje do porządku ćwiczących. Spokój! Wytrzymać w przysiadzie! Jeszcze kilka wolnych przysiadów i proporcjonalna ilość omdleń. Oddział udaje się na obiad, znacząc krwawo drogę po stopniach schodów baraku.

Opatrzeć nóg nie ma czym. Na sobie i przy sobie więźniowie

mają tylko drelichy. Tych podrzeć na pasy nie można. Któryś znalazł kawałek papieru, posługuje się nim jak bandażem. Ale krew szybko przemacza papier i sączy się dalej.

Przy jutrzejszych ćwiczeniach pęknięcia stóp pogłębią się, pojutrze zaczną ropnieć. Bardziej pomysłowi — szczęściarze zmagają się w następnych dniach coś w rodzaju sandałów ze znalezionych cudem złamków deseczek, skrawków tektury, kawałków sznurka. Ale rany już się nie zagoją, będą nadal ropiały; nieczyste ślady będą znaczyły kroki więźnia aż do końca jego dni oświęcimskich, staną się tylko mniej widoczne, ropa ma bowiem odcień brunatno-szary, jak żwir rzeczny.

5. P s y.

Niemcy lubią popisywać się swym sentymentem dla zwierząt. Zwłaszcza psy darzą osobliwym przywiązaniem. Przy rekwizycjach na wsiach nigdy prawie nie omieszkają poklepać obcego, kudłatego Burka, lub nawet poczęstować go zagrabioną gospodarczy słońciną; ta sama ręka, która przeszła dopiero co bagnetem nieszczęsnego handlarza, co prznosił z za Buga woreczek żyta, czy ćwiartkę kartofli, głaszcze po chwili w lubością swego ulubionego psa, pomocnika w przygranicznych obławach. Jest kilka takich psich pieszczołów i w Oświęcimiu. Jeden — śliczne wielkie wilczyisko zażywa codzien ze swym panem przechadzki na przestrzeni, zawartej pomiędzy odrutowaniami głównego obozu a zabudowaniami gospodarskimi. Właściciel pięknego psa może poszczycić się urodą. Jest młody, zgrabny, bardzo mu do twarzy w obcisłym, doskonale zaprasowanym mundurze ss-mana. Różowe, jasne oblicze zdobi zazwyczaj uśmiech, który śmiało należy nazwać przyjemnym. Zwierzę jest doskonale wytresowane, czujne na każdy rozkaz. Chodzi posłuszenie przy nodze pana, skacze wysoko, gdy pan da odpowiedni znak ręką, aportuje.

Pomiędzy drucianymi ogrodzeniami w pewnych godzinach wzrasta ruch: oddziały więźniów odmaszerowują do pracy daleko poza obóz, wracają inni, niektórzy znów pracują przy zabudowaniach gospodarskich — stajniach, oborach, królikarniach, w magazynach. Codziennie też z głównej bramy o jakiejś godzinie wytacza się popychany przez więźniów wóz z trumnami; to odwożą do pobliskiego krematorium świeżo zmarłych więźniów. Po pewnym czasie wóz toczy się w odwrotnym kierunku: puste już trumny jadą po nowy towar.

Zarówno pies jak i pan śledzą uważnym wzrokiem codzienne widoki obozowe, ale podczas, gdy pierwszy zdaje się poprzestać na zwykłej sumie wrażeń, przystojnego ss-mana o sympatycznym uśmiechu najwidoczniej nuży ich jednostajność. Ucieka się do wymyślniejszej zabawy z psem ulubieńcem.

Upatrzył cel: jakiś starszy więzień niesie wiadro z wodą, wiadro cięży mu widocznie, gdyż idzie zwykłym krokiem, nie usiłując nawet demonstrować żądanej tutaj gorączkowości pośpiechu. Wiadro z wodą waży 10 kg, więzień zaś 45. Stosunek jeden do czterech i pół. Przed dwoma miesiącami jeszcze, a było to tuż przed przybyciem do obozu, stosunek ten wynosił jeden do siedmiu. Zmieniła się oczywiście nie waga kubła z wodą, tylko człowieka. Więc właśnie te brakujące dwadzieścia pięć kilogramów żywej wagi ludzkiej nie pozwalają więźniowi na brawurowy marsz pod pilnującym wzrokiem władzy.

Miękkim choć stanowczym głosem, pan rzuca psu jakiś rozkaz.

Trudno zrozumieć dokładnie niemiecką komendę: przełożoną na polski — nazywa się poprostu szczuciem. Pies biegnie szalonym pędem w kierunku więźnia, rzuca się na niego całym ciężarem swego doskonale odżywionego cielska, wpija zęby w udo człowieka i czeka dalszych rozkazów. Wiadro wypada z rąk napastowanego, ręce instynktownie unoszą się dla osłonięcia głowy, z otwartych ust wyrывa się okrzyk przerażenia. Usta przystojnego ss-mana układają się we właściwy mu sympatyczny uśmiech, potem odwołują psa. Grzeczne wilczyisko ciska ofiarę i wraca posłusznie. Ręka Niemca pieszczotliwym poklepywaniem po psim łbie daje wyraz dobrem uczuciom, jakie żywi pan dla czworonożnego przyjaciela.

W ciągu dnia porucznik kilkakrotnie sprawdza inteligencję swego psa na przechodzących w polu jego widzenia więźniach. A rany szarpane, bolesne rany zadane białymi, lśniącymi zębami doskonale utrzymanego czystego psa nie chcą się potem goić, ślimaczają się tygodniami, miesiącami, jak każde zresztą najblaszsze nawet zadraśnięcie. W Oświęcimiu rany się nie goją.

* * *

Podczas wielkiej ulewy zatkał się kanał odpływowy. Podwórce obozowe zalała woda. Trzeba ją było wyczerpać wiadrami z zatamowanego kanału i zlać do innego wolnego rowu. Do pracy tej przeznaczono około dwudziestu więźniów. Wchodzą raźnie, szybko niemal w podskokach do wody. Rzeźkości tych ruchów nie wywołuje bynajmniej niska temperatura wody. Na górnych stopniach schodów barakowych stoi kilku ss-manów. Ale nie ich tylko ciężkie, wyczekujące, kpiarskie spojrzenie wykrzesza z więźniów dziarskość. Jeszcze cztery inne zwierzęce źrenice śledzą ruchy pracujących. Dwa psy wilczury przykucnęły na stopniach.

Można być zanurzonym po kolana w zimnej wodzie i mieć ciało zlane potem. Dozorującym pracę ss-manom jest raczej chłódno. I nudno. Ale nic tak nie bawi, jak śledzenie na kimś rozwoju lęku. Od pierwszego dreszczyku niepokoju aż do nieprzytomnego skurczu przerażenia. Psy znają już tę zabawę. Oto na dany znak dają susa przez schody w dół, wskakują zanurzonym w wodzie więźniom na plecy, chwytają rozwartą paszczą za kark. Na sekundę przed utopieniem mocnych swoich zębów w zwiotczałe mięśnie szyi, wychylającej się żałośnie z ponad biało-niebieskich drelichów więziennych rozweselone bestje ludzkie dają hasło odwrotu. Psy zeskakują ze znieruchomiałych odrętwiałych postaci ludzkich, biegną do panów na pochwałę. Podnieconym szczekaniem proszą o powtórzenie fascynującej zabawy. Zresztą ani psy ani ludzie, zanurzeni w wodzie nie wiedzą, czy za każdym razem zostanie ona przerwana w chwili, gdy dojdzie do szczytowego punktu: czy kły przetną skórę ludzką, dojdą do mięśni, dowiercą do cieplej krwi?

Ten moment, aby mógł zachować pełnię grozy — musi być „obstawiony” prawdziwie. Rozkaz napaści wydany jest ostro — psy ciskają się jak furie. Ludzie w wodzie dosłownie zamierają ze strachu. Bledną, drętwieją. Wymęczone, wychudłe ciała uginają się pod ciężarem wypasionych psich cielsk. Udelektowani widokiem ss-mani odwołują psy już nawpół żartobliwym głosem. Za chwilę wszystko się powtórzy: pies w najlepszej wierze rzuci się na znieruchomiałą w wodzie ofiarę, ta zaś odtworzy wspania-

łą pantominę grozy ze skurczem i waleniem okrutnym serca, obłądnym niepokojem w oczach, zzielenieniem twarzy, zaparciem oddechu.

6. Arbeit macht frei — Praca przywraca wolność.

Na bramie wjazdowej obozu widnieje wielki napis: „Arbeit macht frei” — Praca przywraca wolność. Z każdego miejsca obozu dostrzec można wysoki komin — ni to olbrzymiej fabryki — czerwony gigantyczny słup własnego oświęcimskiego krematorium. Między tymi dwoma punktami zamyka się życie więźnia, od chwili utraty wolności do chwili jej odzyskania, od pierwszego przekroczenia bramy wjazdowej obozu do wtłoczenia się w pudle trumiennym między podwoje krematorium.

Wielkie i skomplikowane jest już gospodarstwo Oświęcimia. Wielokilometrowym pasem otaczają obóz ziemie uprawne, z których wysiedlono miejscową ludność; niezliczona ilość budynków gospodarskich, warsztatów, sąsiaduje z barakami obozowymi; daleko poza granicami obozu, o dziesiątki kilometrów odeń znajdują się kopalnie węgla. I wszędzie, na ziemi, pod ziemią, w budynkach pracują więźniowie. Uprawiają pola, budują domy, dobywają węgiel, ładują i rozładowują pociągi. Stwarzają dobra, których drobna część idzie na potrzeby obozu, resztę zaś pochłania wojsko.

Różne bywają sposoby organizacji pracy. Oświęcim wypracował sobie system własny, którego dewizą jest opętany pośpiech, celem zaś jak najczęstsze zastępowanie rąk roboczych nowymi siłami. Albowiem najważniejszym produktem w bogatym gospodarstwie Oświęcimia jest dym z komina krematorium. Bo Oświęcim — krótko mówiąc — to zakład likwidacji istnień ludzkich. Pracował do niedawna z szybkością pięćdziesięciu zgonów na dobę. Obecnie osiągnął wyższy stopień. Zdarzają się nawet dni, że olbrzymi komin nie może podołać zadaniu i wówczas z pomocą przychodzi mu szpadle, wykopujące mogiły dla niespalonych ciał.

* * *

Godzina czwarta rano, dnieje. Zawieszony w pobliżu bramy gong dopiero za pół godziny zadźwięczy ranną pobudką. Ale w barakach już rozpoczyna się ruch. Więźniowie sami zrywają się z posłań, przed czasem, żeby zdążyć uprzątnąć sienniki, koce, naciągnąć ubranie, dopaść do zajętych wciąż ubikacyj, plusnąć się wodą z kubłów, w których zanurzają się kolejno setki rąk. Prędej, prędzej, żeby uniknąć kary za spóźnienie, zdążyć wychłęptać z miski, jednej na trzech, swoją porcję kawy i wypaść na dziedziniec do porannego apelu.

Biegają zaraz potem do swoich komend roboczych, ustawiają się szeregiem: przydzieleni do pracy na „holzhofie” przy gongu, pracujący w betoniarni pod środkowym barakiem. Tu jadący do kopalni, tam zatrudnieni na polu. Szybko rozbiegają się więźniowie na oznaczone miejsca, tak szybko, jakgdyby śpieszyli się do pożaru. A przecież zdarzało się, zwłaszcza dawniej, gdy dopiero organizowano obóz, że jakiś oddział zwoził piach do dołu, z którego inna gromada więźniów przewoziła go z powrotem na miejsce, skąd został doarty. Byle w wyniku nie próżnował wielki komin. Przeliczeni dokładnie przy dźwiękach dziarskiego marsza or-

kiestry obozowej mijają bramę. Wstające słońce odprowadza wielotysięczną armię więźniów na codzienną torturę pośpiechu, zachodzące — towarzyszyć będzie przetrzebionym zastępom, uszczuplonym przez tych co padli w pracy.

Na rozległym placu wynurzającym się z pośród niwelowanych nierówności terenu, jedna za drugą posuwają się naładowane ziemią taczki. Pchają je pod górę postacie w pasiastych, workowatych ubraniach. Coś dziwnego uderza w tym prostym widoku. Bryła ziemi toczy się lekko, szybko, jakgdyby była poruszana siłą mocnej maszyny. Ruch martwego przedmiotu jest zwinny, nie kojarzący się z pojęciem wysiłku. Natomiast żywi ludzie przy taczkach nie tylko nie odpowiadają pojęciom sprawności, ale każdą cząstką swego ciała stanowią jej przeciwstawienie. Ręce wparte spazmatycznie w drewniane ramiona taczki przypominają jakiś instrument muzyczny o luźno naciągniętych strunach; nieosłonięte warstwą tłuszczu, rozpięte nad wiotkimi mięśniami sterczą nabrzmiałe żyły. Przesadne pochylenie postaci świadczy nie o celowym zgięciu ciała dla oszczędzenia wysiłku, ale o bezmiernym znużeniu; oczy więcej niż do połowy przesłonięte powieką stać tylko na tak nikłe patrzyenie. Zależność między posuwistą, chyżą taczką a jej żalonym popychaczem reguluje dozorca. Raz po raz o łuk pochylonego grzbietu uderza kij. Nie zwalniać! Prędej! Trzeba pracować dziarsko z ciężko naładowaną taczką, jak na galowej rewii! Więzień mocuje się z odmawiającymi sprawności mięśniami. Byle tylko wytrzymać do miejsca, gdzie wyniosłość łagodnieje, przeradza się prawie w poziomą powierzchnię, byle przebrnąć jeszcze pięćdziesiąt kroków. Jeden, dwa, trzy, cztery... tam na równiejszej drodze będzie można wciągnąć powietrze, zwolnić nieco kurczowy chwyt rąk. Jeden, dwa, trzy... Taczka chwieje się na obydwu bokach. Omdlałe ręce, sztywne, odrętwiałe nogi nie potrafią utrzymać ciężaru w równowadze. Bo siła to najbliższa siostra zručności. Gdy pierwsza zamiera — rozwiewa się i druga. Dozorca nie wnika w te pokrewieństwa, szturcha wściekle winnego, pogania zgięte coraz niżej stado taczkarzy.

Za godzinę i za dwie i za osiem nie ustanie pośpieszny ruch na równiejącym placu, na którym ma być zbudowana fabryka sztucznej gumi. I nie zwolni się tempo pracy, wytrwale podsycane kijami dozorców. Zmieni się tylko jedno — gatunek zmęczenia pracujących wciąż resztkami sił więźniów, wzrośnie do napięcia, które przekształci je w ból. Ból każdej cząstki ciała oddzielnie, w piersiach i krzyżu, spotęgowany jeszcze osobliwie.

Ale pod koniec dnia z największą pewnością zahamuje się na chwilę raz albo i kilkakrotnie wyścig na wąskiej wyjeżdżonej drodze. Chwiejąca się taczka straci ostatecznie równowagę, gdyż przestaną ją podtrzymywać ręce ludzkie. Bryła ziemi z wywróconej skrzyni rozsypie się na drobniejsze grudy obok leżącego bezwładnie ciała. Nie podniosą go kije dozorców. To człowiek któremu praca przywróciła wolność. Arbeit macht frei.

* * *

Dozorca melduje przy bramie: „Do podbierania kartofli idzie 150 ludzi”. Ss-man przyjmujący ten meldunek przelicza skrupulatnie szeregi i krzywi się ironicznie. Jakże to dziwaczny oddział udaje się na robotę. Nawet pierwszych jego kroków, stawianych w zaraniu dnia nie potrafi usprawnić ognisty marsz orkiestry. Więźniowie mają głowy opuszczone, spojrzenie mętne, jakgdyby nieprzytomne, ruchy niepewne. Gdy odmaszerowują z dziedziń-

ca obozowego na szosę przy dźwiękach muzyki, wyglądają, jak cienie płaszące w jakimś niesamowitym somnambulicznym tańcu.

Przeznaczono ich do lżejszej pracy. Lekka praca nie wymaga lepszego odżywienia, otrzymują więc odpowiednio „lekkie” zmniejszone normy żywnościowe. Ale nie tylko na skutek tego zaczęli zatracać ludzkie kształty; upodobniła ich do cieniów poprzednia katorka obozowa przy robotach ziemnych, wyładowywaniu wagonów z kopalni. Pomimo sutszego wówczas, ale oczywiście mniej niż dostatecznego odżywiania nic nie zdołało zahamować niesamowitego spadku wagi, po kilka kilogramów co kilka dni.

Parotygodniowe terminowanie w oddziałach ciężko pracujących przemieniło najmocniejszych chłopów w nędzne ochłapki.

Idą na kartoflisko. Właściwie — używając pojęć normalnego świata — wszyscy kwalifikują się do łóżka. Ale system szatańskiej organizacji pracy w Oświęcimiu wykrzesza z tych nawpół śpiących z wycieńczenia ciał ludzkich jeszcze ostatek sił. Śmigają kije nad skulonymi postaciami. Błądzą po ziemi w ich takt obciążone skórą piszczele rąk więźniów. Chwieją się na suchych badyłach szyi bezwładne głowy, kadłuby czołgają się po ziemi, nie umiając już posługiwać się podporą chwiejnych nóg.

Dwa cienie naraz zsunęły się w brudę. Nie czołgają się więcej. Leżą bez ruchu. „Nie spać” — wrzeszczy dozorca i skacze po miękkim świeżo skopanym kartoflisku od jednej postaci do drugiej. Zresztą nie robi tego zbyt energicznie: i tak wie, że niezadługo, za kilka czy kilkanaście dni, całe pole przemienić się musi w krainę cieni. Bo to oddział więźniów na wykończeniu, przeznaczony w najbliższym terminie na żar wielkiego kominu.

* * *

Codzień liczba wracających z pracy więźniów jest mniejsza niż liczba wychodzących do pracy. Jeśli różnica jest za mała, nie dociąga do z góry określonych pozycji statystyki oświęcimskiej, skomplikowany mechanizm obozowy puszczą w ruch jeszcze inne, bardziej skuteczne w działaniu dźwignie.

Bieżący numer świeżo przybywających do Oświęcimia więźniów wyraża się cyfrą ponad 30.000. Przeciętne zaludnienie obozu wynosi dziesięć tysięcy ludzi. Wróciło do świata może dwa tysiące. Co stało się z tą resztą, czyli dwudziestoma tysiącami istnień ludzkich?

Odpowiedź na proste zadanie wypisana jest trzema wyrazami sentencji: Arbeit macht frei, i smugami dymu, co unosi się nad czerwonym kominem.

Oba znaki — i ten nieruchomy, widniejący nad bramą obozów, — i ten lotny, wbijający się pod niebo — jednaką mają wymowę.

7. Noce.

Słoma, nieskończoną ilość razy wymłócona ciałami więźniów na podłodze baraku obozowego zmieniła się w nędzną sieczkę. Sienniki napełnione nakruszonymi drobnymi źdźbłami zdają się mieć tylko dwa wymiary, trudno bowiem nawet wyobrazić sobie grubość tak flakowatego posłania. Na jeden siennik przypada conajmniej dwóch więźniów. Nierzadko wścibić się tam musi trzeci. Przykrywają ich koce, też po jednym na dwa zziębnięte, dygotające ze znużenia ciała. Ponad kocami osłonę czyni jeszcze tylko

ciemność, w której rozpląnąć się winny ból, niepokój, tęsknota i lęk. Wchłonie je sen — o ile swą łaską raczy obdarzyć nieszczęśliwych.

Tymczasem z ponad sienników unoszą się szept. W ciągu dnia, w torturze pracy i kar nie może wykwitnąć ludzkie ze sobą obcowanie. Dopiero teraz w nocy zawiązuje się przyjaźń, przychodzą wspomnienia i myśli bez nadziei.

Dawny sybirak opowiada o buncie więziennym za carskich czasów, jaki urządzili więźniowie za pobicie kolegi przez dozorcę, o rozprawie sądowej, obronie adwokatów, wyroku, o pracy zesłańców na otrzymanej od gminy ziemi na Sybirze. Opowiadanie nie ma powodzenia. Raz w raz któryś z bliżej leżących parskanie śmiechem, albo przerwie brutalnym uciszaniem: „Przestałbyś głądzić”. Bo i racja — zestawienia życia więźniów carskich z upiorną rzeczywistością Oświęcimia jest zbyt irytujące. Jakieś bunt więźniów, kończące się ich wygraną, sielankowe prace na własnej niemal choć syberyjskiej ziemi, procesy z bronią, przesłuchiwanie świadków, szukaniem dowodów winy — po prostu opowiadka dla grzecznych dzieci.

I „sztubowy” groźny dozorca współkolegów warczy groźnie ze swego wygodnego, rozłożonego na stole pośłania nakazując ciszę. Nieraz pozwala na odchylenie regulaminu, sam posłuchać lubi, ale prawdziwie ciekawego opowiadania. Aby zasłoniło całkowicie widmo obozowe, oderwało i jego upodloną duszę, zaprzedałą za lepszą strawę i wygodniejsze pośłanie. Za dnia pastwił się nad zdanymi na jego łaskę kolegami, teraz pragnie wraz z nimi zapomnienia.

Urażony sybirak milknie.

I znów fałuje szept, tym razem coraz przychylniej wchłaniany. „Sztubowy” uniósł głowę, wsłuchuje się tak spokojnie, że szept stopniowo tężeje do półgłosu. Płyńcie okręt po bezkresnym morzu do dalekiego nieznanego kraju. Rozłożyste korony drzew o dziwnych palczastych liściach szumią wysoko ponad głowami leżących. Patrzą na nich gwiazdy, ułożone na obcym niebie w niespotykane nowe wzory. Tysiące groźnych, zabawnych, rozmyślnie wytworzonych i nieprzewidzianych sytuacji spleta się w czyjś ciekawy bezmiernie, przed latami przeżyty los. To argentyńskie dzieje wieloletniego emigranta podróżnika, który już niedługo zapewne gościć będzie na barłogu w baraku oświęcimskim. Tej nocy może pod wpływem silniejszej gorączki, szczególnie pięknie wskrzesza swą przeszłość i roztacza jej obraz przed towarzyszami.

Cisza, nasyciona majakami piękna, wolności, ziszczeń, zasłuchana w odległe echa, obsiada pośłania więzienne. Naraz wciska się w nią jęk. Dobięga z trzeciego od okna siennika, gdzie leży młody chłopiec, który odbył dzisiaj karę publicznej chłosty. Dostał dwadzieścia pięć uderzeń masywnym bykowcem. Miarowo, wolno, dokładnie odmierzane razy posiekały skórę, przecięły w wielu miejscach mięśnie, do ran powcisnęły pasemka postrzępionego ubrania. Te zatamponowane tkaniną obrażenia dokuczają najbardziej, gdyż zaczynają się jątrzyć. Chłopak ma gorączkę, rzuca się na wąskim legowisku, przekracza wciąż bliźniętka granice swego pośłania, trącając raz w raz towarzysza z lewej i towarzysza z prawej strony.

„Śpij byku” — upomina go jeden.

„Wyspał się już przy apelu — to ma dość” — drwi drugi. Karę dostał za niestawienie się do południowego apelu. A stało się

to w ten sposób: gdy wrócił z pracy — wyładowywał 75 kilogramowe worki cementu z wagonu, był aż zielony na twarzy, kole-dzy myśleli nawet że kipnie na miejscu, ale dowlókł się jakoś w szeregu prawie że do samego obozu. Skusiła go i przygarnęła jakaś dobrotliwa deska koło szopy, wczolgał się na nią i zasnął.

Przejęczy do brzasku, zwlecze się z pewnością do porannego apelu i odkomenderowany do swego oddziału powędruje znów na stację do wyładunku wagonów. Oh! Gdyby mógł nie obudzić się więcej! Ale tymczasem nie potrafi wogóle zasnąć — z bólu i lęku przed ponowną karą.

Z siennika rozpostartego najbliżej szafek dobiega wciąż jed-nostajne szuranie. To więzień „X” przewany „inżynierem” prze-suwa ostrożnie, wolniutko ręce raz w dół, raz do góry. Usiłuje w ten sposób wypędzić drętwość z barków, wykręconych, obu-marłych podczas ostatniej godziny „słupka”, jaki wczoraj odby-wał. Inżyniera złapano na przestępstwie palenia papierosa pod-czas pracy. Musiał za to odpokutować dwugodzinnym, rozłożo-nym na dwie raty „słupkiem”. Już od poprzedniej niedzieli, to jest od pierwszego zawisnięcia na wbitym w słup haku „inżynier” nie mógł spać. Dokucz mu nietylko ból w stawach i poczucie odrętwienia w całym ciele. Dusi go wściekłość upodlenia, obu-siły i nade wszystko bezsens cierpienia jego własnego i wszyst-kich tutaj wokół. Więzień oddycha cicho, szura zmęczonymi rę-koma po sienniku, płosząc skąpy sen baraków oświęcimskich.

„Przewróćmy się na drugi bok” — trąca sąsiada współkamrat z siennika, gdy zeszytnieje już w jednej pozycji. Samodzielnie nie może tego dokonać. Za mało jest miejsca na wąskich posta-niach, upchanych szczelnie przylegającymi do siebie ciałami, by każdy mógł się przewracać dowolnie z boku na bok.

Nie trudno nauczyć się wszystkich głosów nocy barakowych. Miarowe postękiwanie towarzyszy dojrzewaniu wrzodów, który-mi obsiane są ciała wielu więźniów. Szmer przypominający skro-banie myszy dobywa się z pod każdego niemal koca: to drapanie paznokciami swędzących miejsc na skórze, gdzie rozpanoszył się mikroskopijny a potężny świerz, odbywający zwycięski pochód po ciałach więźniów we wszystkich salach i blokach.

Niecierpliwe sygnnięcia sygnalizują ukąszenie pcheł, wszy, mnożących się mrowiami pomimo systematycznego, zarządzone-go oficjalnie w ciągu dnia „wszobicia”.

Raz w raz wprzegają się w całość trzy różne odgłosy: czołga-nia jakiegoś ciała poprzez labirynt zsuniętych legowisk, złorze-czeń padających z ust potrąconych, przygniatanych kolegów i człapania potem bosych nóg po wolnej przestrzeni sali w kie-runku drzwi. To cierpiący na biegunkę, panującą nagminnie w obozie i chorzy na pęcherz odbywają niekończącą się do rana wędrówkę do ubikacji, i z powrotem na barkółg.

Sen wypędzany wciąż z progów baraku, zniecierpliwiony do reszty odchodzi ostatecznie. Zostaje licha jego następczyni drze-mota, spływająca na umęczonych ludzi na krótkie beżpodne chwile. Nie przynosi ani zapomnienia, ani odpoczynku.

Noce oświęcimskie nie rozporządzają łaską ukojenia.

8. Podziemia i strychy.

W narożniku prostokąta, w którym rozmieszczone są zabudo-wania obozu rozparł się barak oddziału karnego. Nie różni się on zbyt od reszty stojących szeregiem bloków. Jest w tak samo

„koszarowym” stylu, jak i dawne baraki, pamiętające jeszcze austriackie czasy, gdy gościły cesarsko-królewskie pułki artylerii, czy też nowe, wznoszone obecnie rękami więźniów dla wciąż przybywających ze świata współtowarzyszy. Tak samo nuży czerwonym murem cegieł, przetłacza niewymyślną pudełkowatością kształtów.

Właściwie barak oddziału karnego jest podwójny, składa się z połączonych ze sobą murem bliźniaków. I to jest pierwsze odchylenie od szablonu budowli obozowych. Drugie polega na szeregu maleńkich okienek, wyzierających w dole u jego stóp. Okienka spoglądają na świat mętnie, ponuro i tajemniczo — nic w tym dziwnego, są to bowiem żrenice ciemnic podziemnych bunkrów, skąd zazwyczaj nikt nie wraca. Dzisiaj w bliźniaczym baraku panuje niezwykły ruch. Przeprowadzka. Cały oddział karny, czyli około trzystu ludzi, przenosi się na górę, do sąsiedniego nowowbudowanego bloku. Do opróżnionego natomiast budynku przevożą ze szpitala ciężko chorych.

„Zapewne rozszerzają szpital — snują się domysły — czas najwyższy, bo w nim ciasnota niesłychana”.

Z nadejściem nocy krzątania przy baraku karnym nie ustaje. Chrzęści żwir pod stopami ludzkimi i odgłos kroków przetacza się po wiodących w dół schodach, ginie w podziemiach. To przybywa nowy oddział więźniów. Pół tysiąca bolszewików. Kogo bo nie wchłania Oświęcim prócz rdzenia polskiego? Są w nim Czesi, Niemcy, Żydzi, Serbowie. Teraz jeszcze Rosjanie. Ale dlaczego umieszczono ich razem z ciężko chorymi? Przecież nie są też chorzy, skoro przyszli o własnych siłach.

Więźniowie z pobliskich baraków nie usiłują nawet zasnąć. Nasłuchują, co się dzieje w opróżnionym na gwałt i napełnionym ponownie narożnym baraku.

Krótką pauza oddziela chrzęszczącą gamę kroków po żwirze od następującego po niej nieludzkiego akordu krzyku, przedzierającego się jakgdyby przez przymknięte szpary przyziemnych okienek. W akordzie dominuje nuta przerażenia, ale doświadczone w słuchaniu uszy więźniów rozróżniają dobrze tony bólu, wołania o pomoc, wreszcie rozpacznej rezygnacji. Krótka melodia powtarza się kilkakrotnie. Gama kroków i akord krzyku. Potem zapada cisza. Prawdziwa grobowa cisza, pełzająca ziwieszczo wokół podwójnego baraku. Za dnia oniemiały blok wygląda jak cmentarna płyta nad olbrzymią mogiłą.

Trzy dni nic nie narusza ciszy, warunkującej przy baraku oddziału karnego. Czwarta noc uchylać zaczyna tajemniczą zasłonę ze ślepanych okienek. Żwir jęczy pod naciskiem kół. Przed barak zajeżdżają ciężarowe wozy. Przeprowadzka. Tym razem nie ludzi, tylko rzeczy. Ubrania te, co okrywały do niedawna ciężko chorych przewiezionych do szpitala więźniów polskich i te zdarte z bolszewickich jeńców. Obozowe drelichy i wojskowe mundury wędrują pospołu do bloków, w których mieszczą się magazyny. Po pewnym czasie zmienia się szybko zawartość wozów i ich kierunek. Teraz nagie ciała ludzkie piętrzą się wysoko między deskami platformy, koła zaś zbaczą za bramę w przeciwny magazynowi kraniec: toczą się w stronę krematorium.

Wystarczy pięciu minut, aby przejść z dziedzińca obozowego do zielonego darninowego nasypu krematorium. Żywi ludzie, więźniowie, choć pchający ciężko naładowane trupami wozy nie zużywają wiele więcej czasu: śpieszno im pozbyć się upiornego

ciężaru. Ale nie prędko zaprzestaną pracy, bliźniaczy barak wciąż dostarcza ładunku, ciężkie wozy, zaprzężone w żywych ludzi przemierzają drogę od narożnika baraku w obozie do drzwi krematorium w ciągu kilku nocy. Za dnia głucho milczenie znów otula podwójny blok oniemiałego budynku. Nocami obroty kół występują tajemnicę podziemi.

W poprzek i wzdłuż wozu, bezładnie powrzucone nagie ciała odbywają ostatnią swą wędrówkę. Osiłania je tylko nikła poświata księżycowa. I ona to zapewne pogłębia martwość rysów twarzy i stęża siność nagich ciał. Żywi ludzie z zaprzęgu nie przynaglani przez nikogo, sami przyspieszają bieg. Niezręcznie pchnięty, obciążony nierównomiernie wóz przechyla się i wywraca. Na jedno mgnienie trupy zdają się wracać do życia, przeskakują przez siebie, toczą się drogą, wywijają gołymi rękami, przewracają się na boki i znów zastygają w bezruchu z twarzami zwróconymi do nieba lub do ziemi. Księżyc z dalekiego zachodniego krańca nieba nikle przyswieca grabarzom przy ich robocie ponownego ładowania wozu. Blask jego zmieszany z przesączającym się światłem porannej zorzy niknie potrosze: ale nie rozprasza się dziwna zieloność zgarnianych z ziemi martwych ciał, coraz wyraźniejszych teraz na przyprożu budzącego się dnia. Jeden z kolegów grabarzy przywarty do trupa, którego ujął wpół, by podrzucić na piętrzący się znów na wozie stos, wpatruje się długo w szaro-zielone oblicze. Widział już kiedyś przed laty, podobne. Opuszczony okop. W okopie trupy żołnierskie. O takich samych widmowych sinych ciałach. To piętno gazów trujących.

Z ciemnicy bunkrów, skąd nikt żyw nie wychodzi i nic opowiedzieć nie może wraz z pierwszym brzaskiem dnia przesącza się tajemnica ośmiuset pozbawionych życia ludzi. W krótką melodię, zaczynającej się od gamy kroków wplatają się słowa: zatruli gazami.

* * *

Oddział więźniów, przydzielony do pielienia buraków, obsiadł pole. Palce przemykają się między małeńkimi, ledwie ulistnionymi roślinami, wyskubują rozwielniające się chwasty. Jednostajność — przeraźliwą w nieprzerwanym trwaniu ograniczonych, skąpych, nudnych ruchów — urozmaica obraz toru kolejowego, rozpiętego łagodnym łukiem na bliskim horyzoncie. Od czasu do czasu przemyka po nim pociąg, wędrujący ze świata i w świat. Wówczas oczy więźniów odrywają się na chwilę od ziemi przestają rozróżniać czerwieniejące listki buraków od zielonych kępek chwastów. Zagrożenie karą, lub doraźne jej wymierzenie dobrze znanym szturchańcem dozorca odrywa wzrok pracujących więźniów od majaka wolności i przykuwa z powrotem do ziemi.

Wagony otwarte, zamknięte, wiozące ludzi, drzewo, maszyny, węgiel są jakgdyby znakami dawnego przedobozowego życia. Może przyszłego poobozowego. Zły los zrządza, że tego dnia między innymi przesuwa się po torze pociąg z rannymi żołnierzami. Widok zabandażowanych głów, rąk, nóg niemieckich żołnierzy sprawia że przez ludzi skubiących zielsko przepływa jakiś osobliwy, gorączkowy prąd. Zrywają się z ziemi, prostują zgięte kadłuby, potrzęsają zaciśniętymi w pięść dłońmi i krzyczą na cały głos z rozpierającej ich otuchy!

Wściekły i przerażony dozorca nie może zdać sobie sprawy, co się stało. Rzuca się na najbliższych stojących, a właściwie tańczących dziko więźniów, woła swego pomocnika. We dwóch „gaszą” bunt,

zatłukując poprostu na śmierć pięciu ludzi. Poczem zarządzają przerwaniem pracy i marsz do obozu. Cała reszta oddziału, kilkudziesięciu napół przytomnych, jakgdyby pijanych ludzi wędruje do narożnego bliźniaczego bloku karneho. Podziemne bunkry wchłaniają ich wszystkich bezpowrotnie wraz z ich ostatnią dziwną radością.

* * *

W podwójnym baraku oddziału karneho prócz schodów prowadzących w dół do podziemi są też schody wiodące na strych. Tam bliżej ziemi, tutaj bliżej nieba.

Na strychu przyświecają również okienka, niewidoczne zresztą zewnątrz, gdyż przebite w samym pułapie. W półmroku przesączającego się światła widać zarysy słupów, podtrzymujących więzania dachu. Na słupach wiszą ludzie. Żywi zresztą, gdyż poruszają się nawet dość gwałtownie. Do każdego słupa wbito hak. Każdemu z powieszonych więźniów skrępowano w przegubie ręce łańcuchem. Łańcuch zawieszono na haku. Stopy wiszących nie dotykają podłogi, znajdują się o kilka zaledwie centymetrów nad jej powierzchnią. Ręce założone na plecach powyżej krzyża wykręcają szpetnie do przodu stawy barkowe. Rząd słupów ciągnie się poprzez całą długość wielkiego, pokrywającego podwójny blok strychu. Żadnej belki nie pominięto. Przy każdej skrzypie obciążony ciałem ludzkim łańcuch.

Jest to tak zwany „słupek” — jedna z pospolitszych kar stosowanych na strychu baraczanym, w miejscu bliższym nieba.

Jedyny punkt oparcia zawieszonych ciał stanowią przeguby złączonych rąk. W tym właśnie punkcie ogniskuje się w pierwszej chwili straszliwy ból. Jakgdyby w skórze tworzyły się szczeliny, jakgdyby kości rozszczepiały się na dwoje. Żeby nogi dosięgnąć mogły podłogi — a wydaje się, że trzeba je tylko trochę, ledwo, ledwo naprężyć, by poczuć twardość pod stopami — ciężar ciała spocząłby na właściwej podstawie. Ustałby ból, ustałby niepokój całego ciała, ustałaby męka. Wiedzą o tym dobrze ci, co stosują torturę. Zawieszeni odruchowo szukają oparcia dla stóp, wyprężają nogi w kierunku ziemi, powiększając każdym ruchem ból w przegubach. Rozprzestrzenia się on zresztą niebawem na stawy barkowe, kręgi szyi, biodra.

Każń odbywa się niedzielnymi rankami, by nie marnować dnia roboczego i trwa po godzinie. Kto dostanie dwie godziny „słupka”, ten wisi co tydzień po godzinie, trzy godziny — rozkłada się na trzy niedziele. Jaką zasadą kierują się oprawcy oświęcimscy przy rozkładaniu tortury na tygodniowe raty? Tą samą zapewne, która im nakazuje więźnia skazanego na śmierć raczyć nieraz w ciągu roku wszystkimi udrękami obozu, zanim wyrok zostanie wypełniony.

Po kilku minutach wiszenia całe ciało ogarnia zdrętwienie nie zmniejszające bynajmniej męki, tylko ją przeobrażające. Dřęt-wota przesuwa się od stóp do głowy, nie wchłaniając najboleńszych ośrodków: zaciśniętych klęczkami łańcucha przegubów, wykręconych barków, wygiętej szyi. Odrętwienie staje się bólem, tylko innym. Mięśnie, stawy, by wyzwolić się z niego, próbują coraz innego położenia. Jakże im dogodzi człowiek przytwierdzony do słupa. Szarpie się na męczeńskim palu, krzyczy boleśnie i liczy najdłuższe minuty najdłuższej godziny swego życia. I gdy wreszcie mija jeden z największych wycinków wieczności — godzina „słupka” — jęczący z bólu więzień nie ma kąta, gdzie mógł-

by odleżeć, wypocząć po torturze. „Słupki” odrabia się w porannych godzinach, regulamin zaś surowo zabrania rozkładania poscieli w ciągu dnia. Do wieczora więc będzie obnosił ból sponiewieranego ciała między ścianami sali baraku, albo po twardym żwirze dziedzińca. Nocą legnie na wiotkim sienniku, przez który podłoga odcisnie stygmaty na wszystkich zboliałych jego członkach. Raniutko powlecze się do roboty.

Za jakie przewiny straszliwe skazuje się ludzi na tak okrutną karę?

Oto pierwszy z wiszących ośmielił się zapalić papierosa w godzinach pracy, drugi usiłował schować się przed pracą podczas ulewnego deszczu, trzeci ukradł bochenek chleba z magazynu, czwarty odezwał się niepytany podczas apelu...

Długi rząd słupów podpira wiązania dachu na strychu baracnym.

W niedzielne poranki słupy się zdwajają, równoległe do warstw drzewa przylegają do nich białe i niebieskie paski chałatów więziennych.

Golgota oświęcimska odbywa się w niedzielę.

9. Ucieczka.

Przeraźliwie wyje syrena. Alarm w obozie! Przenikliwy złowrogi głos rozplywa się potężną falą wokół w dziesięciukilometrowym promieniu, przygotowując o skurcz tysiące serc więźniów.

Głos syreny dźwięczy jak zew śmierci dla każdego z dziesięciu tysięcy więźniów, chociaż naprawdę przywołuje za każdym razem zaledwie dziesięciu. Nie wiadomo tylko, na kogo padnie los. Syrena huczy, obwieszcza: ucieczka. Ktoś uciekł z obozu. A za ucieczkę jednego wyznaczona jest stała cena: życie dziesięciu kolegów.

Syrena zwołuje wszystkich na zbiórkę. Zbierają się na dziedzińcu. Stają w szeregach. Czekają znieruchomieli. Tylko oczy ślizgają się niespokojnie, jak daleko wzrok sięgnie po zamartwych postaciach: ty jesteś i ty jesteś i ciebie widzę — kogo więc brak? Może to nie w moim oddziale, może w sąsiednim, albo jeszcze dalszym ktoś uniósł wraz ze swą wolnością prawo do nadziei dziesięciu innych? Błądzące, szukające oczy natrafiają na wyrwę. W czwartym szeregu brak suchej figurynki, która co dnia stała w samiułku jego środka. Ale może poszedł do szpitala, może prosto umarł przy pracy, może przeniesiono go do innego bloku? Nic nie wiadomo. Dziesięciom tysiącom ludzi śmierć narazie jednakowo zagląda w niespokojne oczy i kurczy pomartwiałe serca.

Kolumna ludzka stoi bez ruchu godzinę, drugą, trzecią. Mija pora obiadowego posiłku, wieczornej zbiórki, snu. Dokoła wszystko jest poruszone, z zachodu suną szybko ciemne chmury, roniąc ukosem drobnutki zimne krople, wiatr szarpie poły cienkich, utkanych z włókna drzewnego płaszczy więziennych, przekrzywia na głowach okrągłe mycki. Tylko zastygłe szeregi ludzkie sztywnieją w bezruchu. Zdrętwiały nogi, bolą plecy, dłonie zaczynają tracić czucie. Zimno i niepokój ubiegają naprzemian o zwycięstwo nad stojącą gromadą. Naraz w bocznych szeregach ludzie zaczynają trzepotać rękami, podrygiwać nogami, potrząsać głowami. Przebiega przez nich jakgdyby jakaś gwałtowna drgawka. I ustaje nagle, jak nagle przyszła. To dozorca odwrócił na chwilę baczny wzrok. Ukradzionej szczęśliwie chwili odprężenia mięs-

ni i odrobiny ciepła starczy na kilka sekund i znów trwa dalsze, niezdolne, wielogodzinne czatowanie na odwrócenie cerberskiej uwagi i wyrok losu. Ciało zaczyna sztywnieć, jakiś mrok zasnuwa mózg. Łomot. Ktoś upadł. Jeden już się z szeregu wycofał, już nie jest ciekawy czy będzie należał do ekipy dziesięciu. Zostanie poprostu jedenastym. Kolumna stoi sztywno. Nie wolno podnieść kolegi. Po chwili, niby spóźnione echo łączone drugie zeszywniało ciało. Gdyby je podnieść, przenieść do budynku, ułożyć na pośłaniu, rozetrzeć — upadek nazywałby się zwykłym zesłabnięciem, omdleniem. Dwadzieścia cztery godziny wyczekuje kolumna na zimnie, wietrze, deszczu, by zapłacić dziesięcioma istnieniami ludzkimi za ucieczkę kolegi. Leżące na ziemi, stygnące ciała nie wchodzi do rachunku, stanowią nadprogramowy dodatek. Dopełnia się ostatnia godzina doby, podczas której ludzie bez snu i pożywienia, bez możliwości ruchu, czekali na śmierć. Zjawia się wreszcie jej wysłannik — komendant obozu. Bez słów wchodzi między więźniów z bloku, w którym zbrakło jednego żywego numeru. Wybierze dziesięć ofiar, a wybierać będzie najslabszych, najbardziej zdartych, nieprzydatnych w gospodarstwie obozowym. Wiadomo, że nawet w Oświęcimiu siła jeszcze coś znaczy. Niemoc natomiast sprzęgnie ze śmiercią. Wzrok komendanta przesuwają się wolno po więźniach: kogo dotknie, ten przeżyje się, prostuje, wypina klatkę piersiową, podnosi głowę do góry i spogląda z szaleńczą odwagą przed siebie. Tylko siła może zwyciężyć. Szereg starganych, znękanych ciał usiłuje na tę jedną chwilę przywrócić sobie dawną tężyznę i dziarskość.

„Komm” — pada pierwszy wyrok śmierci. Więzień napina w ostatnim desperackim wysiłku ochłapy mięśni, przeży osłonięte wiotką skórą piszczele, nabiera do ust zdwojony łyk powietrza. Komendant nie spuszcza oczu z ofiary. „Komm” — mówi powtórnie. I naraz ciało nieszczęsnego więźnia wiotczeje, maleje. Zrozumiał, uległ. Długo jeszcze wzrok wysłannika śmierci błądzi po szeregach. Każdemu jego zatrzymaniu się towarzyszy dookólne wystchnienie ulgi: „a więc nie ja” i jeden rozpaczny jęk: „stało się”.

Dziesięciu wybrańców opuszcza szeregi. Podążają do podziemi karnego bloku. Wprawdzie „prawo” obozu głosi, że — o ile w ciągu trzech dni zbieg się znajdzie — zakładnicy zostaną wypuszczeni z bunkrów, ale doświadczenie poucza niezmiennie, że nic podobnego się nigdy nie stanie. Zbieg, jeśli nawet wróci, nie uratuje ani siebie, ani swych towarzyszy. Oświęcim nie uznaje uroczystości powrotu do życia.

* * *

Przy rozbiórce domu w pobliżu szosy pracuje gromada dwudziestu więźniów. Dziesięciu kruszy łomami frontową ścianę, sześciu zwozi gruz, pięciu układa na stos drewniane framugi drzwi i okien. Dozorca zadowolony jest z ekipy: dobrali się sami „nowi”, nie wynaleźli jeszcze sposobów jak zręcznie markować robotę, by oszczędzać siły. Tylko jeden z ostatniej piątki nie zachowuje się jak należy. Coraz to z innego końca wynurza się, w coraz to inne miejsce układa, rozłączone z prostokątów framug, deski. Dozorca ma na niego oko, ale robi to tak sprytnie, że więzień ośmiela się coraz bardziej. Wreszcie w pewnej chwili, po złożeniu ciężaru, nie ukazuje się przy kolejnym otworze okiennym. Zniknął. Dozorca widzi wtuloną w gruzowisko postać, śledzi przezołgiwanie się jej między kupami połupanej cegły. Wyczekuje

chwile, poczym wszczyna przeraźliwy rumor, nie tracąc przy tym niebiesko-białej plamy z pola widzenia. „Uciek! Szukać!”

Dozorca zabawi się znakomicie.

Z jaką wściekłością, zaprawioną lękiem o własną skórę, koledzy będą szukali tego, co swym zniknięciem nastawa na ich życie. Mały oddziałek zamiera w grozie, poczym rozsypuje się na wszystkie strony, przeszukując kupę gruzów, stopy desek i wzgórki nasypów. Dozorca w roli naganiacza, kieruje zręcznie pościgiem w stronę ukrytego. Już wyciągają go rozwścieczone koleżeńskie dłonie z pod wielkiego rumowiska, już wali w pierś łom zaciśnięty w rękę współtowarzysza pracy i niewoli. „Nie bijcie, znaleźliście przecie! Już nie ucieknę!” Ale podsycane doniedawnym lękiem razy, spadają na głowę, piersi, brzuch nie mogącego powstać chłopca. Dozorca przygląda się z uciechą widowisku, chociaż zaczyna rozumieć, że skończy się ono niezadługo na miejscu, nie będzie miało dalszego ciągu, tak urozmaiconego zazwyczaj po powrocie z winowajcą lub bez niego do obozu. „Spokój” — próbuje nawet interweniować, czyni to jednak z tak niezrozumiałą dobroduszością, że dolewa oliwy do ognia. Zresztą jest już zapóźno: drugi cios łodem, zadany tym razem w głowę, ucisza raz na zawsze winnego.

Padł z rąk towarzyszy, którzy nie hołdują wolności, okupionej życiem współkolegów.

* * *

Z za dziesiątej góry, z za dziesiątej rzeki a wrócił przecież. Już nauczył się był oddychać bez trwogi, już zaczynał czuć kiełkujące w nim na nowo pragnienie dobra, prawdy, sprawiedliwości. Znaleźli go w domu przyjaciół po dwóch miesiącach od chwili cudownego wygrania wolności.

I oto złapany wraca do obozu. Triumfalnie. Uroczyście. Ubrany odświętnie. Na głowie ma czapeczkę dżokejską na piersiach transparent z napisem: „Hurra! Znow jestem pośród was”. Cały obóz przygląda się w podnieceniu defiladzie, zbiega po uliczkach między szpalerami bloków. Rozlegają się nawet ożywione okrzyki radości. To cieszą się koledzy, że przecie to nie oni będą zbierali owoce dwumiesięcznej nieobecności. Cyrk, istny cyrk zorganizowany przez władze obozowe. Kredowa twarz pod śmieszna dżokejką przypomina znakomicie wymazaną na białą zazwyczaj maskę błazna. Bębny wybijają powitalny werbel, który niebawem przemieni się w pożegnanie. Procesja okrąża wszystkie baraki i zdąża do łypiącego chciwymi okienkami bloku karnego, który otworzy swe podziemia zbiegowi.

Uczestnicy zabawy rozchodzą się. Staną zaraz do apelu wieczornego, który stwierdzi, że nikogo tym razem nie brak w stojących gęsto szeregach.

Daleki odgłos salwy karabinu wstrząśnie ciszą przedwieczorną, ogłaszając wyjście za ostatnie kulisy jedyne go aktora dzisiejszego widowiska.

10. Niecierpliwi.

Nie jednakie są ostatnie krople, przepelniające czarę...

Można w ciągu wielu miesięcy cierpieć mdły głód, rozluźniający wszystkie mięśnie, wściekłe ukąszenia zimna, odgryzające go po kawałku palce rąk i nóg, można znosić co dnia razy, spadające na chwiejący się w torturze pracy grzbiety, można zapomnieć, gdzie się ma jeszcze zdrowy ośrodek ciała, można spływać krwią

i ropą z niegojącej się nigdy rany, można wyciągać chleb z ręki konającego towarzysza i nie doznawać wstrząsu sumienia, można skamleć bezskutecznie po wyjściu ze szpitala o brzeżek barłogu na zajęтым już przez innego posłaniu, można dusić się ustawicznie w lęku, upodlenia i bezsily. Można zatracić wszystkie przywileje człowieczeństwa — i pragnąć jeszcze żyć.

Ale zdarza się, że jakieś złe zrozumiane słówko, w niemieckim przepisowo liście z domu spłynie gorzką kroplą do umęczonej duszy i zgasi tlejącą w niej wolę przetrwania; zdarza się, że ostatni węzeł cierpliwości rozluźni się, że nie podobna przeboleć zguby jakiegoś drobiazgu. przechowywanego dotąd szczęśliwie przed złym okiem dozorca.

Bo nieraz można opierać się długo atakom huraganów i ugiąć się wreszcie pod naporem lekkiego podmuchu.

Zbyt ciężko jest zdobyć w Oświęcimiu równowagę, by zapewnić jej utrzymanie do końca.

W nieustających zapasach życia i śmierci w Oświęcimiu nie zawsze śmierć występuje jako strona atakująca, nie zawsze człowiek broni się przed nią, uchyla wszystkimi siłami od jej ciosu. Bywa też, że to śmierć właśnie umyka przed człowiekiem. Człowiek napada, goni, usiłuje pochwycić obojętną wybawicielkę. A ta poddać się nie chce. Ucieka, wabi, wabi i ucieka.

Obóz otoczony jest wysoko w górę rozpiętym pasmem drutu kolczastego. Poprzedza je pojedyncze włókno drutu, biegnące wokół o trzy metry bliżej zabudowań i zaopatrzone w napis „halt”, ostrzegający śmiałków przed przekroczeniem Rubikonu. Nocą, przez druty wysokiego ogrodzenia, przepływa prąd elektryczny. Dniem i nocą zaś pilnują całości męki oświęcimskiej strażnicy na wieżach wartowniczych, wyrastających co kilkadziesiąt metrów z gładkiego pasma drutu. Z każdej wieży wysuwa żądło lufa karabinu maszynowego.

Nieraz — a dzieje się to zazwyczaj przy powitaniu nocy z dniem, o cichej godzinie świtu — przemyka po schodach baraku postać więźnia. Biegnie w stronę ogrodzenia, mija wzgardliwie ostrzegawcze „halt” i wpatrzona w ciemniejącą na wieży sylwetkę wartowników zdąża do zwartego, kolczastego pasma. Twarz więźnia próbuje ułożyć się w wyraz zuchwalstwa. Ucieka! Niech wartownicy uwierzą: ucieka! Ale tragiczna maska inną wypowiada prawdę — wyziera z niej rozpaczne błaganie: Obrzućcie kulami! Zabijcie!

Posłuszny wcale nie błaganiom niecierpliwego więźnia, ale przepisom obozowym, karabin maszynowy warczy i wyrzuca przed biegnącym człowiekiem serie wystrzałów, nie czyniąc mu żadnej szkody. Nie dosięgł go ani jeden tak upragniony pocisk.

Człowiek biegnie dalej wzdłuż napiętych równiutko drutów. Nie dotyka ich, ale i tak nie są one teraz zabójcze: prądu niema za dnia. Człowiek zbliża się w biegu do drugiej wieży. Tym razem śmierć przyjęła wezwanie. Dwie kule ugodziły ramię więźnia. Człowiek goni dalej broczący krwią, ale wciąż pozostający wbrew woli w służbie życia. Karabin trzeciej wieży jest zręczniejszy, trafia w pierś, nie dotarł jednak do serca. Uciekająca śmierć nie chce kończyć gry. Zawzięty prześladowca ściga ją i wreszcie zwycięża. Pada na warujący, najeżony drut ogrodzenia ze zmasakrowaną twarzą. Nie maluje się na niej już ani zuchwalstwo, ani błaganie. Wyraża nicość śmierci.

K A S Z T A N

Za oknem stał kasztan, i pąki pęczniały,
choć śnieg na nich leżał puszysty i biały.
O świcie pochmurnym, o zmierzchu półsennym,
na lwowskiej ulicy pod murem więziennym
stał kasztan. Był marzec. Już śniegi topniały.

Jak często myślałem: nim wrócę do miasta,
już pewnie listowiem okryje się kasztan
i pąki, sokami wezbrane, wystrzelą,
zabłysną, osłepią zielenią i bielą,
bo wiosna tak samo jak wolność narasta.

O, wiosno... Kto walcząc uchodził spod gromu,
kto dom swój postradał i drogę do domu,
ten nie wie, co począć ze swoją rozpaczą,
i łzami się dławi, bo oczy nie płaczą,
i milczy, — bo jakże to mówić i komu?

Więc kasztan, pieszczony codziennym spojrzeniem,
był świadkiem jedynym i stał pod więzieniem.
Ta przestrzeń niewielka od krat do gałęzi
trzymała i rozpacz i krzyk na uwięzi
i była nadzieją, i była marzeniem.

Jak wolno mijają tygodnie, miesiące
wśród troski okrutnej, wśród nudy dręczącej,
bez wieści od bliskich, bez słów, bez otuchy, —
aż przeszły nareszcie marcowe podmuchy
i złotem na kraty rzuciło się słońce!

Był więzień, co nie mógł spać nocą wiosenną,
na twardej podłodze spoczywał wraz ze mną
i zrywał się w nocy, do okna się skradał,
chwytając za kraty, z gwiazdami coś gadał
milczeniem — tą mową serdeczną, tajemną.

A wiosna wdzierła się dałą błękitną
do oczu stęsknionych i moc nieuchwytną
sączyła w korzenie, gałęzie, pąkowie
kaszтана, — aż nocą majową przed nowiem
spełniło się dzieło — to kasztan rozkwitną!

Więc więzień bezsenny usłyszał pękanie
tych kwiatów i zerwał się półobląkany,
do okna poskoczył, kratami zatargał,
rozbudził nas — (pianę miał białą na wargach) —
i krzyczał słowami ciężkimi jak kamień:

„Słuchajcie, to rwą się granaty nad Lwowem,
to huczą armaty, to krokiem miarowym
nadciąga piechota, a dalej po bruku
to czołgi łoskoczą, poznaję po stukach,
i słyszę jak dudnią ułańskie podkowy...

Po niebie eskadra drapieźnie już krąży...
Ja muszę dołączyć... Jak serce mi ciąży...
Tam na mnie czekają... tam wiosna... tam bitwa...
i biel kasztanowa zuchwale rozkwitła
za kratą więzienną... I padł podchorąży.

Ja nigdy nie czułem powiewów tak słodkich,
jak wtedy w więzieniu... Gdy piszę te zwrotki,
młodego żołnierza wspominam, i w ciszę
wiosenną wsłuchując się, raz jeszcze słyszę:
„Ujdi, zakliuczonyj, ujdi od rieszotki!”

Zamarstynów, kwiecień 1940 —
Jerozolima, kwiecień 1943.

KAROL ESTREICHER

KŁOSY I SŁÓWKA

Antoniemu Słonimskiemu

Leżeliśmy na dywanie w pokoju ojca przed rocznikiem „Kłósów” i przewracając kartkę za kartką oglądaliśmy obrazki. Wśród pism ilustrowanych bowiem spędzaliśmy w miłej zgodzie i niezgodzie jesienne popołudnia. Za oknami wiał zimny wicher, mgła panowała na ulicach, siekł deszcz co chwila, a tu pod piecem wśród półek z książkami było ciepło i spokojnie. Od czasu do czasu ktoś z nas stęknęło bo ścierpła mu noga lub zaboląły odgniecione łokcie. Wówczas Krzysia komenderowała:

— Teraz puść Ewę, a sam siądź na jej miejscu.

— To będę widział obrazki do góry nogami.

— Przekręć sobie głowę. Zresztą znasz je już na pamięć.

Znałem ale nigdy nie miałem ich dość. A poza tym dlaczego miałem źle widzieć. Niech sobie siądzie Krzysia.

Ale ona zawsze znajdowała argumenty przekonywujące.

— Ja czytam podpisy pod obrazkami, a także jestem najstarsza.

O cenna misko soczewicy! Niestety Krzysia nie sprzedabyła jak Ezaf swego pierworodztwa, bo soczewicy bardzo nie lubiła.

Drzeworyty były duże, wyraźne, pozwalały dojrzeć wszystkie szczegóły i rozbudzały zaciekawienie. Zdawałem sobie sprawę że przedstawiają rzeczy, ludzi i wypadki sprzed lat, lecz to nie ujmowało im osobliwości.

Na czele numeru, który właśnie zaczęliśmy oglądać, pod wianetą tytułu gdzie napis „Kłosy” wił się ze snopów zboża, umieszczony był obrazek przedstawiający „Iluminację Zamku warszawskiego na cześć Najjaśniejszego Pana”.

— To dla cara — twardo powiedziała Krzysia.

— Ile tu świateł — dodałem.

— Wielka sztuka, kiedy zabrali wszystkie świece z kościołów.

„Cud techniki, kolej napowietrzna w Nowym Jorku w Ameryce Północnej” podobał mi się bardzo, jak również „Machina parowa jeżdżąca bez szyn”, ale siostry nie pozwalały mi się dłużej zatrzymywać.

— No już?

— Pierwszy raz widzisz kolej i lokomotywę?

— „Wojsko Rzeszy Niemieckiej podczas ataku na manewrach” — przeczytała Krzysia i już chciała obrócić kartkę nie dając przyjrzeć się armatom oraz konnicy w bitewnym szyku.

— To Prusacy — zawyrokowała — nie masz się co gapić i tak ich Polacy pobili pod Grunwaldem.

— A czemu małe karakony nazywają prusakami? — rzuciła Ewa lubiąca wszelkiego rodzaju zajęcia domowe i interesująca się zawsze porządkami.

— Bo są obrzydliwe — odpowiedziała Krzysia.

— A to pewno przedstawia kanalarza? — orzekłem zasugerowany myślą Ewy o porządkach.

— Jak to kanalarza?

— Przecież on schodzi na dół do kanału.

— Gdzie?

— No tutaj po drabinie, jak wczoraj przed naszym domem.

— Ty nie rozumiesz. To obraz Matejki, a przedstawia „Maćka Borkowica skazanego na śmierć głodową”.

— Ale wygląda jak zejście do kanału.

— Ee! głupis — skończyła dyskusję starsza siostra i przewróciła kartkę.

Wszystko było interesujące. I „Nowy most na Wiśle” i „Dom Długosza w Sandomierzu” i ilustracje do powieści Pługa.

„Zabójstwo Marii Wisnowskiej” wywarło na nas wielkie wrażenie.

— Ale czemu on ją zabił?

— Bo był pijany.

— Jak zwykle Moskal — dodała Ewa.

— Nie tylko Moskal — poprawiła Krzysia. Arcyksiążę Rudolf też się upił i zabił narzeczoną, oglądaliśmy w poprzednim roczniku.

Zbliżał się koniec numeru, gdzie zawsze mieściła się najzabawniejsza stronica. Karykatury Franciszka Kostrzewskiego wzbudzały w nas wybuchy śmiechu. Tym razem ukazał się „Karnawał w kamienicy warszawskiej”. Był to przekrój domu w którym na każdym piętrze odbywał się bal.

Na parterze w bramie domu, w kozuchu i w kalesonach, z lartarką i z wielkim kluczem dozorca razem ze stojkowym pakowali do dryndy zawianego gościa.

Na pierwszym piętrze w wytwornych salonach arystokratycznych panie w balowych sukniach z turniurami tańczyły sztywno kadryla z młodzieńcami we frakach. Przy stoliku grupa poważnych dziedziców paląc cygara grała w wista. Pod ścianami siedziały stare wyczupirzone panie.

Na drugim piętrze w mieszkaniu adwokata tańczono walca. Salony były bogato urządzone ale mniej piękne. Panie były skromniej ubrane. Kilku czcigodnych panów z boku rozprawiało o polityce. Zamiast orkiestry ukrytej za palmami, stary muzyk uderzał w klawisze z rozmachem.

Na trzecim piętrze odbywał się bal u żydowskiego kupca. Goście byli bardzo wytworni, był także i lokaj i pełno świec paliło się w kandelabrach. Tańczono z zapałem mazura a ruchy danse-rów były niezgrabne, przesadne, śmieszne. W kącie kilku brodatych żydów rozprawiało o interesach gestykulując żywo.

Na poddaszu wrzała zabawa w pełni. Flet, skrzypce i basy przygrywały do skocznej polki. Na stole stało pełno flaszek i je-

dzenia. Pary sunęły ochoczo jedne za drugimi. Przy wyjściu zażywna jejmość godziła dwóch kłócących się pijaków.

Tak z pism ilustrowanych poznawaliśmy Warszawę, choć w nieco staroświeckiej formie. Poznawaliśmy ją jednak lepiej i gruntowniej niż z oficjalnych czytanek czy przewodników. Była to Warszawa Pługa, Świętochowskiego, Deotymy, Sienkiewicza i Prusa. Do dziś czytając ich pisma widzę tę Warszawę poprzez drzeworyty „Kłosów” i „Tygodnika” i poprzez karykatury Kostrzewskiego.

Niemniej była to Warszawa-stolica, miasto wielkie, świetne i bogate, nierównie dalsze niż Wiedeń, ale nierównie ciekawsze ze słyszenia.

„Modrzejewska w roli Ofelii w Teatrze Wielkim” — tak gościł podpis pod obrazkiem.

— Jaka ona piękna — szepnęła Krzysia.

I już chciała czytać podpis wierszem, ale przeciw temu zaprotestowaliśmy z Ewą gorąco.

— Warszawa ma wielkie teatry, prawda? — odezwała się Ewa, żeby odwrócić uwagę Krzysi.

— Pewnie że wielkie a nawet lepsze niż w Paryżu. Pan Hoesick zawsze opowiada o nich.

Bo jak stare roczniki „Kłosów” oprowadzały nas po dawnej Warszawie, a stamtąd wiodły po całym kraju, tak pan Hoesick, który często do nas przychodził, był przewodnikiem po żywej Warszawie, po Polsce i po szerokim świecie.

Czy żyjesz jeszcze panie Ferdynandzie, najmiłszy przyjacielu naszego domu, bywalco wielkiego świata, uśmiechnięty i pogodny jak życie które prowadziłeś, jak książki które pisałeś. Nie zapomnę nigdy twoich opowiadań, gdy do zagranicznych wód przejeżdżając przez Kraków, przywoziłeś nowiny z Warszawy.

Tego roku pan Hoesick wybierał się do Hiszpanii zobaczyć Madryt i Sewillę, a potem pojechać śladem Szopena na Majorckę.

— Ogłaszając ten ważny list Szopena, pan rozumie panie Stanisławie, muszę go skomentować. Jak tam mieszkali z panią George Sand, co jedli, co widzieli, a to tylko z autopsji mogę poznać. Zamyślam napisać sześć felietonów do Kuriera i wydać je potem pod wspólnym tytułem. Przygotowuję także rozmowy różnych osób z Sienkiewiczem, które spisywałem od gości w Oblęgorku. Wreszcie tajemnicza miłość Klaczki do owej pani G. i zażywanie opium przez Słowackiego domagają się wyjaśnienia.

— Czy wie pan, że wiele szczegółów o Słowackim znajdzie pan w listach Gaszyńskiego do doktora Wolskiego? Są one w Akademii.

— Żeby mi tylko czasu starczyło na przejrzenie ich, bo z Hiszpanii prosto muszę wracać do Warszawy na premierę sztuki Krzywoszewskiego. Wydajemy wielki obiad na jego cześć w „Bristolu”.

I zaczął opowiadać o życiu literackim Warszawy, o Kurierze, Olchowiczach i Szymanowskich, o Rabskiej i Grabskich, o Rajchmanie, o pani Hortensji, o teatrze Letnim, Wielkim, Nowościach i Messalce. Wreszcie o dawnych zabawach w Dolinie Szwajcarskiej.

Wiem, że dla wielu w Polsce Hoesick był solą w oku, celem uśmiechów i pocisków. A jednak jego książki i jego życie miało w sobie wdzięk szczęśliwości, której był uosobieniem. Żywoty i studia które pisał pełne były plotek, jak te za którymi później

tropili jego przeciwnicy. Ileż rzeczy ocalił Hoesick od niepamięci! Miłość Eglantyny do Słowackiego i wiele szczegółów z jego życia on przecie wy dobył a nie Małcki, Tretiak czy Kleiner. Podobnie o Szopenie, o Klaczce, Tarnowskim, Asnyku, o miastach, zwyczajach i wypadkach zbierał Hoesick plotki i ploteczki nieraz pierwszorzędno znaczenia a zawsze ciekawe przez swą anekdotę. Przed samą drugą wojną, w tajemnicy przed najbliższymi, wydał w 25 egzemplarzach pamiętnik opisujący Warszawę z lat swej młodości, życie wśród tej burżuazji, której „Kurier Warszawski” był wykładnikiem, a Hoesick najwdzięczniejszym przedstawicielem. Dużo tam plotek wesołych i pogodnych, skandalików i afer niepoważnych — ale bodaj ta książka Hoesicka zyskałaby największą poczytność.

Gdy pan Hoesick przychodził do nas pchaliśmy się we trójkę do pokoju i nie chcieliśmy wyjść.

— A co? lubicie jak opowiadam? — zapytywał i wypraszał u matki aby nas zostawiła.

Wiało od niego zamożnością i pewnością życia. Blond broda starannie rozczesana i kręcone włosy rozweselały tę twarz uśmiechniętą i zadowoloną.

Krzysia najlepiej scharakteryzowała go w moich oczach:

— Pan Hoesick to jest Warszawa.

— Jakto Warszawa, przecież on ciągle jest w Krakowie, a pani Hoesickowa z Dzidzią mieszka tutaj?

— Nie wiesz, że „Hoesick naprzemian mieszka tu i tam”, jak jest napisane w „Słówkach”?

Bo „Słówka” znaliśmy dobrze i cytowaliśmy często.

Gorszysz się czytelniku? Nie wierzysz? Tak było!

W „Kłosach” trafiliśmy na rycinę i dyskutowaliśmy nad nią:

— „Baszta Kościuszki w Krakowie”.

— Takiej baszty przecież nie ma?

— Ale była i zburzyli ją. Stała na rogu Studenckiej i Podwala. To ta co „pan radca myśli rachuje kryśli”.

— „Dzieją się cuda

Ot, stała buda,

Pies nie zatroszczył się o to:

Aż w jednej chwili

Coś w niej odkryli,

To świętość! relikwia! złoto!” — przypomniała Ewa, której dość było wiersz przeczytać, aby go pamiętała.

Nie znaliśmy baszty Kościuszki i mało jej los nas wzruszał, ale wiedzieliśmy o niej z dowcipnego wierszyka Boya.

Jak Warszawę poznaliśmy z pism ilustrowanych które Loewenthal czy Gebethner wydawał, tak o Krakowie dowiedzieliśmy się poprzez literaturę, nie figurującą w oficjalnej bibliografii miasta. Nie przez „Klejnoty Krakowa dla młodzieży” ani przez przewodniki i monografie Kraków zaczął mnie interesować, pociągnął swym urokiem i skierował na drogę badań nad jego przeszłością. Jak wszyscy krakowianie miasto poznałem po swojemu, przypadkowo, a pierwszym przewodnikiem były mi piosenki Boya.

Widzę w tej chwili zgorszzone twarze świętoszków, którzy tocząc walkę z Boyem, wszędzie dopatrywali się jego złego wpływu.

Trudno było przed nami ukryć te „nieprzyzwoite wiersze”, o których wszyscy mówili i z których wszyscy się śmieli, a które ciągle ktoś przypominał charakteryzując najbliższych naszych

znajomych. W ciągu lat mego dzieciństwa wiele o nich słyszałem.

Ścisłe mówiąc piosenki Boya w „Słówka” nie były jeszcze zebrane, ale ukazywały się w tomikach pod rozmaitymi tytułami. Przysyłał je Boy ojcu razem z wielkimi, w czerwone okładki oprawnymi tomami Moliera.

— Niktby się po Tadeuszu Żeleńskim nie spodziewał, że dokona takiego dzieła — powiedział ojciec przeczytawszy tłumaczenie Moliera.

— Zawsze ci mówiłem że ma niezwykły talent literacki. Kiedy nareszcie zapomniał o Dagnie i porzucił kabaret — dodał Rudolf Starzewski — otrzymamy od niego wiele. Pracuje po całych dniach. Widzę to, bo bywam tam przecież codziennie.

Były w Krakowie jak w każdym mieście klany, koła i kliki. Między uniwersyteckimi kołami i rodzinami a ziemiaństwem i ich „dworem” pod Baranami, lub bohemą Przybyszewszczyzny, kawiarni i „Zielonego Balonika” stosunki nie były tak bliskie, jak to się często przypuszcza.

Gdy matka, świeżo przybyła ze Lwowa i nie znająca krakowskich stosunków, otrzymała zaproszenie do jednego z domów gdzie rej wodził duch Przybyszewskiego — moja babka sprzeciwiała się pójściu tam. Sama o tym w kilkanaście lat później wspominała.

— Nie dlatego że artyści, nie dlatego że gadają głupstwa, że piją nawet — ale dlatego bo wiedziałam, że gorsze rzeczy tam wynikną. Nie myliłam się, gdyż w ciągu najbliższych dziesięciu lat ile zaszło tam tragedii, katastrof i ruin, i po co i w imię czego?

— Rhozumiem moi drodzy, że to są wielcy artyści i rhozumiem nawet że ich nie rhozumiem. Ale czemuż tam tyle samobójstw? Znowuż ten Edzio Żeleński strzelił sobie w łeb pod Czarhynym Osłem — dziwił się ks. Pawlicki.

Rudolf Starzewski wspólny przyjaciel naszego domu i Żeleńskich był łącznikiem pomiędzy tą bohemą a wielu ludźmi w Krakowie.

— On w dzień jest konserwatystą a w nocy conférencier’em — powiedział Jaworski o Starzewskim.

Ciągle ktoś mówił o Tadeuszu Żeleńskim i wspominał jego wiersze. Ks. Pawlicki nareszcie je przeczytał.

— Trzeba je przetłumaczyć na frhancuskie. Pani Andrzejowa ma wielkie poczucie humoru w tym języku.

Gdyby nie śmiech, który potem nastąpił, byłbym myślał że mówi na serio.

Na Szopce w Jamie Michalikowej rodzice byli i koniecznie chciałem żeby i mnie zabrali.

— Kiedy to szopka dla starszych...

Ciotka Wala Longchampsowa urocza, wesoła i elegancka, przyjechawszy raz ze Lwowa była bardzo rozczarowana gdy poznała nie bez trudu Boya, który się do niej nawet nie odezwał.

— Ta ja myślała że on zabawny i wesoły, dowcipy będzie gadał, a to ponury brunet i jakiś zasmucony. Co wy z niego w tym waszym Krakowie zrobili?

Wreszcie jednego dnia zawołała nas Krzysia z tajemniczą miną:

— Dzieci! — taki miała nieznośny zwyczaj mówienia jakby sama była dorosła — coś wam przeczytam o panu Hoesicku z czego się rodzice śmieli.

— „Jeszcze trzy gruszki
Zjadł do poduszki

Wyciągnął nóżki

I chrapie już."

Było to bardzo zabawne, choć niezrozumiałe w całości.

Potem wyszukała wiersz o cukierni Michalika i kabarecie. Mama czasem kupowała tam ciastka o ile u Maurizia były już wyprzedane:

— „Miał se Michalik cukiernię,
Kupczył w niej trzeźwo i wiernie,
Kawusię, ciastka i pączki
Zaplata z rączki do rączki.”

— Przeczytaj jeszcze coś. Tylko żeby było zrozumiałe.

— Wiersze dla dorosłych nigdy nie są zrozumiałe — odpowiedziała żeby ratować swoją sytuację, bo sama wielu rzeczy nie umiała wytłumaczyć.

— No to czytaj o „Niedzieli Pana Lemańskiego”.

Jednego razu zastał nas przy tej lekturze ojciec.

— Cóż czytacie?

— A te wiersze — odpowiedziała Krzysia.

— Te wiersze? Gdzieżeś dopadła?

— W sypialnym pokoju.

— A dlaczegożeś zabrała?

— Bo chcieliśmy się uśmiać tak jak mama z panią Pańkowską.

— Ale nie rozumiemy dobrze — dodała Ewa.

— Właśnie...

— No to ja wam przeczytam i wytłumaczę.

I odtąd piosenki Boya weszły do naszej biblioteczeki dziecięcej z tym tylko wyjątkiem że naprawdę ich wesołość i humor objawiały się gdy je czytał ojciec, który wybierał to wszystko „co było łatwo zrozumiałe dla dzieci”.

Osoby występujące w tych wierszykach były nam dobrze znane. Rydel, Jaworski, Mycielski, przychodząc do nas często zaglądali do dzieciennego pokoju. Usłyszeć o nich jakieś śmieszne wierszyki to było zabawne, ale usłyszeć że sami o tym mówią to było jeszcze zabawniejsze.

— Rozsławił mnie Boy, co? — powiedział raz Hoesick.

— No znowu nie tak bardzo — dodał ojciec nieprzekonywującym tonem.

— Nikt tego nie bierze serio, wszyscy się śmieją.

— Karykatur panie Ferdynandzie nikt nie bierze na serio.

— Z wyjątkiem samego Boya. Podobno był bardzo niezadowolony za piosenkę o nim w kabarecie lwowskim. Boi się zawsze zaczepić Nowaczyńskiego z tego powodu właśnie.

Jerzy Mycielski wielki, gruby i niezgrabny był ucieszony, że występuje w szopce razem ze swoim wujem Stanisławem Tarnowskim.

— To nic że się śmieją — mówił — ale jakaż popularność moi kochani, jak zgrabnie to napisane. Nawet wuj Tarnowski przyznaje im talent.

I zajądając „petit four” po „petit fourze”, pijąc trzecią filiżankę herbaty zapytał mnie nagle:

— A widziałeś mój portret u Michalika?

— Nie proszę pana.

— No to poproś mamusi, żeby ci pokazała. Jadę tam we wspianej karocy.

Nudziłem matkę dopóty aż jednego dnia wstąpiła ze mną do tej cukierni. Było to rano. W pokojach było pusto, w kącie drze-

mał kelner. Na ścianach wisały obrazki, których dojrzeć było trudno w półmroku. Kanapy przypominały ławki w przedziałach kolejowych a oprócz tego były niewygodne i zsuwałem się z nich ciągle.

— Dlaczego te ławki takie niewygodne? — spytałem matki.

— Bo to jest sztuka stosowana.

Odtąd wszystkie projekty i dzieła tego okresu artystycznego utożsamiały się dla mnie z niewygodą użytku.

Portret pana Mycielskiego był mało podobny do niego, bo on nigdy nie miał takiej wykrzywionej miny. Nie podobało mi się zbyt w tej cukierni. Mama miała rację.

Po krótkiej chwili zaczęło mi się nudzić.

— A pójdziemy jeszcze na planty do łabędzi?

— Widzisz że tu nic ciekawego nie ma, bo to jest dla dorosłych.

Nie zawsze i nie wszyscy odnosili się jednak tak łagodnie i życzliwie do Boya, kabaretu i „Słówek”. Czasem słyszałem i protesty i zgorszenia.

Spotkał raz ojciec pana Ignacego Chrzanowskiego, który chodził zawsze bez kapelusza a w zapasie miał pełno anekdot staropolskich. Nie darmo był profesorem historii literatury polskiej.

Rozmowa zesłała na Boya i jego studia literackie. Zirytował się Chrzanowski, bo nie mógł darować Boyowi że zaczyna Sienkiewicza.

— Dyletant i błazen, powiadam panu, błazen, z błazeństw literatura się nie składa, co zawsze powtarzam.

Powtarzał to niestety i głosił po całym Krakowie, aż doszło do Boya, który w pokorze przyjął wyrok znanego uczonego. Lecz w wiele lat później napisał Boy w „Czasie” słynny felieton o „Wiatrologii”, gdzie dowiódł jak to na wiatr rzucają bywają z katedry twierdzenia. Godził wprost w Chrzanowskiego kończąc felieton słowami, nie dla wszystkich zrozumiałymi:

„Jeśli — pisał bezlitośnie — tak postępuje Wiedza Ścisła, cóż zostanie nam, dyletantom? jeżeli tak czynią ludzie serio, cóż zostanie nam, błaznom?”

Odradzili przyjaciele Chrzanowskiemu repliki.

Takie były spory o „Słówka” a bywały także i pisemne ataki przeciw nim. Na okładce jednego z wydań „Słówek” umieścił Boy bez komentarzy ostre recenzje o sobie.

Sam byłem sprawcą jednego ze zgorszeń, które przeszło bez większego echa, bo nie wymieniono w nim „Słówek” ani domu w którym się rzecz działa.

Pani Jadwiga Strokowa przyszła do mamy zaprosić ją aby w Dzień kwiatka kwestowała na „Żłóbek dla podrzutków kolejarских w Podgórzu”. Mama zgodziła się niechętnie co zaraz spostrzegłem.

Pani Strokowa lepiej była znana w Krakowie jako Jadwiga z Łobzowa, poetka i działaczka społeczna. Pisała nudne wiersze dla dzieci których wcale nie chcieliśmy czytać, bo były bardzo patriotyczne i pouczające. Ofiarowywała nam jednak od czasu do czasu książeczki swojego pióra.

— Pamiętaj Krzysiu jak spotkasz następnym razem panią Strokową podziękować jej i powiedzieć że przeczytałaś jej wierszyki — pouczała matka.

Bałem się zawsze pani Strokowej. Idąc do Parku Krakowskiego spotykaliśmy ją, a ona zadawała kłopotliwe pytania:

— Co to? dzieci nie w szkole?

— Nie, uczą się w domu, a on jeszcze za mały — tłumaczyła matka — i bardzo niemądry.

— Tym bardziej moja pani trzeba go uczyć, tym bardziej.

Albo:

— O jakie dziewczynki wystrojone, pewnie do kościoła idą.

— No nie, idziemy na spacer bo jest ładnie.

— A to dzisiaj wielkie święto, dzień św. Stanisława patrona i męczennika.

Nie potrzebowała nam wcale tego przypominać, bo to były przecież imieniny ojca i już wcześniej rano byliśmy w kościele a potem złożyliśmy ojcu życzenia i prezenty. Ale ona lubiła zawsze pouczać.

Otóż teraz mówiła:

— Serce się ściska o los podrzutków kolejarskich, a tymczasem panie nie chcą pomagać. Odmówiła mi Muczkowska bo ma tego dnia gości, Zollowa z dziećmi wyjeżdża, Hoyerowa, nie doprawdy jestem zgorzonna. Wszystko pani przyjaciółki...

Matka żeby temat zmienić zawołała mnie i kazała się przywitać.

— Umiesz już czytać? — spytała pani Jadwiga z Łobzowa.

— Nie, proszę pani.

— Ale umiesz wierszyki na pamięć? — pomagała mi mama — no, może zadeklamujesz coś pani. No — podpowiadała — „Kto ty jesteś?” jak dalej?

Zaciąłem się i nie chciałem powiedzieć, bo w ogóle niebardzo lubiłem ten wiersz, nie wiem dlaczego. Ale za to przypominałem sobie inny wierszyk i wyrecytowałem go jednym tchem:

— „Staś na sukni zrobił plamę
Oblał bowiem ponczem mamę,
A widząc ją w srogim gniewie,
Jak przeproszać sam już nie wie.
Plama głupstwo — mama doda,
Ale ponczu, ponczu szkoda!”

— Co? — powiedziała pani Jadwiga z Łobzowa i ze zdumienia wypatrzyła się na mnie przez okulary na długiej rączce.

Widząc jej zdumienie dodałem ni w pięć ni w dziewięć:

— „Bo w tym cały jest ambaras — żeby dwoje chciało naraz”,
Proszę Pani!

— Co?

To „co” brzmiało bardzo groźnie. Uciekłem czym prędzej z pokoju.

Jak jej dalsza wizyta wypadła nie wiem. Mama tylko powiedziała do mnie, że ma coraz więcej kłopotów ze mną, że jak tak dalej pójdzie to mnie odda do Chyrowa!

W jakiś czas później w jednym z katolickich pism wielkopolskich ukazał się felieton podpisany przez panią Jadwigę z Łobzowa, który bardzo mamę zirytował, a z którego śmiał się ojciec. Niestety nie pamiętam dokładnie ani treści tego artykułu ani tytułu pisma, ale wiem że było tam napisane coś na mamę i nieumiejętne wychowanie dzieci w domach krakowskich, które ulegają modernie i rozpasanej modzie kabaretowej. Dzieci nawet, twierdziła autorka, deklamują wierszyki więcej niż nieprzyzwoite i dwuznaczne, pełne cynicznej treści uświadamiającej.

Pani Jadwiga z Łobzowa już nigdy do nas nie przyszła.

Krzysia pierwsza spostrzegła niekonsekwencję między życiem a poezją „Słówek”.

— Pan Hoesick to wcale nie jest taki śmieszny jak tam jest opisany.

— Ani pan Rydel.

— Pan Rydel jest bardzo miły.

Rydla kochaliśmy bardzo. Jeśli wpadł do nas niezapowiedziany na kolację i rodziców nie zastał, zachodził do dziecinnego pokoju i gadał z nami.

Łatwo ponosił go entuzjazm i wtedy mówił szybko, długimi zdaniem. Poprawiał sobie binokle na nosie, gestykułował, zapalał się. Chętnie także deklamował wiersze a potem pytał:

— A co ładne?

Miał rozmaite kłopoty finansowe i ojciec nieraz go żałował, że musi uczyć w szkole, tłumaczyć dla zarobku, podejmować się zajęć, które go męczą bo zdrowie jego było słabe.

Nie słyszałem nigdy aby o kimkolwiek mówił źle lub miał do kogokolwiek urazę. Nie narzekał, choć późno wracał do Bronowic po całodziennej pracy.

Autorem wcale nie był drugorzędny jak go przedstawiano. Wśród poezji jego niejedną z wierszy brzmi szlachetnym dźwiękiem a mało wśród polskich książek dla dzieci tak pięknych baśni jak opowieść o Panu Twardowskim i Madeju. Mało które sztuki tak wdzięczną będą miały publiczność jak „Betlejem Polskie” i „Zaczarowane Koło”.

Wszystko co było polskie, tradycją ludową, co z naszej było gleby i co nam przekazała przeszłość od upoetyzowanej strony ujmował. I życie nie przyniosło mu rozczarowania, choć nie dało ani sławy dostatecznej ani dostatków. Że gadał dużo więc go wyśmiewano, ale nie widziano co było w tym gadaniu sympatyczne i wdzięku pełne. Śmiano się z niego: Ot, Lutek gada — mawiano.

Rydel zostawił po sobie rękopiśmienne pamiętniki, które po jego śmierci rodzina oddała memu ojcu.

Ciekawe to były pamiętniki! W kilkudziesięciu grubych zeszytach zapisywanych od młodości Rydel notował swe rozmowy, życie i opisywał ludzi. Dużo lirycznych wyznań mieściło się w nich od pierwszej miłości studenckiej do panny Heleny Górskiej aż do czasów jego „Wesela”, ale przede wszystkim przebiła w nich dusza człowieka niezwykle szlachetnego.

Raz Ewa wpadła na pomysł aby przeczytał nam coś ze „Słówek”.

— To i wy to znacie? — zapytał.

— Tak, tatuś nam czasem czyta i tłumaczy ale pan także może.

— Ha trudno, zastosuję się.

I zaczął czytać piosenkę o meczu footballowym, a potem z najpoważniejszą w świecie miną przeczytał wiersz o Krakowie gdzie było o nim:

— „Wyjdiesz na miasto dla użycia ruchu
Zdaleka widzisz jakieś twarze dwie:
To Rydel komuś wierci dziurę w brzuchu
Pomyślisz sobie dobrze że nie mnie...”

Wreszcie skończył i poprawiając binokle powiedział:

— Śmieszne co?

— Śmieszne, tylko że to wcale niepodobne do pana — zawyrokowały siostry.

Rydel ucieszył się bardzo.

— Niepodobne do mnie! Więc jest ktoś kto mnie nie tak złośliwie widzi? — i uściśnął moje siostry.

— A dlaczego — tak złośliwie o panu napisane? — zapytałem.

— Mój kochany — odpowiedział poważnie — bo to pisał przyjaciel z lat młodości — i zaraz roześmiał się dobrotliwie.

TYMON TERLECKI

O POEZJI ŻOŁNIERSKIEJ

Przemówienie na wieczorze poetów-żołnierzy, zorganizowanym przez Polski Pen-Club w Ognisku Polskim w Londynie.

Nie umiałbym powiedzieć, czy istnieje jeszcze inny naród, w którym pojęcie, rzeczywistość, odrębna jakość poezji żołnierskiej jest tak niewątpliwa. Przez dziesiątki lat, przez pokolenia pokładaliśmy bez mała wszystko, najczulszą nadzieję, rozpacziwą ufność — w poezji i w żołnierzu. Przez pokolenia widzieliśmy sens zbiorowego bycia w podnoszeniu walki orężnej, i w upartym, natchnionym podtrzymywaniu wartości, których nie można sprzedać, ale i niepodobna wydrzeć.

Dziś znowu jesteśmy tym samym. Stanowi o nas poezja nieprzejednania, zapisująca się w podziemiach i stanowi o nas żołnierz. Znowu jesteśmy narodem żyjącym pod chorągwią poezji żołnierskiej.

Ma ta poezja tytuł nadania, glejł do ludzkiej wieczności w piosence nad słowo prostej, wytchniętej z serca żołnierza i śpiewanej przez żołnierzy. Jej pierwsze cztery słowa: „Jeszcze Polska nie umarła“, złożone są bez najmniejszej sztuki, ale z wyzywającą zuchwałością i ze wszystkim jasnowidzeniem prawdy. Powiedziano o nich, iż są to „największe i najdonioślejsze słowa“ w naszej mowie, iż stanowią „treść i istotę polskiego sumienia“.

Nie tylko to jest znaczące, że rzadko komu wiadome jest imię tego kto tę pieśń złożył; poezja żołnierska liczyła poetów nieznanymi wcześniej nim pod nieczytły, grzeszny bruk stolic europejskich — zakopano nieznanymi żołnierzy. O wiele bardziej znaczące jest, że pieśń o tej sile przetrwania powstała na ziemi obcej, jak ta oto pod nami. Najbardziej szczególne jest w tej pieśni jeszcze coś innego. Żołnierz Legionów Dąbrowskiego, Józef Wybicki, który ją w sobie, w swoim pulsie krwi pierwszy posłyszał — patrzył jeszcze w twarz wolności, był konfederatem barskim, brał udział w insurekcji kościuszkowskiej. Mógł o sobie powiedzieć słowami poety, który żyje wśród nas: „syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni“ (Broniewski). Jakimś odruchem instynktownym, skupiającym tajemną wiarę podał czasom przyszłym, losom nieznanym, niezgruntowanym w okrucieństwie, synom i wnukom i synom wnuków podał — znak, hasło, zawołanie, wyznaczenie wiary i prawo zakonu. Poznaliśmy się według niego i poznajemy ciągle.

Nie przeszły nigdy „z ziemi obcej do polskiej“ szeregi, które śpiewały tę piosenczkę nieświadomą swego przeznaczenia. Przeszła tam tylko ona sama i — została. Zegar kurantowy wygrywał ją w dworze soplicowskim, wzniesionym z budulca najczystszej poezji. W roku 1831 śpiewano „Pieśń Legionów“ na polach bitew. Teodor Tomasz Jeż, jeden z tych, którzy zeszedli wszystkie światy w pogoni za zjawą wolności, złożył o niej takie oto wzruszające wspomnienie. Gdy w przeddzień styczniowego wybuchu przybył sekretnie pod zabór rosyjski, ze zdumieniem usłyszał, że pocztylioni, zmówieni z władzami ruchu, grają po drogach leśnych melodie mazurka

i echo ją nosi wśród drzew. Tak ta pieśń żołnierska stała się pieśnią ojczystą, poezją najpowszechniejszą całego narodu i każdego w niej człowieka.

Nie ma serca polskiego, nie ma chwili, w której by nie brzmiała dźwiękiem niekunsztownym a wyrażającym wszystko i wiekuiście ważnym. I nie ma miejsca w naszych dziejach, w którym nie było by poezji żołnierskiej. Śpiewali konfederaci barycy zgrzebne pobudki, mieszające przyspiew litanijny z pobrzękiwaniem szabel. Pulsowała poezją rewolucja polistopadowa, gdy się zaczynała od buntu młodych, gdy się kończyła żałobnym maestoso Polski dawnej. Jakaż jest bliskość tonu w wierszach Goszczyńskiego, pisanych we wrześniu 1831 roku na granicy pruskiej:

„Wysoko pod niebem żórawie leciały,
Wysoko leciały, a lecąc śpiewały.
Polami, lasami wojacy szli w tłumach
Bez pieśni, bez grania, w milczących szli dumach.
Ich dumy żałobne, ich lica w kurzawie
A dokąd wojacy? — pytają żórawie“.

Jak pogłos wraca się dziś wyzwanie powstańców 63-go roku: „Stój carze, stój, nie ustał bój“. I ciąg tej poezji jest nieprzerwany poprzez Mączkę, Małaczewskiego, Broniewskiego aż po tych, którzy są dziś wśród nas.

Nie zawsze poezja żołnierska biegła szczytami. Zdarzało się, jak to jest z Romanowskim, że stanowiła bodaj najbardziej pełne osiągnięcie swego czasu. Najczęściej zniżala się do samej ziemi, chwytala się najzwyklejszych wyrazów. O jej przetrwaniu, o jej życiu nieraz szerszym, powszechniejszym od poezji wielkiej, mistrzowskiej—rozstrzygała inna miara. Bo poezją jest raz to, co przedstawia najdoskonalszy, jedyny kształt wzruszenia i idei, to znowu to, co stanowi ich wyraz najbardziej zwykły i powszechnie zrozumiały. Raz poezja, właśnie ta mistrzowska, jest świadoma wszystkich mocy swoich, sposobów i uroków, drugi raz, jak ta żołnierska, jest odzewem instynktu, niejako organicznym wstrząsem uczucia.

Ale zawsze wielka poezja schylała się do żołnierskiej melodii z pokorną i tkliwą czujnością. Była to — czujność ta i pokora, gdy Mickiewicz patrzył w gasnące oczy przyjaciela, poety i żołnierza, Stefana Garczyńskiego, gdy w swoim ubogim paryskim pokoju nucił piosenkę o żołnierzu, który idzie „borem, lasem, przymierając głodem czasem“. Znał tę poezję jak nikt Stefan Żeromski i w imieniu tej wielkiej, najwierniejszy z wiernych, ślubował: „Bo tylko poezja polska nie opuści cię, nie znieważy, żołnierzu. Ona jedna nie zleknie się twoich snów i twoich czynów. Gdyby nawet sprawa twoja była przegrana — ona ci wiary dochowa. Ujrzy i spamięta dni twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon“.

Ale to nie jest na pewno najistotniejszy sens poezji żołnierskiej, że między nieskazitelne kolumny wielkiej poezji wmyka się ona, jak łopotliwy głos serca. Poezja żołnierska ma sens swój własny, jej tylko właściwy. Dziś, w wieku wojny totalnej, wojny technicznej, wojny sprzętu i specjalistów — ten sens jest bardziej oczywisty, jest może ważniejszy, niż kiedykolwiek. Ta poezja zawsze mówiła, dziś przeciw hukowi motorów o niezmiernej sile, przeciw grzechotowi dział szybkostrzelnych mówi jeszcze głośniejsze, że żołnierz to — człowiek, człowiek czujący. Od niego się zaczyna i na nim się kończy ta cała sprawa straszliwa w swojej przemysłowości i grozie.

W taki to sposób przez tę poezję wyjawia się prawda, że żołnierstwo jest to określona postawa wobec rzeczywistości, samoswoja moralność, obyczaj, który trzeba przyjąć, którego dobrowolnie trzeba dotrzymać. Wersety tej moralności czyta się w listach Żółkiewskiego, w uniwersałach Kościuszki, w instrukcjach, które Traugutt podpisywał, przepatrując już koniec krwawego dzieła, patrząc w oczy śmierci. „Żołnierz polski — czy-

tamy gdzieś aż z zawstydzonym wzruszeniem — powinien być prawdziwym żołnierzem Chrystusa“. „Rząd Narodowy — brzmią inne jego słowa — patrzy na wojsko nie tylko, jako na obrońców kraju, ale zarazem jako na stróżów i wykonawców prawa“.

Poezja żołnierska rodzi się z instyktownego odczucia, z tajnego rozeznania idealnej treści imienia: żołnierz. Ponad dławiącą szarość, pospolitość zabloconą, zszarganą i spotniałą wulgarność, ponad ludzką straszliwość żołnierskiego zadania — poezja wyrasta, jak znak treści prawdziwej, treści najtajniejszej, najbardziej człowieczej i najbardziej wzniosłej.

Myślę, że i na tej emigracji — którejż to z kolei? — poezja żołnierska bezwiednie wypełniła to swoje zadanie. Na naszych oczach usiłowano tu obniżyć sens żołnierstwa. Podejmowano tu zawstydzające próby dowodu, że są, w czasie wojny o samo gołe istnienie — rzeczy jakoby ważniejsze nad to, abyśmy byli żołnierzami według najwyższego wzorca polskiego. Nie moim zadaniem jest sądzić tę publicystykę. Osądziła ją poezja. Ona to, poezja żołnierska, zaprzeczyła jej samym swoim zjawieniem się, samym istnieniem.

Nie tylko w tym jednym staje poezja żołnierska przeciw temu czasowi. Jakby odwołując się do pieśni Legionów, stanowi ona wyraz jedności polskiej. Stoi ona ponad rozdarciami, zadanymi nam przez wroga, ponad przedziałami, kopanymi przez nas samych z niesłabnącą, zjadłą gorliwością. Zaprzecza ona ten obłądny i niegodny rozdział, że ten, kto nosi mundur, jest lepszy od tego, co go nie nosi. Tropi kryjące się w ciemnych zakątach, tkwiące w starych nawykach, wstydlive a niezrezygnowane zamarczenie, aby ci, którzy walczą, rządzą wszystkimi, wszystkim innym narzucali wolę, aby — według wyrażenia, które powinno zostać na wieczną pamiątkę — „trzymali za pysk“. Uczy ona po prostu, że trzeba trzymać nie za ów żelźony „pysk“, ale za serce. Kołysze ona na piersi widzenie doskonałego życia. Wie bowiem, że daremnie i okrutnie jest umierać nie za lepszy porządek, ale za gorszy lub choćby ten sam, co był.

Myślę, że to wszystko zawiera się w poezji żołnierskiej, bo to wynika z jej organicznej istoty. Myślę, także, iż w jakiejś mierze mnie samemu, niewiadomej, da temu świadectwo grupa poetów, którzy dziś przyszli na spotkanie z nami. Przyszli z jakże różnych stron świata, z jak odmiennych dróg losu, co próbował ich serc twardo, brutalnie, nieraz okrutnie, by ze wszystkich dobyć tony inaczej brzmiące, a zwodzące się w spółdzielczą jedność.

Z zimnego, sybirskiego piekła przyszła tu, między nas Halina Terlecka, urodzona w tym piekle poetka nawskroś przejrzystej szczerości.

Młodziutki, dwudziestoletni poeta Bogumił Andrzejewski, który w okopach oblężonego Tobruku czytał Biblię i Don Kichota, uczył się na nowo Boga z gwiazd i składał metafory odkrywczej nowości — staje przed nami nie tylko jako żołnierz, ale ktoś, kto popiera naszą wiarę w cywilizację europejską.

Jeszcze dalsza była droga Ryszarda Kiersnowskiego, opasała obręczą — przez Sybir, Japonię Pacyfik, Kanadę — prawie cały glob ziemski. Można myśleć, że ta Odyssea urobiła go do dojrzałości i prostoty, na którą trzeba lat.

Posłańcem z nieba jest Paweł Moskwa, lotnik bojowy, pokazujący w swej poezji urzeczywistnienie człowieka w walce, w przewycięzaniu żywiołów i własnej słabości.

Marynarska służba Józefa Miłobędzkiego, jednostajny tryb spoczynku i pracy w długich rejsach morskich sprzyjał wrodzonej wrażliwości moralnej, pozwolił wykrystalizować się w lirycznej tęsknocie do lepszego, piękniejszego świata.

Spory już dorobek Jana Rostworowskiego pokazuje proces urabiania poety i człowieka przez wojnę i służbę wojenną. W dużych poematach

dał on pierwszy obraz lirycznych doświadczeń i materialnych losów żołnierza polskiego na jednym ze szlaków wędrówki, wiodącym z dna klęski przez Francję do Anglii.

Niech teraz mówią oni sami. Stałem tu tylko po to, aby prosić o pozdrowienie dla nich, o czujność, czy według słów poety z ich pieśni „nowa jasność bije, świeża chęć życia i świeża odwaga“.

WIESŁAW STRZAŁKOWSKI

POLSKIE PEJZAŻE

Lasy wonne, opary
Nad uśpionem jeziorem,
Nieba złote pożary,
Które tleją wieczorem;

Gdzieś w gęstwinie manowce,
Zapach kory i ziela,
Dymy z ognisk i owce,
Które wieczór spopiela;

Jakieś drogi, ścieżyny,
Co nie wiedzieć gdzie wiodą
I w zapachu leszczyny
Sierp księżycy nad wodą;

Sady srebrne i w mroku
Cicho śpiące zagrody. . .
Kiedy wrócisz, uroku
Naszej wiejskiej przyrody!

DE PROFUNDIS CLAMAVI

Nocą szukam upornie znaku,
Wpatruję się w ciemność nieprzebytą,
Wyczekuję łopotu ptaków,
Wyczekuję nadejścia świtu. . .

Tęsknota i czekanie nuży,
Serce popiołem się staje;
Zabłądziły ptaki w podróży,
Odleciały gdzieś w inne kraje. . .

Jak wydzwignąć się z tego mroku,
Z tej bezdennej czarności nocy?
Ktoś serce moje okół
W pancierz niemocy.

Napróżno wołam — niesłyszany,
Napróżno pragnę — nienasycony;
Jak czarne anioły są ściany,
Gdzie mam szukać dla siebie obrony? . . .

Zaliż nie ma dla mnie pomocy
Przed tym mrokiem, który niweczy?
O zagadko wszechrzeczy,
O zagadko światłości i nocy!

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

KOLEDZE

Przyjaciół dostał w głowę,
Pociski świszczały nad rowem
I śpiewały pola minowe:
 Kwiatów nie będzie na grobie,
 Nikt chodzić nie będzie w żałobie,
 Nikt płakać nie będzie po tobie.

Głowę masz, Bracie, strzaskaną,
Pocisk trafił Cię rano,
Wieczorem Cię pogrzebano.
 Coś mówić zabrania ustom,
 Coś życie przesłania chustą. . .
 Teraz w ziemiance tak pusto. . .

BALLADA O KURKU NA WIEŻY

Szerokie, grube mury
Jasnego miasta strzegły.
Wokół ratusza stały
Domy z błyszczącej cegły.
 Małowidła i płaskorzeźby
 Zdobiły domów ściany.
 Przy bramie miejskiej na warcie
 Stał żołnierz ołowiany.

Miał muszkiet na ramieniu
I w nocy do budki się chował.
Na widok wroga podnosił
Zwodzony most rozczarowań.

 Kurek blaszany siedział
 Na samej wieży ratusza,
 Na wietrze słonecznym poranka
 Piała w nim ptasia dusza.

Radowało się serce blaszane
Ratuszowego kurka,
Gdy obok z wieży kościoła
Śpiewała sygnaturka.

 Lub gdy przez ściany fary
 Dochodził głos stłumiony,
 Chwały i dziękczynienia
 Organów rozmodlonych.

Wieczorem naprzeciw ratusza
Stała zaklęta gospoda.
Każdemu, kto miał dukaty,
Gospodarz wino podał.

Przy gospodzie mieszkała wdowa
W czepku i białym fartuchu.
Miała siedmiu małych chłopców.
Siedmiu maleńkich zuchów.

Ich ojciec był blacharzem
I kurka zrobił z blachy.
Gdy go zakładał na wieżę,
Pośliznął się i upadł z dachu.

Pogoda była nad miastem,
Błogosławiona cisza.
Lecz raz złe wiatry przywłóknęły
Jakiś wędrowny Don Kiszot.

Wiatraki poustawiał
Na grubych, warownych murach,
Śmiał się i klaskał w dłonie,
Kiedy szalała wichura.

I sam zamieszkał w wiatraku,
Bo dość miał już błędnych podróży.
Lecz wiatry się odmieniły,
I wiatr wiatraki poburzył.

Wiatraki się popsuly,
Na nic się zdała praca,
A biedny blaszany kurek
Na wiatrach się obraca.

Burmistrz zawołał mistrza
I trudną mu pracę powierzył,
By wiatry wstrzymał gwałtowne
I kurka naprawił na wieży.

Naprawił, lecz nie na długo,
Na nic się zdała praca.
Znów wiatry się odmieniły,
Znów kurek się obraca.

Podejrzewali mieszczenie,
Ze kurek im figle płała.
Włożyli na jego miejsce
Drogowskaz czterech dróg świata.

Bo drogi te są niezmiennie
I wiodą wzdłuż całej ziemi,
Krąg słońca je prowadzi,
I gwiazdy rządzą niemi.

Sprostął drogowskaz dróg świata
W nim pokładanym nadziejom.
Pogoda jest znów słoneczna,
I wiatry pomyślne wieją.

A wdowie po blacharzu
Łzy z oczu ciekną ciurkiem. . .
I dzieci się w izbie bawią
Zrzuconym z wieży kurkiem.

RĘKOPIS, ZNALEZIONY POD DYWANEM

7.

Po powrocie nie zastałem Janki w domu. A przecież miała na mnie czekać. Znalazłem kartkę: „Połeciałam na Boul' Mich' z powodu słońca. Nie krzyw się, nie marszcz czoła, nie gryź paznokci. O trzeciej przed Pascalem“.

Nie gryź paznokci? Nigdy ich nie gryzłem. Co to ma znaczyć? Ach tak, poprzednia noc... „Dlaczego gryziesz paznokcie?“ — „Nic podobnego“. — „Co, może nieprawda?“ — „Nieprawda“. — „No to zapal światło i zaraz się przekonamy“. A kiedy zapaliłem lampę, Janka poczęła się śmiać. „A widzisz jak cię nabrałam! Chciałam zobaczyć jak wyglądasz. Chciałam zobaczyć twój wyraz twarzy. No już, — nie gap się, bo nie dla ciebie zapalone, tylko dla mnie. Zgaś, Staśku, zgaś!“

Dlaczego jej nie ma w domu? Powinna była wyczuć, że coś zaszło. Dawniej zawsze wyczuwała. A może lepiej że jej nie ma? Muszę sam wszystko obmyślić. „Silny jest, kto jest sam“. Ibsen tak powiedział, a może Strinberg. Ale to nieprawda. Człowiek nie może być sam. Samotność nie dodaje siły, lecz osłabia. Kiedy siedziałem na Pawiaku w pojedynce, nawet kilkominutowa rozmowa na spacerze dodawała mi siły. Wszystko jedno z kim, wszystko jedno o czym.

Nie miałem papierosów. Szukałem ich po szufladach, bo sobie przypomniałem, że Janka odebrała mi kiedyś i schowała paczkę mocnych, czarnych prawie „marylandów“, po których kasałem. Wreszcie je znalazłem na samym dnie szuflady, pod papierami Janki. Były tam stare rachunki, skrzętnie zebrane, bilet tramwajowy do Wersalu (wiedziałem, dlaczego go schowała), notatki z wykładów. Wiedziałem, że nie popełniam niedyskrecji: „prawdziwe tajemnice“ Janka przechowywała w innej skrytce, obiecałem jej, że ich nie będę oglądał. Jeszcze jakaś kartka, wyrwana z zeszytu... Poznałem własny charakter pisma. Był to wiersz, który kiedyś napisałem i dałem Jance. Dziwny zbieg okoliczności! Wiersz nosił tytuł „Książę nad głową“. Zapamiętałem początek:

Nocą, przy zgrzycie kół, w kręgu bezwiednych myśli
Przez szybę, zapoconą zmęczonym oddechem.
Może się przyśni sen, a może się nie przyśni.
Pociąg, pijany nocą, dudni drżącym echem.
Ostatnie zgięcie ust, na stacji, pod latarnią,
Krzyczało że na zawsze, że skończona sprawa.
Może się przyśni sen, tak jak to było dawniej... .

Więc taki będzie mój wyjazd z Paryża, moje pożegnanie z Janką. Przewidziałem je, przeczulem podświadomie, kiedy pisałem mój wiersz. I przypomniało mi się, co wyczytałem w jakiejś biografii Napoleona: kiedy był jeszcze młodym oficerem artylerii, pisał powieść. Znalaziono po latach te papiery i badacz uderzył fakt niesłychany, niewytłumaczony: na marginesie rękopisu Napoleon nakreślił słowa „Święta Helena — mała wyspa“, — wielkimi, małymi, i drukowanymi literami.

Więc widocznie człowiek gdzieś w głębi podświadomości czuje, co się z nim stanie. Nie, nie zawsze. Nie przeczulałem rozmowy z Ryszardem, był to grom z bardzo jasnego nieba. Jest ono i teraz jasne, słońce świeci prosto w oczy, widzę z okna zalaną słońcem ulicę Racine, przed księgarnią stanął student-medyk, który w restauracji wypija przed obiadem kilka szklanek wody. A gdzie jego dziewczyna? Widywałem go zawsze w towarzystwie ładnej Szwedki o bardzo czerwonych wargach. Pewnie wyjechała... Nie, wyszła z księgarni. Wzięli się za ręce, poszli razem, śmieją się i mówią coś do siebie...

I nagle uprzytomniłem sobie, że tego wszystkiego już nie będzie. Nie będzie ulicy Racine, naszego pokoju i reprodukcji rzeźby z Muzeum Luksemburskiego, wiszącej między szafą i oknem. Biednie ubrany młody człowiek w kapeluszu naciśniętym na czoło obejmuje jedną ręką kobietę w chustce. Obojgu jest zimno, robotnik podniósł klapy marynarki. Patrzą przed siebie z beznadziejnym, niesłuchanie smutnym wyrazem twarzy. Podobają mi się ta rzeźba. Na Jance też wywarła duże wrażenie, ale kiedy chciałem kupić fotograficzną reprodukcję, Janka zaprotestowała, mówiąc że owa para działa przygnębiająco. A po kilku dniach przyniosła reprodukcję i powiedziała: „Masz. Byłam znowu w muzeum i patrzyłam tylko na tę rzeźbę. Jest okropnie ładna. Niczego nie trzeba się bać“.

A może jednak... może zabrać Jankę ze sobą? Zgodziłaby się od razu. Trudniej ją będzie namówić, żeby została. Ale Ryszard ma rację. Janka nie może jechać. „Słyszałem że macie niewiastę... niech lepiej nie jedzie. Sami zdecydуйте, bo przecież nie wiem, czy narzeczona, czy jak. Ale robota ciężka, głównie kolportaż, ciągle rozjazdy. Trzeba człowieka wyrobionego, inaczej się wsypie“.

Oczywiście. Janka nie może jechać. Zresztą nie może przerywać studiów. Więc musimy się rozłączyć. Janka zapyta na jak długo. Nie wiem. Nikt nie wie. Ryszard powiedział, że się później zobaczy. Może na stałe, może nie na stałe.

Chodziłem po pokoju, rozmawiając sam ze sobą. Niektóre słowa mówiłem na głos, jakby chcąc przekonać samego siebie, że sprawa jest skończona — trzeba się pożegnać z Janką i jechać. „Trudno, to jest tak jak na wojnie. Dostaje się rozkaz, trzeba go wykonać. Jesteśmy żołnierzami rewolucji. Nie mamy osobistego życia. Nie mamy prawa do osobistej szczęścia. Jeśli Partia żąda od nas poświęcenia, wtedy bez wahania...“

Nie, — powiedziałem sobie, — to są frazesy z wieców. Trzeba rozważyć sprawę na zimno. Nie bojąc się myśli, która we mnie powstała już w kawiarni i którą bałem się rozwinąć.

Więc zacznijmy od początku. W Krakowie pewni towarzysze utworzyli grupę quasi-opozycyjną, wydającą pismo „Placówka“. Grupa uważa, że Partia kładzie zbyt wielki nacisk na robotę wojskową i osłabia podstawy klasowe ruchu przez sojusze z nie-socjalistami. Pięknie. Wszystko to wiedziałem już dawniej. „W Kongresówce powstał skutkiem tego pewien rozgardiasz“, powiedział Ryszard. „Potrzebujemy ludzi...“

Ty'e w rozmowie ze mną. Ale kandydatura moja musiała być wysunięta już przedtem. W jakich okolicznościach? Kto powziął decyzję? Czy zastanawiano się nad innymi kandydaturami? Zapewne nie. Ryszard przyjechał do Paryża przed dwoma dniami. Gadał tu z kimś, ten czy inny partyjny facet powiedział mu o mnie: „Poślijcie towarzysza Zygmunta. Dobry organizator, doskonale pisze“. A może nawet prościej: „Poślijcie B-skiego. Pseudonim partyjny Zygmunt. Student prawa. Pewnie się nada“. I już. Ryszard zapisał sobie nazwisko i poszedł na obiad albo na kolację. Pewnie do jakiejś lepszej restauracji, bo podobno lubi dobrze zjeść. Wierzbicki twierdzi, że Ryszard zna się nawet na winie. Był kiedyś zwyczajnym robotnikiem fabrycznym a teraz zna się na winie. Tu już lepiej postawmy kropkę, bo przecież nie o to idzie.

A może właśnie o to? W Galicji kilku towarzyszy postanowiło założyć grupę opozycyjną. W rezultacie towarzysz Zygmunt musi przerwać studia uniwersyteckie. Podobno ma narzeczoną, „czy jak“. To nikogo nie obchodzi. Pojedzie. Medyk który się kocha w Szwedce zostanie wkrótce doktorem. Nikt też nie wyśle z Paryża tych młodych studentów, krórczy idą oto śródkiem jezdnii, śpiewając i ciągnąc za sobą przywiązane na sznurkach kałamarze i książki. Jest to pewien symbol: oznacza, że zdali egzaminy i mogą się bawić. Wesóło się bawią, bo posiadają piękną ojczyznę, wolną i niepodległą. My jej nie mamy. Młodość nasza jest

inna. Kiedy miałem niespełna czternaście lat, polecono mi roznieść pierwsze ulotki. Dostałem spis domów i listę nazwisk. Miałem wrzucać ulotki do skrzynek, a gdzie nie ma skrzynek, wsuwać je pod drzwi mieszkań. W jednym z tych domów mieszkał Szzirobajew, mój profesor rosyjskiego. Nie było go na liście, ale wsunęłam mu ulotkę z własnej inicjatywy. Szzirobajew usłyszał szmer i złapał mnie za rękę, kiedy uciekałam. Dlaczego mnie wówczas nie zadenuncjował?...

Rok później byłem już w „kółku“. Koledzy grali w piłkę nożną i w tenisa, chodzili na ślizgawkę i do Łazienek na łódki. Towarzysz Zygmunt studiował „Ekonomię Polityczną“ Bogdanowa i gryził „Kapitał“. Później więzienie. Potem znowu kółka, zebrania, referaty. Kiedyś w Warszawie Janka przechodziła ciężką operację, a ja w przeddzień musiałem wyjechać do Dąbrowy Górniczej. Dopiero teraz, w Paryżu, miałem po raz pierwszy jakieś własne życie, trochę własnego ciepła. I oto...

„Nie roztkliwiał się“, powiedziałem sobie. „Robiłeś co trzeba i było ci z tym dobrze“.

Tak. To prawda. *Ale teraz popełniono względem mnie niesprawiedliwość.*

8.

Minął tydzień. Janka nic jeszcze nie wiedziała o mojej rozmowie z Ryszardem. Nie mówiłem o niej żeby jej nie martwić, a kiedy pytała, czemu jestem zedenerwowany, odpowiadałem że z kraju nadeszły złe wiadomości, ale że chodzi o sprawy konspiracyjne.

Chciałem powiedzieć Jance prawdę dopiero wtedy, kiedy jeszcze raz porozmawiam z Ryszardem. Miałem nadzieję, że zdołam go przekonać o słuszności mego stanowiska. W Paryżu odbywał się wówczas pewien zjazd; Ryszard nie mógł być na nim obecny, ale miał przyjechać zaraz po zjeździe. Postanowiłem pogadać z nim otwarcie, bijąc głównie na to, że do kolportażu się nie nadaję, wołałbym raczej pisywać, co mogę robić z Paryża. Pisywałem wówczas popularne artykuły, rozpoczęłam też pracę nad broszurą o kwestii rolnej. Paryska biblioteka Św. Genowefy posiadała dużo materiałów, niektóre potrzebne mi książki były w Bibliothèque Nationale. W Warszawie pewnie ich nie znajdę. No i moje studia. Nie chciałbym ich przerywać, to nie wymaga dalszych objaśnień. Partii potrzebni są przecież adwokaci, czy w ogóle ludzie z wyższym wykształceniem. Wreszcie sprawa finansowa. Ojciec posyła mi wprawdzie na utrzymanie, ale na pewno się nie zgodzi na mój powrót do kraju. Musiałbym więc zarabiać na życie, co przeszkadzałoby mej pracy dla Partii. Jednym słowem wszystko przemawia za tym, że w Paryżu przynoszę Partii większą korzyść.

Obmyśliłem sobie rozmowę z Ryszardem bardzo dokładnie. Miałem gotowe odpowiedzi na pytania, które mógłby mi zadać. I idąc do niego, pełen byłem nadziei.

Ryszard mieszkał w Hotel de Nice na Bulwarze Montparnasse. Miałem być u niego przed dziewiątą rano.

Kiedy zastukałem do drzwi, Ryszard już wstał i pił herbatę. Musiałem usiąść na łóżku, bo w pokoju było tylko jedno krzesło. Na podłodze leżała brudna koszula. Ryszard wrzucił ją do nowej walizki z żółtej skóry. Kiedy ją zamykał, zamek walizki zadźwięczał jak dzwonek.

— No to mówcie. Nie mogę was poczęstować herbatą, bo mi dali tylko jedną filiżankę. O co chodzi?

— O mój wyjazd do Warszawy... to jest do kraju. Mówię do kraju, bo przecież pracowałbym pewnie nie w Warszawie, tylko w jakimś innym mieście. Otóż doszedłem do wniosku, że z punktu widzenia potrzeb Partii...

Od razu poczułem, że mówię nie to co chciałem i nie tak jak chciałem. Że się zachowuję bez godności. Że wstawiam zbyteczne, zawile i niezre-

czne zdania. Może mnie onieśmieliło, że Ryszard siedzi tyłem do mnie i je, zupełnie się nie krępując moją obecnością. Przeprosił mnie wprawdzie na początku rozmowy, ale było to przykre. Smarował bułki masłem z papierka, jadł szybko — i nic nie mówił. Dopiero kiedy zatrzymałem się na chwilę, szukając jakiegoś słowa, Ryszard mruknął:

— Dobrze, dobrze... Wszystko słyszę, tylko nic nie gadam, bo jem.

I odwrócił się do mnie z uśmiechem, pokazując spróchniałe i zczerniałe zęby. Ale uśmiech był przyjazny, dobry jakiś i dziwnie wesoly.

Kiedy skończyłem, Ryszard strzepnął okruchy ze stołu i umył sobie ręce. Potem usiadł obok mnie na łóżku i powiedział:

— A wiecie... znałem waszą ciotkę, ojca waszego siostrę. Na zesłaniu w Turuchańskim Kraju. Pannę Amelię. Dzielna panna, bardzo ją wszyscy lubili. I ładna jak malowanie. Wyszła później za Szymanowskiego, co to miał aptekę na Hożej. Słyszałem że sobie odebrała życie, już to będzie chyba z dziesięć lat temu. Ile? Ano tak, dwanaście. Dwanaście lat!

Ostatnie dwa słowa powiedział takim tonem, jakby stwierdzał fakt niezmiernie doniosłości. Cóż to wszystko ma wspólnego z moim wyjazdem do kraju? Po co Ryszard to mówi? I nagle przyszło mi do głowy, że pewnie ma. Ryszardowi powiedziano moje nazwisko, bo przecież nic nie wiedział o moim istnieniu. Może zaproponowano innych jeszcze towarzyszy. Ale Ryszard innych nazwisk nie zapamiętał, albo na nie nie zwrócił uwagi, a moje nazwisko utkwilo mu w pamięci, ponieważ znał kiedyś „ojca mego siostrę“. I postanowił, że ja pojedę do kraju. Więc mam jechać dzięki ciotce Amelii, której prawie nie znałem, bo umarła kiedy byłem małym chłopcem. Ojciec pokazywał mi jej fotografię: sucha, surowa twarz, wysokie czoło i wąskie wargi. Nie, stanowczo nie była ładną. Wydaje mi się także, że miała ostry, nieprzyjemny głos, ale może pomyliłem ją z kim innym. I owa właśnie ciotka Amelia przyczyniła się z zagrobu do tego, że Ryszard wysłał mnie z Paryża!

— No a teraz zabierzmy się do naszego interesu, — powiedział Ryszard i znowu się do mnie uśmiechnął. — Musicie jechać. Nie ma gadania. Jest tam potrzebny towarzysz z głową na karku. W tym Paryżu mają do was zaufanie, mówią że lepszego nie znajdziemy. Trzeba takiego, co by się znał na konspiracji i w razie czego mógł sam napisać artykuł, czy tam jaką proklamację...

— Ale ja właśnie piszę teraz broszurę o kwestii rolnej, — powtórzyłem z uporem. — Napisałem też ostatnio kilka artykułów, nie wiem czyście czytali...

— Czytałem. Dobrze.

I znowu uśmiech. Ryszard wstał, dając mi do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. Przy drzwiach, widocznie dla załagodzenia sytuacji, począł mi opowiadać o jakimś partyjnym zecerze nazwiskiem Malinowski, który dopisywał do artykułów różne zdania bez wiedzy autorów:

— I zaraz je sam składał w drukarni. Najczęściej się rzucał na zakończenie, bo mówił że brakuje ognia, który ma się palić w duszy po przeczytaniu. I drukował od nowego wiersza: „A jednak burżuazja padnie pod ciosami proletariatu i nigdy się nie podniesie! Śmierć carskim katom!“ Już ci go nawet ciągnęli do partyjnego sądu za te sprawki, i nie pomogło. A pił — nie daj Boże! Spirytus do czyszczenia czcionków to ci wypijał od jednego razu, więc żeśmy mu naleli nafty żeby się opamiętał, i mówimy: czyść draniu naftą, jeżeli nie możesz uszanować spirytusu...

Ryszard, śmiejąc się, otworzył drzwi na korytarz i mocno ścisnął mi rękę. Wyszedłem od niego trochę oszołomiony. Dopiero na ulicy uprzytomniłem sobie, że wcale nie mówiliśmy o Jance. A przecież to była przyczyna, dla której nie chciałem jechać. Może należało powiedzieć prawdę? Tak, na pewno, popełniłem wielką omyłkę. Gdybym

otwarcie powiedział Ryszardowi o co chodzi. . . Nie. Ryszard doskonale wiedział o co chodzi. Dlatego się uśmiechał. Wiedział i uważał, że powód nie jest wystarczający.

Zerwał się wiatr. Uderzył mnie w oczy silnym podmuchem, rozkołysał blaszany szyld nad sklepem z owocami, — szyld ze śmiejącym się murzynem, który tak dobrze znałem. Podniosłem kołnierz palta i spuściłem głowę, udając przed samym sobą, że wiatr przeszkadza mi iść naprzód. Nade mną zieleniły się młode drzewa, w powietrzu pachniało wiosną. Na Avenue de l'Observatoire kwitły pierwsze kasztany, wiatr strącał na ziemię różowe źdźbła ich kwiatów. Kładły się pokornie na wilgotne trawniki i zasypywały aleje. Jakaś dziewczynka zbierała je z ziemi i kładła do ust, leciała za nią bona czy matka i biegł w podskokach ogromny czarny pies. Dziewczynka dostała w skórę i przeraźliwie płakała, a właściwie darła się w niebogłosość. Pies zaczął szczekać i jednocześnie, raz za razem, trąbić zaczął szofer, który czekał na kogoś przed czerwonym gmachem Szkoły Języków Wschodnich. Chciałem zatkać uszy, powstrzymałem ten ruch dopiero w ostatniej chwili. Znowu przesada, znowu „histeria“, jak mówi Janka.

A jednak Paryż jest bardzo hałaśliwy. I te różowe kwiatki. . . Są stanowczo za różowe i zbyt powiewne. Przypominają tanią pocztówkę, bohomaz, kicz. No, no, daj spokój. Wierzbicki powiedział kiedyś, że szczyt pesymizmu osiąga jegomość, który wachając różę w ogrodzie utrzymuje, że pachnie tanim mydłem. . .

Dochodząc do Ogrodu Luksemburskiego skręciłem na prawo. Nie chciałem widzieć drzew i mieniących się w słońcu nad klombami rozpylnych kropel wody z mechanicznej polewaczki. Drażniły mnie barwy kwiatów, zieloność liści i ich wiosenna świeżość. I pomyślałem sobie, że widok drzew i nieba, łąk, lasów i pól nie zawsze sprawia przyjemność. Natura jest tylko ekranem, na który nasz stan wewnętrzny rzuca ten lub inny obraz.

* * *

Janka przyjęła wiadomość o moim wyjeździe dokładnie tak jak myślałem: spokojnie, poważnie i w milczeniu. Raz tylko cichutko westchnęła i zaraz pokryła westchnieniem uśmiechem i spojrzeniem, które zdawało się mówić: spójrz jaka jestem dzielna. Była to rezygnacja, ale prosta i szczerą. Bo Janka wszystko przyjmowała prościej niż ja i łatwiej się ze wszystkim godziła.

Wieczorem byliśmy w kinie. Janka serdecznie śmiała się z filmu, w którym występował Max Linder, elegancki francuski komik w spodniach w paski. W jakiejś chwili taśma się zerwała. Nastąpiła długa chwila ciemności. Janka zarzuciła mi ręce na szyję i mocno pocałowała mnie w usta.

W kilka tygodni później jechałem taksówką na dworzec. Ulice błyszczały po deszczu, jezdnia Bulwaru Madeleine stała się jakby wielkim lustrem, wchłaniającym w siebie płomień lukowych latarni i światła reklam.

9.

Partia posłała mnie do Łodzi. Utrzymywałem się tam z lekcji języka francuskiego, które znalazłem przez ogłoszenia w gazetach. Słowa „student Sorbony“ zrobiły widocznie swoje: miałem dużo lekcji, i mógłbym nawet mieć więcej, ale praca partyjna zabierała mi resztę czasu.

Była to praca czysto techniczna. Ryszard, z którym mówiłem jeszcze raz przed wyjazdem, kładł głównie nacisk na ową galicyjską opozycję, której wpływy miałem w kraju zwalczać, ale wkrótce się okazało, że po prostu nie mam na to czasu. Jeździłem często do Sosnowca, do Mławy

i do Dąbrowy, gdzie zorganizowałem punkty przemytnicze. Przychodziła tamtędy bibuła z zagranicy, trzeba było również zorganizować jej kolportaż.

Pracowałem dobrze. Praca mnie pochłaniała działała na mnie jak morfina. Chcę przez to powiedzieć że gasiła we mnie myśli, które tliły się gdzieś na dnie duszy. Przestałem się roztkliwiać nad własnym losem. Robota nielegalna i bezpośredni kontakt z ruchem, który w Paryżu do pewnego stopnia zatraciłem, dobrze mi zrobiły. Pamiętam że kiedyś w Dąbrowie, idąc na stację po zebraniu, śmiałem się z samego siebie i z myśli, które mnie dręczyły w drodze z Paryża do kraju. Byłem trochę dumny z siebie, że po raz pierwszy utrzymuję się z własnej pracy, że towarzysze w Dąbrowie liczą się z moim zdaniem i pytają o rady nie tylko w sprawach techniki.

Pisywałem do Janki długie listy: o moich uczniach i uczennicach, o książkach, które czytałem. Janka odpowiadała, — z początku krótko i banalnie, bo nie umiała pisać listów, zawsze przychodziło jej to z trudem. Ale potem dostawałem od niej długie listy, pisane moim stylem. Janka przejęła go bardzo prędko, może bezwiednie. Chociaż widocznie niezupełnie bezwiednie, bo kiedyś dostałem od niej list, w którym przypominała mi rozmowę o „rasowym psie“:

„Rasowy pies ma swoje narowy, i trudno go od nich odzwycząić. Chyba batem. Już to pewnie zauważyłeś, Staśku, i marszczysz czoło w mieście Łodzi. I naprasno, to znaczy zupełnie niepotrzebnie, bo co ci to szkodzi? Jeszcze ci muszę opowiedzieć o Jurku W. Miałeś rację kiedyś mi go polecał na takie chwile kiedy będę smutna, bo Jurek jest rzeczywiście bardzo wesoły i dowcipny. Wyobraź sobie że już się zapoznał z tą rudą ładną studentką, która mu się wtedy tak podobała w kawiarni „La Source“. I okazało się że to wcale nie Francuzka, tylko Rumunka! Po prostu podszedł do niej w kawiarni, bo ona zawsze tam siedzi po południu, i powiedział: „Pani jest bajecznie ruda. Czy nie zechciałaby pani być rudą razem ze mną i usiąść przy moim stoliku?“. Ona się strasznie śmiała. Napisałabym ci po francusku, jak on jej to powiedział, ale się boję że wsadzę jakiegoś byka, a może nawet kilka. Tylko nie bądź zazdrosny o Jurka W., i w ogóle o nikogo, wcale, wcale, wcale, bo jak będziesz zazdrosny, to się z nikim nie będę spotykała i z nikim rozmawiała, tylko z Madame Ollivier z naszego hotelu. I wtedy będziesz mnie żałował, bo ona zawsze opowiada co zjadła na obiad albo na kolację, albo cztery lata temu. Dobranoc, Staśku, jestem cną twojej lampy. I już mnie nigdy nie odgonisz. Śpij dobrze i niech ci się przyśni coś bardzo niebieskiego“.

Nie, nie byłem zazdrosny o Jurka Wierzbickiego. Ani o nikogo. Wierzyłem w Jankę i nie miałem wątpliwości, że zostanie moją żoną i że będziemy bardzo szczęśliwi. Tą myślą żyłem i kiedy budząc się rano zadawałem sobie pytanie czy oczekuje mnie tego dnia coś przyjemnego, odpowiadałem jednym słowem: Janka. Może dostanę list od niej. Może Partia pošle mnie do Paryża, choć na krótko.

Ale stan wewnętrznego spokoju i pogodzenia się z losem nie trwał długo. Pewne myśli mają to do siebie, że kielkują i rosną niemal samodzielnie, jak bakcyle choroby.

Któregoś dnia bakcyle dały o sobie znać. Było to podczas lekcji u Kazia M. Rodzice Kazia posiadali duży majątek, byli to spolszczeni Niemcy, którzy wzbogacili się w Polsce. Dziadek pracował jako tkacz, wnuk, ojciec Kazia, mieszkał w pałacyku i należało do niego kilka fabryk. Pan M. miał piękne obrazy, na których się nie znał, dużą bibliotekę, z której nikt nie korzystał, niedawno sprowadził sobie z zagranicy nowy fortepian, chociaż nikt w domu nie umiał grać. Co się tyczy Kazia, dość sympatycznego dwunastoletniego chłopca o wielkich niebieskich oczach, interesowały go wyłącznie „Szerloki Holmesy“. Zeszyty te, pisane okropną polszczyzną i wychodzące co miesiąc, Kazio skrzętnie zbierał.

I otóż nagle podczas lekcji uderzyła mnie myśl, że gdybym posiadał majątek państwa M., wiedziałbym, jak go użyć. I poczęłem marzyć o bogactwie. Majaczył mi się w głowie jakiś park ze starymi drzewami i dom, zalany słońcem. Jak na obrazie w Luwrze: wpółotwarte drzwi do ogrodu rzucają snop światła na drewniany stół. Na stole leżą świeżo zerwane owoce. Z obrazu bije spokój, cisza i szczęście. Poźniej myślałem o niezależności i o tym, że tylko pieniądze umożliwiają bezpośredni kontakt z życiem.

„Nie będę nigdy bogaty, więc nie ma o czym gadać“, powiedziałem sobie. Ale przecież mógłbym być bogaty, gdybym chciał. Sprawa jest bardzo prosta. Trzeba pracować dla siebie, nie dla innych. Nie dla tak zwanej ludzkości, tylko dla siebie. Bo jedno z drugim pogodzić się nie da. Zbijanie majątku wymaga określonego nastawienia.

Wieczorem myśl wróciła, jak natrętna mucha. A raczej nie jak mucha, lecz taki jakiś wygolony i grzecznie pochylony pan, który zacierał ręce i grzecznie się uśmiechał: a więc stanąłeś przed drzwiami i boisz się je otworzyć. Dlaczego? Może prowadzą do domku w ogrodzie, zalanego słońcem? A może nic za nimi nie ma? Nawet szafy — tylko jakaś ciemna skrytka w murze, zapach stęchlizny, i złamana szczotka, pokryta zeszytniałą ścierką. Kościół katolicki umieszcza niektóre książki na indeksie. Nie wolno ich czytać, ponieważ mogą odebrać wiarę. Więc już do tego doszło. Nie możesz otworzyć drzwi. Nie masz w sobie dość siły, żeby się na to zdobyć. A przecież będą cię męczyły. Istnieje opowiadanie Hamsuna o zamkniętych drzwiach, które doprowadzają człowieka do obłędu. Nie, to chyba napisał Edgar Poe. Podróżnik przyjeżdża do jakiejś miejscowości i wynajmuje pusty dom, stojący na uboczu, na granitowej skale. Musi podpisać zobowiązanie, że nie otworzy pewnych drzwi...

Dosyć. Przypominam sobie przecież tę historię tylko dlatego, żeby zmienić tok myśli. A więc wróćmy do punktu wyjścia. Osiągnąć cel w życiu może tylko ten, kto wie do czego dąży. A ja? Jak ja sobie wyobrażam przyszłość? Wyrażając się górnolotnie, dążę do szczęścia proletariatu. Do zmiany warunków życia dla wszystkich. I w tym ogólnym strumieniu ma popłynąć i moje życie, — jeśli nie natrafi na mielizny. A mielizny na pewno będą: więzienia, czy też decyzje jakichś Ryszardów. Wszystko to nie ma znaczenia, jeśli się wierzy w słusność sprawy. Następuje wówczas harmonia, niezbędna dla osobistego szczęścia.

Ale jak to właściwie jest z ową zmianą warunków na lepsze? Istnieje oto nasz świat, — jeden z milionów światów. I na jakiś nieskończenie krótki okres czasu zjawiają się ludzie. Próbują zmienić warunki życia, walczą i głoszą swoje hasła. I zawsze uprzedza ich śmierć. Wtrąca ich znów w bezterminową nicość, z której przyszli. A po ich śmierci zupełnie tak samo palą się nad ziemią gwiazdy.

Życie jest zbyt krótkie. I wcale nie jest pewne, że sens jego polega na budowaniu szczęścia dla przyszłych pokoleń, skoro dla naszego pokolenia nic już zrobić nie możemy. Może życie w ogóle nie ma sensu. Są to po prostu linie, biegnące wzdłuż i wszerz, załamujące się i tworzące girlandy i labirynty, wachlarze i wodorosty, — jak desenie firanki. Desenie nigdzie się nie kończą, a właściwie kończą się tam, gdzie firankę odcięto.

No tak, to już jest zupełnie beznadziejne. A jeżeli sens życia polega tylko na wytworzeniu ciągłości? Za tym przemawia istnienie pociągu pociowego i wszystkiego, co on ze sobą niesie. I to wyczerpuje kwestię altruizmu i egoizmu. Może nawet altruizmu w ogóle nie ma, bo przecież altruizm jest również tylko jakąś formą egoizmu. Człowiek popelnia dobre uczynki dlatego że mu jest z tym dobrze. I z tych samych przyczyn poświęca się dla innych i nawet ginie.

Gładki człowieczek począł kiwać głową i uśmiech jego zrobił się jeszcze

bardziej ironiczny. Ocknąłem się. Kazio czytał na głos „Lettres de mon moulin“ Daudet’a, które go absolutnie nie interesowały.

— Łącz „s“ z następnym słowem, — powiedziałem. — „S“ na końcu słowa łączy się zawsze z następnym słowem, jeśli słowo zaczyna się od samogłoski.

— Ale tu po „s“ jest „et“. A jak jest „et“, to się nie łączy. Tak nas uczyli w szkole.

— Nie wiem, jak tam u was uczyli. . .

— I w gramatyce jest powiedziane. . .

— Nie przerywaj. Może jest to powiedziane w gramatyce, ale Francuzi łączą „s“ nawet z „et“. Naprzykład: Mesdames-et-Messieurs. Ze Messieurs. (Przypomniała mi się znowu kobieta, śpiewająca wówczas piosenkę przed kawiarnią, gdzie siedziałem z Ryszardem). Więc nie mędrkuj i wymawiaj jak ci każę!

Kazio spojrział na mnie ze zdziwieniem i mocno się zaczerwienił. Nigdy jeszcze nie mówiłem z nim takim tonem. Ale musiałem przecież wylać na kogoś złość, która powstała we mnie po rozmowie z pochyłym człowieczkiem. Nagle, nie wiem czemu, przyszło mi do głowy, że człowieczek nosi zawsze rozpięte rękawiczki. . .

Miałem tego dnia jeszcze jedną lekcję. Panna Różia czekała już pewnie na Zawadzkiej, chociaż lekcja miała się zacząć dopiero za kwadrans. Pan Spiegel, ojciec panny Rózi, wygląda już niewątpliwie przez okno na ulicę. Gdy mnie zobaczy, schowa się w głębi mieszkania, i otworzy mi drzwi dopiero gdy zadzwonie, gdyż zawsze udaje, że mnie z okna nie widział.

Do pokoju panny Rózi przechodziło się przez dwa inne pokoje, zwykle niesprzątnięte. Kiedy zaczynała się lekcja, Spiegel stawał w stołowym przy oknie, wychodzącym na podwórkę. Był to starszy Żyd o niezdrowej cerze, chodził po mieszkaniu w meloniku. Na podwórku mieścił się jakiś skład, z którego ustawicznie coś wynoszono. Czasami zajeżdżały tam fury zwane w Łodzi rolwagami. Ciągnęły je wielkie brandeburskie konie o włochatych nogach. Na podwórku powstawał wówczas wielki harmider, wyrastało niewiadomo skąd mnóstwo młodych i starych Żydów w chałatach, przypatrujących się temu co się dzieje. Spiegel krzyczał z okna jakieś krótkie słowa. Słychać go było w pokoju Rózi, którą to widocznie raziło. Kiedyś, wskazując głową w kierunku składu, panna Różia powiedziała, jakby przeprasząc mnie za hałas:

— On tam ma swój towar.

Kiedy fur nie było, Spiegel stukał do pokoju w którym odbywała się lekcja. Mówiłem „proszę“, Spiegel wchodził i pytał:

— Może dla pana herbatki? Żona się zapytuje.

— Nie, dziękuję.

Następowało wtedy drugie pytanie:

— Moja córka robi postępy?

— Owszem. Niedługo będzie już mówiła po francusku.

— No, no. Chciałbym usłyszeć.

Różia gryzła wargi. Ojciec uchylał melonika i wychodził. Melonik specjalnie irytował Rózię, która była dziewczyną postępową.

Miała czternaście lat, ale wyglądała na więcej. Na policzki jej często występowały ceglaste rumieńce. Patrzała też na mnie jakoś dziwnie, jakby chciała mnie zapytać o wiele rzeczy i brakło jej odwagi. Z początku myślałem że dziewczyna się we mnie durzy, potem to sobie wyperswadowałem. Przedwczesny rozwój, myślałem, właściwy jej rasie. Męczą ją te sprawy, chciałyby z kimś pogadać i nie ma z kim. Czyta pewnie po nocach pseudo-naukowe broszury o sprawach seksualnych. Było to wówczas modne. Zdawało mi się, że je przechowuje w szufladzie, bo ją zbyt spiesznie zamykała, sięgając po zeszyt. Widziałem kiedyś, że leżą tam jakieś książeczki.

Ale pewnego dnia się okazało, że przypuszczenia moje były całkowicie mylne. Po lekcji podczas której spoglądała na mnie badawczo częściej niż zwykle, Różia wyciągnęła z szuflady broszurkę w szarej okładce i zapytała:

— Pan to czytał?

Znałem dobrze ową broszurę. Transport przybył niedawno z Krakowa nie bez mego współudziału.

— Nie, — odpowiedziałem. — A tyś czytała?

— Jeszcze nie czytałam, bo mi dopiero wczoraj dali i tylko na dwa dni. Ja tu mam jeszcze inne książeczki i już dawno chciałam się pana zapytać. . .

— Niepotrzebnie zajmujesz się polityką, — powiedziałem. — Masz dopiero czternaście lat, jeszcze zdążysz.

Różia spuściła oczy. Na schodach zrobiło mi się dosyć głupio. Nie mogłem oczywiście powiedzieć Rózi, kim jestem. Mogłaby się wygadać, a Ochrana posiadała konfidentów nawet w kółkach młodzieży. Ale po co jej powiedziałem, żeby się nie zajmowała polityką? To już było całkiem zbyteczne.

Kiedy wychodziłem, Spiegel stał w bramie, paląc papierosa.

— Pan w stronę Piotrkowskiej?

Była to nowa forma pytania. Zwykła brzmiała: „Pan już wychodzi?”

— W stronę Piotrkowskiej. Do widzenia panu.

— Momencik. Ja tu mam dla pana kopertę. . .

— Pan mi zwykle płaci w czwartki, — powiedziałem. — Dziś mamy środę.

— Ja wiem że my dzisiaj mamy środę. Ale ja jutro nie mogę zapłacić. Jutro jest żydowskie święto i mnie nawet nie wolno nosić w kieszeni pieniędzy, albo innego ciężaru. Chociaż pieniądze to jest słodki ciężar. . .

Pan Spiegel roześmiał się z własnego dowcipu i dodał:

— Ale na lekcję proszę jutro przyjść. Moja Różia nie jest nabożna, to ona może mieć lekcję. Ja z panem pójde kawałek drogi, mnie się przypomniało że mam załatwić jeden interes na rogu Cegielnianej. . .

Nie miał żadnego interesu na rogu Cegielnianej, tylko chciał ze mną pogadać o Rózi. Czy nie zauważyłem w niej żadnych zmian? Czy nie sądzę, że ostatnio lepiej wygląda?

— Bo muszę panu powiedzieć jeden sekret. Pan wie że ona jest socjalistka?

Nic nie odpowiedziałem. Spiegel ciągnął dalej:

— Ona sobie przyniosła książeczki, i co z nich wyczyta, to mówi że to prawda, i ona się tym bardzo zadawalnia. I już nie lata do kinematografu „Casino“ dwa razy w tygodniu, tylko czyta książki z jedną koleżanką, co mieszka na Południowej czternaście. Nawet bardzo porządny człowiek, ja myślę ojciec, on ma na Południowej własny interes z futrami. . .

— Po co mi pan to opowiada?, — zapytałem zniecierpliwiony.

Spiegel spojrział na mnie z zakłopotaniem i odpowiedział poważnie:

— Ja mam do pana prośbę. Różia pana bardzo szanuje i nawet mi mówiła, że pan pewnie też jest socjalista. Ale ja nie wiem czy ona się myli, i ja się nie pytam. Tylko jak pan nie jest socjalista to ja chciałem poprosić, żeby pan z Rózią nie rozmawiał o jej książeczkach.

I obawiając się że go nie zrozumiałem, Spiegel dodał:

— Bo ona mogłaby stracić swoje wierzenie. A ja sobie myślę, że jak ona nie może być nabożna, to niech ona chociaż ma swoje książeczki. . .

To było ostatnie ostrzeżenie. Zesłał mi je przypadek, a może Opatrzność.

Ale przyszło za późno.

Byłem w kraju niespełna rok. Towarzysz Ryszard zjawił się pewnego dnia w Łodzi, przyjazd jego był tak zakonspirowany, że się o tym dowiedziałem dopiero w przeddzień zebrania na którym miał wygłosić referat. Razem z nim przyjechał garbusek Klotz, który przewodniczył na zebraniu, czyniąc mi podczas przemówienia Ryszarda jakieś dziwne znaki. Później mi powiedział, że owe faliste ruchy ręki miały symbolizować biegnący pociąg. Klotz wiedział już, że Partia postanowiła sprowadzić mnie z powrotem do Paryża dla pomocy w zorganizowaniu tam centralnego wydawnictwa, z czego zresztą później nic nie wyszło.

Jechałem do Paryża w złym nastroju. Rozmyślałem w pociągu nad zakończonym rozdziałem mojego życia i nad tym co będzie. Jak ukryję przed Janką, że już w nic nie wierzę? A przecież muszę ukryć. Nie tylko przed Janką. Przed wszystkimi. Kiedy zdałem sobie sprawę, że się zmieniłem, powziąłem jednocześnie decyzję: nikt o tym nie powinien wiedzieć. Nie chciałem zrywać z Partią, bo nie miałem dokąd pójść. Gdyby mnie zapytano co mam do zarzucenia Partii, musiałbym odpowiedzieć że nic. Nic i wszystko. Stała mi się po prostu obcą. Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi kiedyś jak się rozszedł z żoną. Pewnego dnia wpakował do walizki najpotrzebniejsze rzeczy i przeniósł się do hotelu. Nie było żadnych scen, żadnych rozmów ani listów. Nie umiał nawet powiedzieć, dlaczego to zrobił. Kiedy go zapytałem o powody, wzruszył ramionami:

— Nie wiem. Zdaje się że nie było powodów. W każdym razie żadnych bezpośrednich powodów. Tylko tak, w ogóle. . . A wiesz, jak się kto tak rozstaje z niewiastą, to już na zawsze. . .

Ale ja nie mogłem „przeprowadzić się do hotelu“. Miałem swój świat, budowany prawie od dzieciństwa. Nici, wiążące człowieka z innymi ludźmi, są silniejsze niż wspólne wierzenia. Bałem się samotności. I mówiłem sobie, że w moim świecie jest pewnie wielu takich jak ja: zgorzkniałych, rozczarowanych ludzi, którzy już dawno utracili wiarę, tylko że nikt o tym nie wie. To są tajemnice, które się ukrywa najgłębiej, na samym dnie duszy.

Człowiek pamięta zwykle co robił i co mówił, wie co się działo w różnych okresach jego życia, i lampa, rozświetlająca wydarzenia młodzieńczych lat pali się jaśniej po pięćdziesiątce. Ale zostają w pamięci tylko fakty. Znacznie trudniej przypomnieć sobie myśli. Nie wiem już dzisiaj, jak i kiedy ostatecznie przestałem wierzyć. Nastąpiło to pewnie stopniowo. Nikt zresztą nic nie zauważył. Jeden tylko Wierzbicki. . . Chodziliśmy kiedyś nocą po Quai de Bethunes, opowiadałem mu o mojej robocie w kraju. Potem siedzieliśmy długo na ławce, paląc w milczeniu papierosy. Wydawało mi się dziwnym, że już nic więcej opowiedzieć nie mogę, szukałem jakiegoś nowego tematu. I nagle Wierzbicki powiedział:

— Mamy teraz w Paryżu wcale dobrą bibliotekę. Wypożycz sobie kilka książek i czytaj. Ale wybierz najtrudniejsze. Weź drugi tom „Kapitału“, lub choćby pierwszy. Sam nie czytałem, ale tobie radzę.

I po chwili, z naciskiem:

— To pomaga.

Spojrzałem mu prosto w oczy i zapytałem:

— O co ci idzie?

— O nic. Daję ci po prostu radę. Tu es mon ami, eh bien, je te donne un conseil. Tylko nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiał. Żadne dzieło nikogo nie przekona, bo zawsze można sobie powiedzieć, że chociaż Markszy mają rację i wszystko u nich sztytuje, jednak z tego bynajmniej nie wynika, żebym ja właśnie, a nie kto inny, kładł że tak powiem życie w ofierze. Jedno z drugim ma mało wspólnego. Ale

czytanie tych książek posiada inne dobre strony. To jest ciężka i absorbująca praca, a jak się do czegoś włoży dużo pracy, to się później ma do tego przywiązać, niby do własnej rzeczy. To tak jakby kto sobie wybudował dom własnymi rękami. I chociaż dach przecieka, i zimno, i ponuro, a jemu się podoba, bo się napracował. Tu as saisie mon idée?

Wierzbicki podniósł kamień i rzucił go do czarnej wody Sekwany. Za chwilę zaczął się śmiać, obracając wszystko w żart. Ale zrozumiałem że odgadł, że wie. Pomogło mu pewnie pokrewieństwo duchowe, którego istnienie wykazały późniejsze lata. . .

Inni nie wiedzieli. Pracowałem w kraju i teraz w Paryżu nie gorzej niż przedtem. Może nawet lepiej. Pisałem artykuły, przemawiałem na zebraniach. Miałem swój dawny, wypróbowany sposób mówienia na większych zgromadzeniach: niższy, głębszy ton głosu, twarda wymowa pewnych słów. Tylko że dawniej było to naturalne, a teraz robione. I nikt się na tym nie poznał. Bo nieprawdą jest, że wpłynąć na innych może tylko fanatyk, przekonany o słuszności swojej idei. Wcale nie. Robiony fanatyzm działa czasami lepiej. Człowiek, któremu umarł ktoś bliski, wywołuje może lekkie współczucie, ale nic poza tym. Aktor na scenie, udający że go spotkało nieszczęście, potrafi doprowadzić nas do łez. To samo jest zresztą z literaturą. Pisarz, opowiadający prawdziwe zdarzenie, nikogo nie wzruszy. Musi je dopiero urobić, zmienić, rozkładać. Albo zgoła wymyślić.

* * *

Pewnego dnia obudziłem się o czwartej nad ranem. Było to w jakieś pół roku po moim powrocie do Paryża. Do pokoju padało już trochę światła. Janka leżała na wznak, bez ruchu, z oczami utkwionymi w sufit. Nie patrząc na nią, widziałem dokładnie wyraz jej twarzy. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że słyszałem przez sen jak płakała.

Z ulicy dolatywały głośnie, szybkie kroki przechodnia. Tak-tak, tak-tak, tak-tak. Stał. Może zapalał papierosa. Później znowu. Tak-tak, tak-tak. . . Coraz ciszej, coraz dalej. Wreszcie zupełnie zagłuchły.

Zapaliłem lampę. Janka leżała, nie odwracając głowy. Wieczorem i w nocy rozmawialiśmy o sprawach powszednich, bez znaczenia.

Nagle Janka zapytała:

— Stachu, co ci jest? Proszę cię, powiedz mi co ci jest. . .

— Nic mi nie jest. Dopytujesz się ciągle o to samo. Nic mi nie jest. Śpij.

— Po co palisz w nocy? Dawniej nie paliłeś.

— A teraz palę. Wszystko cię dziwi. A wiesz, co się za tym kryje? Mógłbym ci powiedzieć, ale nie chcę.

— Nie, Stachu, już się nie kryje. Przedtem się kryło, ale teraz już nie.

— No to chwała Bogu. Śpij, Janko. Uroiłaś sobie jakąś pannę w Warszawie czy też w Łodzi. Nie ma jej. Nie istnieje.

— No tak. Ale już o niej nie myślę. . .

Palilem papierosa i nic nie mówiłem. Wiedziałem, że rozmowa na tym się nie skończy, ale nie miałem w sobie dość siły by ją nadal prowadzić. I myślałem, że ostatnio stałem się dziwnie nieśmiały, uległy, niemal pokorny. W kolejce podziemnej ustępowałem miejsca nie tylko kobietom, ale i mężczyznom. Patrzano na mnie ze zdziwieniem kiedy wstawałem a ja sam nie wiedziałem, dlaczego to robię. A w stosunku do Janki? Kiedyś, jeszcze przed wyjazdem do kraju, prosiłem ją by mi przepisała konspekty wykładów w Sorbonie. Pracowała prawie całą noc i chociaż było mi jej trochę żal, nie robiłem sobie żadnych wyrzutów. Uważałem za całkiem naturalne, że mi pomaga. Dlaczego teraz nie proszę ją o nic? Wczoraj wróciła o szóstej, chociaż miała być w domu zaraz po czwartej. Byłem o nią niespokojny, myślałem, że się coś stało. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca w domu, szukałem jej u owej Rumunki,

znajomej Wierzbickiego, z którą się zaprzyjaźniła, później wróciłem do hotelu i stałem w oknie chyba z godzinę. Wreszcie nadeszła, roześmiana i zarumieniona z pośpiechu. Okazało się że koleżanki zaciągnęły ją na jakąś wystawę. Za dawnych czasów zrobiłbym jej awanturę, może nawet nie rozmawiał z nią za karę z pół dnia. A wczoraj tylko zapytałem, dlaczego nie telefonowała że przyjdzie później. I zaraz dodałem:

— Zresztą to nie ma znaczenia, bo mnie też nie było w domu. Przyszedłem dopiero przed chwilą.

I wiedziałem, że moja uległość martwi Jankę najbardziej. Z czego ona płynie? Widocznie z bezwiednego uczucia, że dawniej miałem prawo żądać od ludzi różnych rzeczy, a teraz nie mam. Z obawy, że inni to widzą, chociaż nikt nic nie widział.

Trzeba zasnąć. Mam jutro wygłosić referat o zadaniach Partii w chwili obecnej. Będzie opozycja, muszę być w dobrej formie. W chwili obecnej proletariats polski w sojuszu z chłopstwem. . . Za dziesięć lat nie będzie już chwili obecnej. Będą jakieś inne chwile, ale trudno mi je sobie wyobrazić. Dawniej widziałem przyszłość, dziś jej nie widzę. Zaraz, jeszcze tylko chwilę, zanim zasnę. Drzwi, prowadzące do ogrodu, wieczory jesienne przy lampie, i Janka. . . Nigdy jej nie powiem, co mi jest. A sama się nie domyśli, bo za mocno we mnie wierzy. Będą szły lata, i Janka wciąż przypominać mi będzie przeszłość, z którą muszę przeciwieź zerwać. Więc i z Janką. . . Nie, nie, o tym lepiej nie myśleć. Przeszłość jest latarnią, która się pali za naszymi plecami. Naprzód rzuca ona tylko cienie. . .

A przyszłość? Latające zygzaki, przesywające niebo z góry na dół, — takim geometrycznym ruchem, jak błyskawice, które rysują na obrazkach. . . Tylko że bezdźwięczne, powolne, leniwe. Powstają z nich trójkąty i czworoboki, ostre, płomienne, i brunatno-żółte. To jest przyszłość. Teraz znowu twarde linie, biegnące wzdłuż i wszecz, sploty nieistniejących lody, nieubłagane jak desenie tapety. . .

Słyszałem wyraźnie, jak wiatr na ulicy przesuwiał pod oknem szeleszczący papier. Papier wędrował powoli, teraz pewnie zatrzymał się przed wejściem do hotelu. O szybę otwartego okna cichutko uderzały drobne krople deszczu. Nie patrząc na Jankę ciągle jeszcze widziałem wyraz jej ust i szeroko otwarte oczy.

* * *

To wszystko działo się przed tamtą wojną. Po wojnie nic już się nie działo.

Wkrótce po opisanych wypadkach matka Janki zachorowała i wezwała ją depeszą do Wilna. Odprowadzając Jankę na stację kupiłem jej po drodze ładny sztych, przedstawiający psa. Sztych wisiał później w mieszkaniu Janki w pewnym mieście na Kresach. Janka była już wówczas żoną Wierzbickiego, który wystąpił z Partii kilka lat przedtem. I ja nie należałem już do Partii.

Kiedyś, będąc w Paryżu, zamieszkałem w hotelu przy ulicy Racine. Mój dawny pokój był wynajęty, ale wpuszczono mnie do niego podczas nieobecności lokatora. Wydał mi się dziwnie niski i mały. Pani Ollivier bardzo się zestarzała. Opowiedziała mi jakie potrawy podawano na obiedzie ślubnym jej najmłodszego syna. W pokoju pachniało lekarstwami. Na jednej ze ścian zauważyłem wielką tłustą plamę.

U Janki byłem tylko raz jeden. Miasto w którym mieszkała, tonęło we mgle. Dróżki z poprzecznych desek, rozklekotanych i przypominających klawisze fortepianu, zastępowały chodniki, ale nie chroniły od lepkiej, żółtawej gliny, przyrastającej do butów. W salonie Janki paliło się mnóstwo świateł. Mówiono o hotelach w Nicei i o paryskich restauracjach. Później goście przeszli do stołowego, a ja zostałem z Janką, która chciała mi pokazać przycisk, kupiony w Mediolanie. Stałem za nią, kiedy go

szukała w szufladzie, patrząc na jej wązkie plecy i cienki łańcuszek na szyi, migoczący pod światłem lamp. I nagle Janka pochyliła głowę i powiedziała bardzo cicho:

— Coś ty zrobił, Staśku. . . Coś ty zrobił. . .

Londyn, lipiec-wrzesień, 1942.

TADEUSZ POTWOROWSKI

SPOTKANIA

Był pogodny wrześnieowy wieczór, kiedy siedziałem w chłopskiej chacie i z trudem ściągałem moje wojskowo buty, które pokaleczyły mi nogi, tak że nie mogłem iść dalej, a musiałem iść.

Myślałem o tym, że skończyła się jakaś wielka epopeja romantyczna, czułem że wychodzę z domu jasnych złudzeń.

Ściany domu rozpadły się nagle, brutalnie, chciałem je podtrzymać, ogarnięty przerażeniem przed pustką przestrzeni otwartych i ciemnych. Teraz już byłem po drugiej stronie; nagle zacząłem myśleć o Mickiewiczu i poczułem, że im będę uboższy, im bardziej będę pozbawiony praw i przywilejów, tym bardziej będę wolny. Czułem cichą radość bardzo gdzieś głęboko w sobie.

Buty leżały na podłodze, gospodarz chaty zaproponował mi zamianę. Wyciągnął z kąta parę podartych chodaków, zgodziłem się. W izbie robiło się coraz ciemniej, chłopcy w szkolnych czapkach, którzy przyszli ze mną, a należeli do resztek kompanii ochotniczej z Lublina, siedzieli cicho zmęczeni.

Pod oknem, na ławie, siedział stary żyd. Dowiedziałem się, że wypędziło go wojsko niemieckie, z domu zabrał ze sobą tylko mały węzełek, który trzymał na kolanach.

Rozmawiałem z gospodarzem o tym, jak najlepiej przejść przez San. Pytałem się jak gęsto są rozstawione placówki niemieckie.

Ale trzeba było się spieszyć, od wschodu mogli nadejść lada chwila bolszewicy. Chciałem wkładać chodaki na bose nogi, bo moje skarpety były w strzępach, kiedy stary żyd wstał z ławy, podszedł do mnie, wyciągnął ze swego węzela parę skarpet i podał mi je nic nie mówiąc.

Nie chciałem wziąć, przecież sam nic nie ma, ale zmusił mnie: „Pan nie może tak iść, mnie nie potrzeba, ja już stary i nigdzie nie pójde” . . .

W izbie robiło się coraz ciemniej, trzymałem w rękę skarpety i przyglądałem się im, były szaro niebieskie i bardzo starannie pocerowane, pomyślałem o starej żydówce, która musiała je cerować wieczorami, przy lampie, kiedy w pokoju było cicho i jasno.

* * *

Była odwilż. Gliniasta ziemia przylepiała się do butów, wiatr dął od wschodu zimny, przejmujący, szedłem miedzami przez faliste wzgórza.

Niebo było szare, pełne chmur i wisało nisko nad ziemią. Cały nastrój pejzażu był rozpaczliwy, listopadowy.

Byłem przygnębiony i zmęczony, myślałem o szlachcicu krewniaku, który wyrzucił mnie ze swego domu. Przyszedłem do niego piechotą spod Zamościa prosząc o pomoc przy przejściu granicy niemiecko-bolszewickiej i „naraziłem” go.

Wieczór się zbliżał, wzgórza kończyły się łagodnym spadkiem, pola były zalane wodą, daleko, daleko przede mną widać było rozrzuconą szeroko wieś. Pola stawały się bardziej zielone i gorące przez kontrast z czerwienią zimnym niebem.

Zdecydowałem się podejść do najędźniejszej chaty na skraju wsi. Przyjęli na noc, bez wahania dali jeść.

Chata miała tylko jedną małą izbę, kobieta była młoda i ładna, miała małe dziecko, chłop był wysoki, zgrabny.

Zaczęliśmy rozmawiać. Okazało się, że są Rusinami. Siedziałem na ławie pod oknem, piłem herbatę i myślałem o tym, że ci ludzie mogą mnie wydać. Przecież klasowo i narodowo należeli do wrogich obozów. Ogarnął mnie niepokój.

Nagle młody chłop zaczął mówić o wojsku: „Ja służyłem przy polskim wojsku, przy artylerii, to było dobre wojsko, jak się patrzy. Dyscyplina była“.

Dziwnie mi się zrobiło; mówię, że przecież armia niemiecka lepsza, bo nas zwyciężyła. Chłop uśmiechnął się, zaczął mówić powoli, czułem, że mówi to, w co wierzy głęboko. „To nic, że zwyciężyli, było ich więcej, ale polskie wojsko jest lepsze, to honorowe wojsko“. Leżąc na słomie pod piecem długo w nocy myślałem o tym co powiedział mi ten prosty człowiek, Rusin, i nowa wiara wstępowała we mnie.

* * *

Siedziałem na wygodnym fotelu w małym zacisznym saloniku w Kownie i rozmawiałem z młodym litewskim malarzem o przepięknej kolekcji świątków, która znajdowała się w tamtejszym muzeum.

Świątki — drewniane figurki wycinane w drzewie, zdobiły kapliczki i krzyże przydrożne na Żmudzi. Muzeum miało ich pareset sztuk. Świątki miały takie bogactwo form i koloru, taką siłę ekspresji, że całe dnie spędzałem w kowieńskim muzeum i pod pretekstem rysowania wpatrywałem się w dziwne Matki Boski Bolesne, w rycerzy walczących ze smokami, w złożenia do grobu.

Jakoś czułem się bardzo bliski tej sztuki, sztuki wyszłej z cierpienia człowieka prostego i z nędzy. Te bolesne wizje, wyrażone bezpośrednio i z cudowną prostotą w kawałku drewna, ciężkie nożem przez zmęczone pracą ręce, były jakby dowodem, że sztuka będzie istniała zawsze. Młody malarz Litwin odczuwał to samo co ja, mieliśmy w sobie ten sam entuzjazm do świątków i do sztuki, mówiliśmy o przyszłości, która będzie inna, lepsza.

* * *

Upłynęło od czasu tych spotkań parę lat, długich lat, przepracowanych na polach północnego kraju z widłami w ręku. Pola były otoczone lasami, wielkie stare dęby rosły wokoło mnie, czasami poprzez drzewa widać było dalekie jeziora. Moje myśli błąkały się po tych pustkowiach przez długie pracowite dni.

Myśli zmęczonego robotnika idą nisko nad ziemią, pomiędzy kołami naładowanych wozów, za plugiem, za siewnikiem, czasami tylko oderwą się od ziemi na chwilę i wtedy tak mocno chłoną niebo jasne z chmurą jakąś, albo zielone gałęzie drzew, jakby za chwilę wszystko to miało zniknąć.

Odczuwanie takie jest niedostępne dla człowieka, który ma czas na długie patrzenie.

Ulice w małym szkockim miasteczku są wieczorami szaro niebieskie, a płaszcze deszczowe przechodzących robotników stają się delikatnie cytrynowe. W tym kraju pięknych pejzaży, spotkałem poetę, który w dawnych czasach wydawał mi się bardzo daleki.

Kiedy zacząłem rozmawiać z nim o przyszłości naszej kultury zagrożonej, myśli nasze okazały się zupełnie podobne do siebie, miały ten sam kierunek, różnice stały się nieistotne.

Bergsonowska teoria supremacji intuicji nad logiką powinna dać prawo poetom, malarzom i muzykom o decydowaniu, jaką ma być powojenna Europa.

Intuicja artystów przewiduje konieczność stworzenia Europy zjednoczonej. Jedność naszej kultury europejskiej jest faktem dokonany, sztuka twórcza ma te same dążenia we wszystkich mniej więcej krajach Europy, niezależnie od granic państw.

Twórczość każdego narodowego artysty po osiągnięciu pewnego poziomu staje się twórczością ogólnoeuropejską.

Jeżeli elita intelektualna Europy tworzy jedną wspólną grupę, gdzie działają wpływy prawie zupełnie bezpośrednio i dążenia, które się wzajemnie uzupełniają, to konieczne jest ażeby polityczny ustroj Europy nie był przeszkodą w tym procesie scalania się.

Europa musi dążyć do znalezienia „wspólnego mianownika“, jeżeli go nie znajdzie to może przestać istnieć samodzielnie, może zostać pochłonięta przez siły działające z zewnątrz.

Przypominam sobie, że kiedy podróżowałem po Grecji to ze zdziwieniem przekonałem się jak maleńkie były państwa, które tę Grecję tworzyły. Prawie każde z tych państw miało swoją odrębną formę w sztuce, a jednak te wszystkie elementy w pewnym momencie dziejowym złożyły się na stworzenie jednej wielkiej sztuki greckiej, niepodzielnej, tworzącej jedną wielką całość.

Myślę, że Europa dojrzała właśnie do takiego momentu, kiedy zacznie tworzyć swoją jednolitą wielką kulturę. Wojna zasadniczo nie może temu procesowi przeszkodzić, koniecznym będzie tylko, ażeby Sparta została pokonana a Persowie zatrzymani pod Termopilami.

Jednym z zasadniczych warunków do stworzenia nowej epoki jest zupełna swoboda wymiany intelektualnej pomiędzy wszystkimi Europejczykami, żadne granice polityczne nie są nam potrzebne, potrzebna jest nam zupełna wolność.

ALEKSANDER JANTA

UCIECZKA

Wysokim obszarem błękitu rozsnuwało się mocne, pogodne niebo ponad wzgórzami. Rozglądamy się dookoła we wsi, zatajonej między przestrzenią lasów. W której stronie ratunek? Już teraz każdy z nas czuje się bardziej jako zbieg, aniżeli żołnierz. Wyładowałem chlebak z jedną zmianą bielizny, przyborami do mycia, zabieram niedoczytaną ostatnią książkę, „Journal“ Gide'a z myślą, że będzie to dla mnie jak gdyby biblia pociechy wśród pustki, rozglądam się za dwoma żołnierzami, z którymi postanowiliśmy iść razem. Jeden z nich psa sobie jakiegoś ulaskawił i właśnie go uczy pilnowania tobołków nowego pana.

Przy płonącem stosie naszych rzeczy jeszcze krzątają się wojskowe postaci i próbują od ognia wytargować pliki rzuconych w płomień map sztabu. Najcenniejszy to w tej chwili i najbardziej poszukiwany obiekt, prawie jakby paszport na przejście. Gotowi? Tak, możemy iść. Dokąd? Planu nie mamy zupełnie. Ogólny kierunek południe — a potem zobaczymy. W cieniu drzew, w głębi placu stoi jedna z ciężarówek dowódcztwa — opuszczona. Poskoczył mój towarzysz, nacisnął starter — motor warczy. Dobra nasza, na początek przynajmniej uciekać się będzie motorowo i z wygodami. Ledwo się jednak udało wykręcić na równą drogę niedoświadczonemu kierowcy, ledwo wyjechaliśmy ze wsi. Siadłem obok niego z mapą, prowadzę. Tu jeszcze, na bocznej drodze jako tako przejechać można, spędzając z drogi klaksonem liczne gromady rozproszonych. Ale na głównej szosie, na którą dojeżdżamy, ruch jest taki, jaki nie przymierzając bywa około południa na bulwarach w centrum Paryża.

O minięciu kogokolwiek nie ma mowy. Trzeba się zadowolić zajęciem miejsca w tej ruchomej gąsienicy, w tym nieskończonym wężu zdemobilizowanych pojazdów wojskowych, które właśnie dają nogę. Bardzo powolne to wianie i bardzo głupie, jeżeli zważyć, że przecież z przeciwka, z południa idą na pewno podobne kolumny zmotoryzowanego uciekania — a idą na północ właśnie. Gdzieś się to wszystko spotka i zatrzyma w nieopisanym zamęciu, w nierozwikłanej sprzeczności dróg i kierunków. I to właśnie będzie dnem klęski. Nic gorszego tu już stać się nie może. Niemcy latają wprawdzie nad tym kotłowiskiem ludzi i sprzętu, ale już nie rzucają bomb. Nie ma po co niszczyć tego, co i tak zdane jest tylko na ich łaskę i niełaskę, co już dojrzało do przyjęcia klęski. Tylko przyjąć i zabrać.

Niecierpliwi się mój kierowca. Wąż ciągnący podwójną kolumną po szosie wlecz się żółtym dosłownie tempem, przystając co chwila, wśród denerwujących klaksonów i przy akompaniamencie wystrzałów jakiejś przeciwlotniczej armatki, która po brzegu drogi jakby strzelała na wiwat, albo dla dodania animuszu obsłudze, bo już teraz każde strzelanie pozbawione zdaje się sensu. Te soczyste, orzechowe huknięcia, które rozlegają się nam jakby nad samym uchem, ogromnie drażnią jadące drogą wojsko. Padają krzyki i coraz to rozlega się wrzask, żeby tym co strzelają, zatkać gęby. Napytają się jeszcze nieszczęścia dla nas, a póki co spokojnie jest przecież i jakoś można żyć. Widoki okoliczne, gdyby się chciało o tym myśleć, są rzeczywiście przesłizne. Wspaniałą świeżością łąk i ciemnym obszarem lasów pyszni się ten półgórski pejzaż, w którym drogi jedynie tętnią niepokojem ucieczki, głuchym warczeniem tysięcy motorów, ponurym pomrukiem ostatniego aktu wojny. Przetacza się czasem w dolinach echo jakiegoś wybuchu, obija o stoki, jakby się chciało wydostać pod niebo wolne i głuchnie w lasach. Gdyby nie te brzmienia, nagle szarpiające powietrzem, gdyby odejść od dróg w głąb lasu i uciec w łąki słoneczne, możnaby prawie zapomnieć o tej wewnętrznej, osobistej sprawie, którą każdy niesie w piersi jako wyrzut sumienia. Chciałoby się nie pamiętać o niej w świetle pogody przesycającej powietrze i najdalsze perspektywy widoków tego dnia w którym jest jeszcze coś z świeżości wiosennej, a zarazem także pełnia lata. Oderwaliśmy się już na szczęście od owej rzeki niedobitków wielkiej armii, ciągnącej na zachód. Wykręciliśmy znowu na boczną drogę. Byłoby dalej od tej masy ludzi, od tych zgęszczonych kolumn, które nieprzyjacieli z pewnością już wciągnął w swoje oblężenia zdobyczy i jeńców. Może znajdzie się za to wśród lasów obszerne i dalekie jakiegoś miejsce cichsze i mniej ludne, nienarażone na wgląd z powietrza i gdzie istnieje możliwość schowania się na jakiś czas? Snuły się nam po głowie różne projekty wybrnięcia z tej historii. Jeden z pierwszych to było — przeczekać, odczekać nie tyle przyjścia co przejścia Niemców i korzystać potem z zamieszania. Odczekać także podpisanie tego rozejmu, które każdej chwili miało nastąpić, a które dawało nam w ślad za Francuzami jakże złudną nadzieję, że oznaczać będzie demobilizację żołnierzy nie znajdujących się jeszcze w niewoli, choćby nawet byli, tak jak my w tej chwili, — otoczeni. Gotowała się jednak w człowieku ochota zrobienia czegoś, żądza przedsięwzięcia jakiegoś akcji, poczynienia kroków, przeciwstawienia się czynnego tej niezdolnej idei czekania, przeciw której protestowały po prostu nerwy. Jeszcze się to wszystko nie bardzo krystalizowało w głowie, jeszcze myśl zajęta była szukaniem najwłaściwszego sposobu — sama świadomość, że się coś dzieje, że jedziemy, że się nie czeka, ale wychodzi na spotkanie wydarzeniom, była w pewnym sensie kojąca, uspokajająca. Z jazdą naszą było jednak raczej nie dobrze. Nieodświadczony szofer zrywał motor przy zmianach biegów, gasił go na wolnych obrotach, zapuszczał znowu. Nigdy przedtem nie prowadził takiej maszyny, powiada. Mijałismy jakiś inny ciężarowy wóz, wyłado-

wany po brzegi wojskiem, siedzieli nawet na krawędziach, zwieszając po bokach nogi. Otarliśmy się, źle oceniwszy szerokość wozu o te biedne nogi — podniosło się za nami straszliwe wycie ludzi, jedzie dalej nikt się nie obejrzał. Tyle nam tylko wiadomo, że i nasz wóz pełen jest już żołnierzy. Uważają go widocznie ludzie ciągnący drogą za swego rodzaju deskę ratunku, i pomoc w ucieczce. Wskakują w biegu, poobsiadali go gęsto, zwieszając się nawet u stopni, jadą, sami nie wiedząc dokąd. Byle jechać. Rozglądam się za moim chlebakiem, stanowiącym poza torbą i związanym sznurkami pakietem podsuniętych w ostatniej chwili rzeczy cywilnych, które miały służyć na czarną godzinę, cały mój majątek — nie ma chlebaka. Zdążono mi go spod ręki ściągnąć na samochodzie. Pierwsze ostrzeżenie. Każdy się teraz urządza jak może i choćby kosztem innych. Tarasują nam drogę opuszczone maszyny, stoją tu i tam zepsute, albo bez benzyny. Przy wymijaniu jednego z nich zapadamy przednim kołem w rów po boku drogi, nieudolne szarpanie kierownicy nie pomaga, motor zachłysnął się — stoimy. Na nic myśl o dalszej jeździe. Dojechalśmy do końca. Nie że się szosa skończyła, ale samochód.

W pośpiechu, w popłochu prawie wyładowuje się teraz ludzka zawartość wozu, gubiąc zapasy porobione naprędce — całe pudło czekolady zwałilo się w nabiegłe wodą koleiny drogi, rozsypane talie tabliczek wdeptują w ziemię ciężkie buciory żołnierzy. Zbieramy gorliwie to wszystko co się uda jeszcze uratować od błota i butów w słusznym przewidywaniu, że się nam przyda na drogę w lesie. I zaraz susa w bok od drogi, w las właśnie.

Ile razy wspominam teraz ten etap widzę go w kolorze zieleni. Zieleni niesłychanie intensywnej, aż ciemnej od tych ogromnych drzew jodłowego lasu Wogezów. Zieleni cieplej i kojącej, zieleni, która zdawała się ratunkiem, schronem, ucieczką. Czas przestał się liczyć, czas także stanowił tylko odmienianie tego samego koloru, od złotych, słonecznych plam światła, aż do granatowego tonu, którym podbity był i w ciemności nocy zapadał obszar wzgórz, falujących pod stopami naszego wytrwałego chodzenia. Zatraciła się tutaj zupełnie, przytłumiona już w ostatnich dniach świadomość czasu, poza tym jednym odczuciem, że dni były nieskończone, za długie, a noce nieobecne jak gdyby, podminowane gorączką zmęczenia, rozsądzone napięciem wydarzeń. Przenosiło się teraz wszystko w inny wymiar — przestrzeni i niepewności i zabłąkania w niepodobnym do żadnego innego świecie. Oddychałem zielenią tego pysznego lasu na początek z uczuciem ulgi. Odchodziliśmy od tłumu, od zamieszania, od szerzącego się tam w dole opętania i bezładu, w jakim kotłowała się jeszcze, jak rozpętany żywioł, rozpraszająca się armia. Głuche warczenie nieustannego ruchu, szum posuwania się jej nieskończonych kolumn dobiegał aż tutaj na wysokość górskich ostępów, uporczywy i drażniący, bo nieprzerwany. Byle dalej od tego głosu, byle głębiej w zieleni zapomnienia.

Ale im dalej i im głębiej, tym częściej spotykaliśmy takie same zgubione postaci żołnierzy, obozujących lub chodzących gromadą, bez celu napozór, jak na wycieczce, ale przyglądających się nam chwilami spode łba, bez życzliwości, jak rywalom, zakłócającym ich spokój odosobnienia. Udają jakby nie mieli nic wspólnego z tym co się dzieje w dole. Każdy teraz próbuje udawać, że jest kimś innym, niż jest naprawdę, kimś niezależnym od wojska i niezwiązanym z klęską. Są inni za to, których trzymają się dowcipy: pozdrawiają spotykanych z daleka, wesolo i ze swobodą, jakby zadowoleni z siebie i z sytuacji. Główny temat jest ten sam zawsze: wojna skończona. *La classe est là*. Są wolni! „Wyszli“ z armii, co przestaje istnieć i kosztują teraz dla odmiany smaku świata od tej beztroskiej, niewinnej strony wagarów — potrwa to kilka dni, kilka tygodni i tylko nie wiadomo, jak się skończy. Ale ktoby tam o tym myślał w tej chwili.

Owszem, myślimy my. Czasem ani przestrzeni nie da się wcale zamknąć wymiaru naszego istnienia, pobytu i drogi wśród zieleności. Do-

szliśmy jednak do miejsca, gdzie zdawał się już w przestrzeni zacierać ten uparty szum wód, potopu sunącego drogami i który wyrzucił nas wreszcie na brzeg ciszy, wielkiego oddalenia, ogromnego ukrycia. Cóż, kiedy to samo echo, które nam w uszach pokutuje bez przerwy jak morze w muszli, wyraźniejsze jest teraz z przeciwnej strony, zagradza drogę, przecina szlak ucieczki.

Zatrzymało nas to odkrycie. W leśnym amfiteatrze drzew i kamieni, wśród pieczar gęsto ocienionych, kędy na mchach leżą złote płachty słońca, kędy drzewa prężą się przeciw niebu, dźwigając ku niemu maszty zielonych sztandarów, siedliśmy na pierwszy odpoczynek. I na pierwszą naradę. I na pierwszy spokojny rachunek sumienia oraz egzamin tego ekwipunku, z jakim porywamy się oto na podobny niewiadomo. We trzech jesteśmy tutaj na równych prawach, tym samym poddani losom. Nie bardzo mądrze przygotowane zostały zadania, ale nie było czasu o tym poważnie pomyśleć przedtem, a poza tym strata mojego chlebaka, a razem z nim drobnego zapasu żywności, osłabia nasze szanse długiego trwania w takiej sytuacji. Ubranie cywilne jest jedno na trzech i jeden mój pistolet z sześcioma nabojami, kupiony od Francuza, chociaż byłby go dał za darmo, byle się pozbyć broni. A iść mamy razem, nierozdzielnie i to co najmniej do pierwszego z Niemcami kontaktu. Ten „pierwszy kontakt“ zdaje się obecnie najbardziej delikatną, najtrudniejszą doprawdy chwilą, jaka nas czeka. Wiemy dobrze: jest nieunikniona dziś albo jutro. Różne są zdania na ten temat, każdy z trzech ludzi ma swoje, ale godzimy się na jedno, że chyba najlepiej będzie przejść w strefę niemiecką, względnie „pod Niemców“ razem z Francuzami, w tłumie — a potem zobaczymy, a potem ewentualnie każdy na własną rękę. Nie była to najszcześniejsza decyzja, ale w owej chwili każda decyzja była lepsza, niż żadna. Wyrażała się w niej jeszcze i ta potrzeba działania, zamiast czekania na miejscu, konieczność pchania się naprzód, aż do jakiejś wyraźnej, wiadomej granicy możliwości, aby samemu wy badać jej miarę i odkryć, być może, nowe, nieznanne w tej chwili szanse. Tak, odludzie, w które się teraz zaszliśmy, już znowu zaczynało dokuczać niepewnością, lękiem o przeoczenie jakichś wydarzeń, które być może tam na dole pozwalają ludziom wiedzieć więcej niżeli nam, zgubionym i odciętym już od tego co się dzieje, które pozwalają im na tej wiedzy opierać swoją upartą, a jakże próżną wiarę w happy end. Ubranie cywilne jest już niepotrzebne. Włożenie go wydaje się nawet ryzykowaniem skóry — i tak nikt w to nie zechce uwierzyć, mówimy sobie. Mundury mamy bez jakichkolwiek odznak. Jesteśmy do siebie coraz bardziej podobni, a przecież moi towarzysze oceniają krytycznie nawet gatunek sukna moich spodni i uważają, że także zegarek jest „za dobry“, że zwraca uwagę. Przejrzeliśmy kieszenie, portfele, każdy drobiazg poddany jest badaniom. Trzeba się wyzbyć wszystkiego, co zdradzałoby w jakikolwiek sposób tożsamość, czy pochodzenie. Przeciąć ostatnie nici życia osobistego, sentymentów, pamiątek. Aparat fotograficzny, którym pracowałem aż do ostatniej chwili — już właściwie bez żadnej wiary w jakikolwiek sens robienia zdjęć, z przyzwyczajenia być może? — podzielić musi los cywilnego ubrania i tych wszystkich obciążających drobiazgów, jakich znalazła się jeszcze po kieszeniach cała porcja. Zostawiam sobie tylko broń, na wszelki wypadek i do ostatniej chwili. Znajdzie się miejsce dla tej resztki rzeczy w jakiejś jamie, przygniecionej kamieniem, która stała się grobem ostatnich związków z przeszłością, ostatnich śladów własnego istnienia, porzuconego w wysokim lesie Wogezów z jakże słabą nadzieją na ekshumację, z nadzieją, pogrążoną w niepewnej, ciemnej przyszłości idących zdarzeń.

Dokonało się tego zabiegu ostrożności, tego kroku pieczętującego los. Świat się zdaje taki spokojny, taki piękny, tak niewzruszony naszą wewnętrzną sprawą i wagą tych godzin, raz jeszcze decydujących. Roztapiają

się w nim kontury widzenia rzeczywistości, łączy się w jedną, ogarniającą przestrzeń, pełną słońca, ptaków i zieleności powszechnej, choć ją teraz podbija granatowe wino szumiącego w skroniach zmęczenia, aż póki nie roztopi się w sen. Nerwowy, gorączką podminowany, poszarpany niepokojem na strzępy jakichś koszmarnych śnień, jakichś intensywnych widzeń — przebudzenie jest ciężkie, serce uciska ciężar ogromnego żalu, głowa kołysze się w pustce. Rzeczywistość już znowu przestała być ciągła, tak jak w czasie dziesięciu dni naszych walk dywizyjnych. Składa się cała z ostro wyciętych, mocno rzeźbionych i wbitych w pamięć scen, ze słów i twarzy i chwil oświetlonych zda się magnesją, reflektorem pamięci wyciętych z mgły zapomnienia, kleci się z migań filmowych, z fragmentów wielu rzeczy i obrazków, sklejonych sztucznie, bez chronologii, bez logicznego powiązania, nieporządnie rzuconych na obszar tego przeżycia, które nie jest niczemu podobne. Owa to szybkość zmian w napięciu, od pustki do pełni, rozsadzającej piersi strachem, albo wzruszeniem, od beztroski i prawie szczęścia do dna zwątpienia i trwogi, zostawia wspomnienie porwanej i w dramatycznych skrótach, skupieniach, albo spięciach przeżytej przygody — całość i sens jakiegoś związku zobaczy się w niej dopiero później.

On n'est jamais aussi près du bonheur, qu'en coudoyant la mort . . . dziwnie utkwiło mi w głowie to powiedzenie, odkąd je usłyszałem w ostatnich dniach naszej walki, pod obstrzałem artylerii. A przypomina mi się, ilekroć myślę o tamtym czasie. Tylko, że prawda codzienna mieści się raczej w odwrotnym postawieniu sprawy: nie że w bliskości zagłady jest szczęście, ale że w szczęściu każdym trwa i żyje ciągle jej niebezpieczeństwo. Ratuje nas chyba to, że nie myślimy nigdy naprawdę związkiem tych dwóch skrajności, że je w swoim odczuwaniu życia rozdzieliliśmy kiedyś ostro i raz na zawsze.

Ale to wszystko nieważne jest teraz i poza obrębem natychmiastowych, najbliższych zainteresowań. W ciągu najbliższych dni dekoracja i nastrój zmieni się jeszcze tyle razy, zanim przejdzie w trwałą monotonię toczącego się już bez zaskoczeń przeznaczenia.

Widzę jeszcze tych kilka scen, które są jak punkty zaczepienia w ogromnym obszarze zieleni, przestrzeni i pustki. Scenę znalezienia opuszczonego, osobowego samochodu na leśnej, odludnej drodze. I to poczucie śmieszne, a tak bardzo charakterystyczne dla mentalności zbiegów: nie istnieje niczyja własność na drodze, którą idziemy. Wszystko jest nasze. Instalujemy się przeto w maszynie, próba motoru jest zadawalająca. Samochód zresztą pełen jakichś zapasów, robionych zapewne z myślą o podobnym do naszego przedsięwzięciu. Bardzo cenna ta chwila, która nasuwa refleksję o tym, że istnieje opatrność dla zbiegów. Właśnie zabieramy się do korzystania z tej opatrności, kiedy z sąsiedniej gęstwiny budzą się nagle ostre głosy wychodzą oburzone postaci chwilowych właścicieli maszyny i zapasów w niej złożonych. Cofamy się zaskoczeni, schwytni na gorącym uczynku. Postawa tamtych jest oskarżająca, niełaskawa. Cóż to? No, chyba nie trudno się wytłumaczyć w takim miejscu, w takiej chwili, w takiej sytuacji. Głodni jesteście? pytają tamci, już łagodniejszym głosem. A no między innymi i głodni.

Dostaliśmy wspaniałe jedzenie, popijamy je najlepszym francuskim winem.

Nie wiem ile czasu minęło. Jaki to dzisiaj jest dzień? Od tamtego, fatalnego dnia rozstania z dywizją zdaje się odległy i oderwany, istnieje w innym świecie, w innym wymiarze życia. A to przecież dopiero wczoraj, czy może przedwczoraj? Ale tamto jest nierzeczywiste. I głęboka już jest granica, dzieląca od całej przeszłości wojny, walki, ostatniej odprawy.

Pustoszeją drogi, napelnia się wojskiem las. Już teraz ani kroku nie można uczynić, aby nie natknąć się na coraz to nowe gromady obozujących

rozproszonych. Trafiamy na cały oddział. Nastrój tu jeszcze wojskowy, z żołnierzami są oficerowie. Wywołuję na bok majora, który tym wojskiem dowodzi i przedstawiam mu naszą sprawę. Byłoby nam pomocą — mówię — zaopatrzenie w jakieś francuskie dokumenty. Sytuacja Polaków jest taka, że nie bardzo im się niewola uśmiecha. Zresztą Anglia walczy dalej, więc chcemy próbować przedostania się na tamtą stronę. . .

Ale już ze sposobu patrzenia wnoszę, że wszystko na próżno. Nic nie ułatwi, żadnych dokumentów nie da. Nie rozumiecie chyba, że tu każdej chwili mogą być Niemcy. Anglia? Któż by to brał poważnie. Nie ma wam co się łudzić, sprawa jest przegrana, skończona. Polska, mój Boże. Byłem kiedyś w Warszawie z jakimś odczytem, bardzo gościnne miasto. I bardzo nam przykro dla Polaków. Ale cóż chcecie — Paryż także zajęty. Nikt już teraz nie da rady Niemcom. Trzeba sobie to jasno powiedzieć: żadna dalsza walka nie ma sensu. Chce wam się do Anglii? Żeby przeżyć to samo raz jeszcze co tu przeżywacie? Nie dosię do wam?

Muszę się przyznać, że mnie mocno speszył ten ton i ten sposób patrzenia na teraźniejszość. Więc już naprawdę nie można na nikogo liczyć? Więc aż do tego stopnia nikt tu nie wierzy więcej w sens naszego uporu?

Major tymczasem raz jeszcze swoim żołnierzom przykazywał sprawdzić, czy wszystkie karabiny są rozładowane. Mieli bowiem jeszcze karabiny. Nie rzucają broni. Ale chodzi o to, żeby w chwili przyjścia Niemców nie było jakiegoś niefortunnego incydentu. Za który wszyscy musielibyśmy płacić — podkreśla major. I krząta się sam by sprawdzić otwarte zamki, żeby nie było niespodzianki i nieszczęścia w decydującej chwili.

Nie mamy tu co robić. Oni także wprawdzie myślą, że się razem z podpisaniem zawieszenia broni wojsko do domów rozpuści, ale przy do tego stopnia krytycznym i niezycliwym nastawieniu względem naszej nieśmiałej próby podania się za Francuzów, pierwsi może wydaliby nas Niemcom, żeby uniknąć nieprzyjemności. Tak to sobie myślimy w tej chwili i myśl ta wcale nas nie pociesza. Raczej właśnie zaczyna pokutować odczuciem, że się ta przygoda złym torem zaczyna toczyć — że może wymyśleć co innego?

I znowu wyrwana z ciągłości tych wydarzeń scena wielkiego biwakowania wojsk, skupionych dokoła wozów z zaopatrzeniem. Intendentura niczego teraz już nie oszczędza. Rozdaje każdemu tyle żywności i picia, ile dusza największego żartoka albo bibosza może zaprzagnąć. Nie będzie się przecież czekać na Niemców z zapasami. Otwierają skrzynie z winem, z likierami. Każdy żołnierz ma swoją butelkę. Wystają niektórym z kieszeni pękate flaszki pysznych likierów, tu i tam strzela korek od szampana. Przy ogniu pieką się teraz gołębie pocztowe oddziału łączności, zatknięte na roznach z patyków. Gdzieś głębiej w lesie pokwikuja świny z zaopatrzenia armii, z którymi tutaj zrobiony będzie krótki i zadowolaniem przez wszystkich oczekiwany proces. Zalatują nas smakowite, ślinę do ust niosące zapachy gotowania, skwierczą jakieś mięsa soczyste i tłuszcze obfite na patelniach. Walają się po ziemi puszki z konserwami. Częstując się wzajemnie z rozrzutnością i gestem wielkich panów, popija się te smakolyki, bardzo wybornymi trunkami, od których potem głowa szumi i gardło schnie. Smak, a raczej niesmak tego użycia będzie nam towarzyszył i odbijał się kilka dni, jak uparty wyrzut sumienia, nie służący wcale utrzymaniu dobrego ducha, wśród tych ludzi pozbawionych już ducha. Przeciwnie chyba. Aż w poszukującej wędrowce między biwakami trafiamy w wysokim lesie na zmasowanie wojska i sprzętu, niepodobne do widzianych przedtem. Jeszcze tu nawet istnieją jakieś pozory bojowego bardzo pogotowia. Na podchodzące ku górze drogi spoglądają z wysoka zρέcznie maskowane wyloty działek ppanc. Panuje tu w dodatku między wojskiem jakieś podciągnięcie, nietypowe wcale dla ogółu. Zasięgam języka — a to więc główna kwatera XII-tego korpusu z Alzacji,

z odcinka Hagenu w obrębie linii Maginot wycofana aż tutaj i nie mająca dokąd się dalej wycofywać. No nic, prześpimy się w cieniu tego dowództwa. Las roztapiający się w mroku pełen jest podziemnego rozgwaru tysięcy ludzi, którzy szukają w nim urojonego bezpieczeństwa. Płoną ostrożne, maleńkie, poosłaniane ognie tu i tam, poroziadały się dokoła rozgadane gromady — nie wolno śpiewać, nie wolno palić ognia, ale są to wszystko ostrożności już nie na miejscu. Gdyby Niemcy chcieli, to i takby nas tutaj zdławili od razu. Są tacy, którzy opowiadają, że rozejm już podpisany. Oficjalnego potwierdzenia nie ma. Ale jest to właściwie jedyna rzecz, na którą się czeka w tej chwili, jedyna dla nas konkretna szansa wymknięcia się losowi, który dokoła nas bardzo drapieżnym cieniem krąży i coraz ciasniej zaciska luźną jeszcze z początku i jakby nierzeczywistą pętlę otoczenia. Noc tylko odsuwa na szczęście groźbę rzeczy idących, pozwala odpocząć na chwilę myślom skłóconym i próbującym w natężeniach wyobraźni przewidzieć i zapobiec temu, co się zdaje nieodwołalne. Natomiast z sąsiedniej kwatery dowództwa wiadomości przychodzą takie: generał postanowił wprawdzie Niemców tu na górę nie puścić, ale Niemcy są już na dole i ktokolwiek próbuje z lasu się wyrwać, wpada im w ręce. Ładnie teraz wyglądamy, nie ma co mówić. Znowu pracuje motor niepokoju, znowu pod skórą nerwy się napięły. Nic nie pozwala zapomnieć, że to dopiero początek próby. Są jakieś pertraktacje otoczonej grupy z siedzycami dokoła Niemcami. Mowa podobno o ultimatum. Niemcy zabrali ze sobą jednego z francuskich oficerów sztabu i pokazali mu artylerię gotową wokoło wzgórze i powiedzieć kazali, że jeżeli do dziś w południe generał nie podpisze poddania tej leśnej wyspy z całą zawartością, przysyłają nad nią swoje bombowce. Jakby na potwierdzenie tych krążących pogłosek przeciągają nisko nad drzewami ciężkie siwe płatowce z czarnym krzyżem na skrzydłach i napelniają ciszę pogody między drzewami nieznośnym hukiem i łoskotem motorów, jak groźbą.

Potem, tuż, od razu zrywa się nagle w tym tłumie nowa pogłoska: podpisano poddanie się nasze, jesteśmy całą grupą, wszyscy razem i bez wyjątku przekazani jako jeńcy Niemcom. I teraz tylko niszczyć sprzęt. I czekać dalszego rozkazu.

Nie mogę czekać. Trzeba dowiedzieć się, co jest naprawdę. Moi towarzysze są tego samego zdania, i już się jeden nawet wyrwał i na własną ręką „nawiązuje“ z jakimiś oficerami. Muszę przyznać, że nie miałem wtedy zaufania, speszony pierwszym doświadczeniem, do wyniku tych rozmów. Liczyłem raczej na możliwości, wynikające z podpisania rozejmu, na pomoc okoliczności, które się wówczas powinny były wytworzyć. Jak trudno teraz rekonstruować przebieg swego myślenia i tych wszystkich drobiazgów i tych odczuć i spostrzeżeń, które składały się na całość takiego a nie innego obrazu sytuacji, na wnioski i postanowienia, decydujące o postępowaniu. Nieraz dziś o tym myślę, tak jak myśli człowiek o niejednych w swoim życiu chwilach, że gdyby to było do powtórzenia, do odrobnienia raz jeszcze dziś, mądrzejsi o tyle późniejszych doświadczeń, nauczeni tylu próbami wybralibyśmy zachowanie odmienne, uczynilibyśmy chyba inaczej niż się to stało naówczas. Ale to rozważanie będzie już na zawsze abstrakcją tylko. Ówczesna rzeczywistośćniosła w sobie z pewnością takie właśnie zarodki rozwiązań. Rozwiązań niekoniciecznie najszcześniejszych, wcale nienajlepszych, ale już nieodmiennych, choćby nawet sądzonych obecnie z potępiającą surowością sumienia, pełnego dzisiejszej mądrości i wiedzy. Stało się bowiem dawno rzeczą jasną, że nie trzeba było godzić się na żadną połowiczność, ale decyzję przepchania się na południe realizować od początku z całą bezwzględnością i bez oglądania się na coraz to nowe elementy, które zmieniały nasze nastroje i nastawienia w miarę dalszego brnięcia w przygodę. A że nie każdy był wówczas ani taki szczęśliwy, ani taki mądry, o tym dowodzi ilość wziętych

przez Niemców żołnierzy naszej dywizji, choć wymknęły się im takie grube ryby, jak dwóch naszych generałów, albo choćby podchorąży Józef Lipski. Niejedne za to typowe „pistolety“, mające i spryt i nerwy i jeszcze parę innych z kurnika nazwę wywodzących właściwości, siedzą do dziś dnia bez własnej winy za drutami obozów w Niemczech. Z czego wniosek, że nie należy według pozorów sądzić ludzi, ani oceniać warunków, że trzeba często niezwykłego zbiegu woli, a z drugiej szczęścia, z jednej strony pomysłowości a z drugiej przypadku, aby „wyszły“ projektowane nasze szaleństwa albo wyczyny będące na pograniczu bezczelnej prowokacji losu i próby wybrnięcia poza ślepy tor bezwładu oraz sprzysiężonych przeciwności.

Pamiętam chwilę, w której beztroski podoficer Francuz, nie przyjmujący wcale do świadomości, jakoby mogło istnieć w ogóle inne rozwiązanie obecnego impasu, nad jego powrót do domu, bezpieczny i spokojny mimo bliskości Niemców, zauważył nagle na własnym mundurze zapomniany polski orzełek. I ten orzełek stał się dla niego przez chwilę najwyższym zagrożeniem, największą świadomością niebezpieczeństwa. Ów Francuz był razem z nami jako łącznikowy w Pierwszej Dywizji, a też wszyscy robiliśmy to samo — zacierano ślady jej istnienia. Polacy — to był nagle dla wielu jakby żywy wyrzut sumienia, to był jakiś wstydlivy, niewygodny, krępujący moment w tej sytuacji, to był jedyny prawdziwy element niebezpieczeństwa. I tak odczuwali go sami Francuzi. I dlatego oficerowie drugiego Oddziału XII korpusu armii, których spotkaliśmy w lesie byli jednomyślni w twierdzeniu, że jedynym dla nas ratunkiem w tej chwili jest przyjęcie zewnętrznych odznak żołnierza francuskiego. Podoficer już oderwał z munduru pięknie haftowanego orzełka na amarantowym tle. Oficerowie Francuzi, tym razem naprawdę życzliwi, od ordynansów swoich wzięli blaszki tożsamości, noszone jak bransoletka na przegubie ręki — i częstują nas nimi do wyboru. Byle wiek jako tako prawdopodobny. Przyglądają się fachowo, krytycznie naszemu wyglądowi, robią propozycje poprawek, prawie jak krawczy czy raczej koszarowy magazynier, mundurujący rekruta.

Idzie o przyjęcie tych wszystkich zewnętrznych oznak panującej wśród Francuzów mody, bardzo zresztą, jak wiemy, dowolnej i żadną dyscypliną niekrępowanej, o upodobnienie się jednak w zasadniczych szczegółach munduru i wyglądu do oddziału, do którego ma nastąpić prowizoryczne nasze wcielenie. Niczem się nie wyróżniać — to już teraz będzie motto mego postępowania na czas niewiadomy, na całą przyszłość, która mnie czeka.

Nałożyłem hełm, zamiast furażerki. Wszyscy jesteśmy w hełmach. Przyglądają nam się nowi koledzy oddziału i robią miejsce w szeregu. Wtopieni jesteśmy bez reszty między Francuzów na ten mający nastąpić akt przejścia przez Niemców. Życzliwie, opiekuńczo wypytują nas żołnierze o losy polskiej dywizji. I już tutaj w tym pierwszym, świadomym kontakcie z Polakami po bitwie, rodzi się jej legenda. To oni nam opowiadają o dokonaniach polskich. To oni więcej o nich wiedzą, niż my sami. I doceniają i chwala. Cóż nam mówić wypada? Przyjęło się w tej chwili maskę i pogłębia ją milczeniem. I chowa się za nią z wszystkimi odczuciami, z całą swoją ludzką reakcją na tę przemianę, dziwną jeszcze, niezrozumiałą — czy aby słuszną? Na to przedzierzgnięcie się w cudzą skórę. Zaraz, przecież jest do tej skóry i nazwisko i imię i data urodzenia. Jest przecież cała nowa historia życia i służby wojskowej. I to wszystko trzeba teraz wiedzieć, tego się teraz trzeba zacząć uczyć i zżywać z nową, obcą dotąd osobą i poznawać ją i porozumieć się ze sobą co do jej miejsca i wymiaru, co do jej myślenia i czucia. Nieznacznie, bardzo nieznacznie wyjmuję z kieszeni mego żołnierskiego munduru tę blaszkę z łańcuszkiem na której wytłoczone są dwa razy wszystkie te podstawowe dane, które

mają zostać w ewidencji nawet gdyby żołnierza nie stało. Ten zewnętrzny jego znak istnienia. Na nich odtąd oprzeć się ma życie tych kilku najbliższych dni próby, dni spotkania oko w oko z wrogiem. A w świetle takiej konfrontacji te wybite w metalu literki urastają nagle do wymiaru czegoś bardzo decydującego czegoś niezmiernie ważnego. Czytam: René Monsort. Czytam: Arcachon. I rok 1932. I dorabiam sobie całą historię, komponując ją na szkieletach tych kilku rad, rzuconych przez oficera Francuza razem z uściskiem dłoni pożegnalnym i życzącym szczęścia. Więc tak: francuski zwykły żołnierz (drugiej klasy) z dziewiątego pułku trenów, urodzony w roku 1912, rodem i rekrutacją z Arcachon. Wśród wszystkich miast jakie znam, a jest tego dość sporo, nie znajduje się, niestety, Arcachon. Szkoda, byłoby łatwiej. Ale tak samo nie znam Hagenau w Alzacji, gdzie przecież w myśl instrukcji francuskich oficerów stać miało dowództwo korpusu i gdzie pełnił służbę w czasie wojny i aż do ostatniej chwili żołnierz René Monsort, jutro może już jeniec?

Nie, jeżeli wtłoczę sobie to wszystko w głowę, jeżeli wytrzymam w tej skórce najbliższych kilka dni, tydzień lub dwa najwyżej, to z pewnością minie mnie niewola. Mam teraz nagle jakieś rozjaśniające uczucie pociechy w nieszczęściu i trosce. Tak jakbym wiedział, że się los mój już znowu przemienia, że właśnie teraz, że już od tej chwili naprawdę i rzeczywiście — uciekłem.

MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI

KSIĘŻYC WSCHODZIŁ NAD GAMBUTEM

Tobruk. Połowa listopada. Popołudnie. Słońce libijskie nawet o tej porze roku grzeje przyjemnie. Przed schronem odbywam popołudniową sjęstę. O tysiąc metrów siedzą w okopach Niemcy, ale moje miejsce postoju jest ukryte za górką. Próbuję czytać książkę, którą mi wczoraj dał Adolf B. Niestety, literatura australijska jest słabą stroną tego kraju. Od czasu do czasu pocisk artylerii przerywa monotonię tobruckiego dnia. W dzień w Tobruku panuje nuda. Stale widzi się to samo — pod nogami piasek i kamienie, nad głową błękitne niebo, w dali siną wstęgę Morza Śródziemnego. Jakżeż ten poeta w Londynie dobrze wyraził posępną nudę tego siedzenia w oblężonej twierdzy, gdy pisał:

Wicher z piasku obnaża
Białą kość pod Tobrukiem...

Dopiero w nocy nikt nie piasek, niebo i morze. Czarna noc okrywa wszystko całunem. I wtedy zaczyna się wojna. Grają pociski świetlne po niebie, odbijają się jak kule ogniste od ziemi. Na przedpolu wychodzą patrole, zaczyna się polowanie na ludzi. Nad portem unoszą się rakiety na spadochronach, i wtedy chwilami jasno jest jak w dzień. Ale jeszcze jest parę godzin do zmierzchu.

W schronie dzwoni telefon. Z tamtej strony drutu odzywa się adiutant dywizjonu. Zawiadamia, że o 17-ej odbędzie się u d-cy dyonu odprawa dowódców baterii. Por. W., d-ca 3-ej baterii podjedzie po mnie wozem kwadrans przed terminem.

ODPRAWA W TOBRUKU

Nie lubię odpraw. Zwykle jest to zapowiedź zmiany stanowisk. A wtedy ciężka praca żołnierzy włożona w stare stanowisk-

ska, w rycie skały, betonowanie, minowanie, maskowanie, mierzenie odległości, rysowanie szkiców — idzie na darmo. Jedyłą dobrą stroną odpraw jest, że pułkownik ma świetnego kucharza i zwykle zaprasza nas potem na kolację. Kucharz ten to istny czarodziej: potrafi z konserwy rybnej (na którą już patrzeć nie możemy), sporządzić... karpia po żydowsku. Czasem nawet można dostać po kieliszku rumu. Poza tym pułkownik zna najnowsze plotki ze sztabu i zwykle chętnie się nimi dzieli.

Kilka minut przed piątą spotykamy się, czterej dowódcy baterii przeciwpancernych Brygady, przed betonowym schronem dowódcy dywizjonu. Więć najstarszy z nas d-ca 2 baterii, kapitan Roż. Byłem z nim we Francji na kursie przeciwpancernym w Granville w r. 1940. Wysoki, szeroki w barach, energiczny, zamaszysty, ma w rysach twarzy coś z księcia Józefa, co nawet malarz (i podchorąży) Jarema utrwalił na portrecie. D-ca 3 baterii, porucznik W. i ja czeladnikowaliśmy pół roku u kpt. Roż. na plutonach, nim przy ostatniej reorganizacji zaawansowaliśmy na baterie. Ryszard W. interesował się kiedyś filmem i szybownictwem, obecnie wolne chwile od służby spędza na malarstwie, specjalizuje się w aktach kobiecych, cieszących się po półrocznym pobycie w pustyni, ogólnym wzięciem. Wreszcie 1 baterią dowodzi kpt. K., śniady, sympatyczny, przystojny góral, znam go stosunkowo najmniej. No i wreszcie ja dowodzę czwartą baterią.

W kazamatach betonowych, siedzibie ongiś jakiegoś dowództwa włoskiego, zaimprovizowano wcale wygodną salę konferencyjną. Malutki wzrostem, ale dzielny duchem zastępca d-cy dyonu (ma za sobą już wojnę światową i na froncie włoskim w 1918 r. dostał się do niewoli... brytyjskiej) zdaje raport pułkownikowi. Pułkownik przeciąga z rosyjska, wesoły, uprzejmy, kawalarz zamiłowany, też stary oficer z pierwszej światówki, lubi opowiadać o swych patrolach nad Dunajem.

Pułkownik rozpoczyna odprawę z na wpół tajemniczą, na wpół promieniejącą miną. Widać, że chciałby nas zaraz zepatować tym, co ma powiedzieć, ale cedi słowo po słowie. A więc: przyjedzie ktoś bardzo wybitny do Tobruku; tak, wielki dowódca; czy dowódca korpusu lub armii? — o nie, znacznie wyższy; sprzymierzony? — nie polski; tylko to ściśle tajne, nie wolno nikomu mówić, zwłaszcza piechocie, która chodzi na patrole i gotowa jeszcze stracić jeńca i nieprzyjaciel się dowie; a termin przyjazdu jest tuż, może dziś jeszcze, a na pewno jutro.

Jesteśmy istotnie ustrzeleni. Tego się nikt nie spodziewał. Londyn wydaje się nam tak odległy, jakby na innym świecie. I nagle generał Sikorski zjawi się tu w oblężonym Tobruku? Istotnie wprost nie do uwierzenia! Co za sensacja.

A tymczasem pułkownik uśmiecha się i mówi z dumą:

— Ale to proszę panów dopiero pierwsza nowina. Mam jeszcze drugą, równie ważną i równie tajną!

Wprost wierzyć nie chcę własnym uszom. A pułkownik znów cedi:

— Jak panowie wiecie, znajdujemy się w oblężonej twierdzy. Z punktu widzenia taktyki dwie są możliwości rozwiązania sytuacji. Albo twierdza zostanie przez nieprzyjaciela zdobyta, co oczywiście wykluczam z mych przewidywań, lub też — nadzieję odsiecz i odeprze oblegającego twierdzą od 7 miesięcy nieprzyjaciela. Na chwilę tę tak upragnioną czekaliśmy długo, ale właśnie teraz ona się zbliża. Od strony Egiptu dowódca 8-ej armii,

generał Cunningham, zdobywca Abisynii rozpocznie ofensywę. Wtedy nieprzyjaciół odstąpi spod twierdzy, szybko będzie chciał się oderwać. A co my wtedy zrobimy? — przerwał pułkownik i dumnym wzrokiem przeszedł po słuchaczach.

— Pościg! — warknął któryś z nas.

— Tak, proszę panów, pościg. Odpowiednie rozkazy operacyjne opracowuje właśnie sztab Brygady. Ustne dyspozycje poda mi dziś pan generał. Brygada nasza wystawi dwa oddziały pościgowe. Jeden, który będzie działać w kierunku Medauar, drugi po szosie derneńskiej. Oba oddziały w składzie około kompanii piechoty na samochodach, plus kariery, cekaemy, łączność. Dowodzić pierwszym będzie kpt..., drugim mjr P., zastępca dowódcy II Baonu. Do każdego z oddziałów zostanie przydzielona również bateria przeciwpancerna.

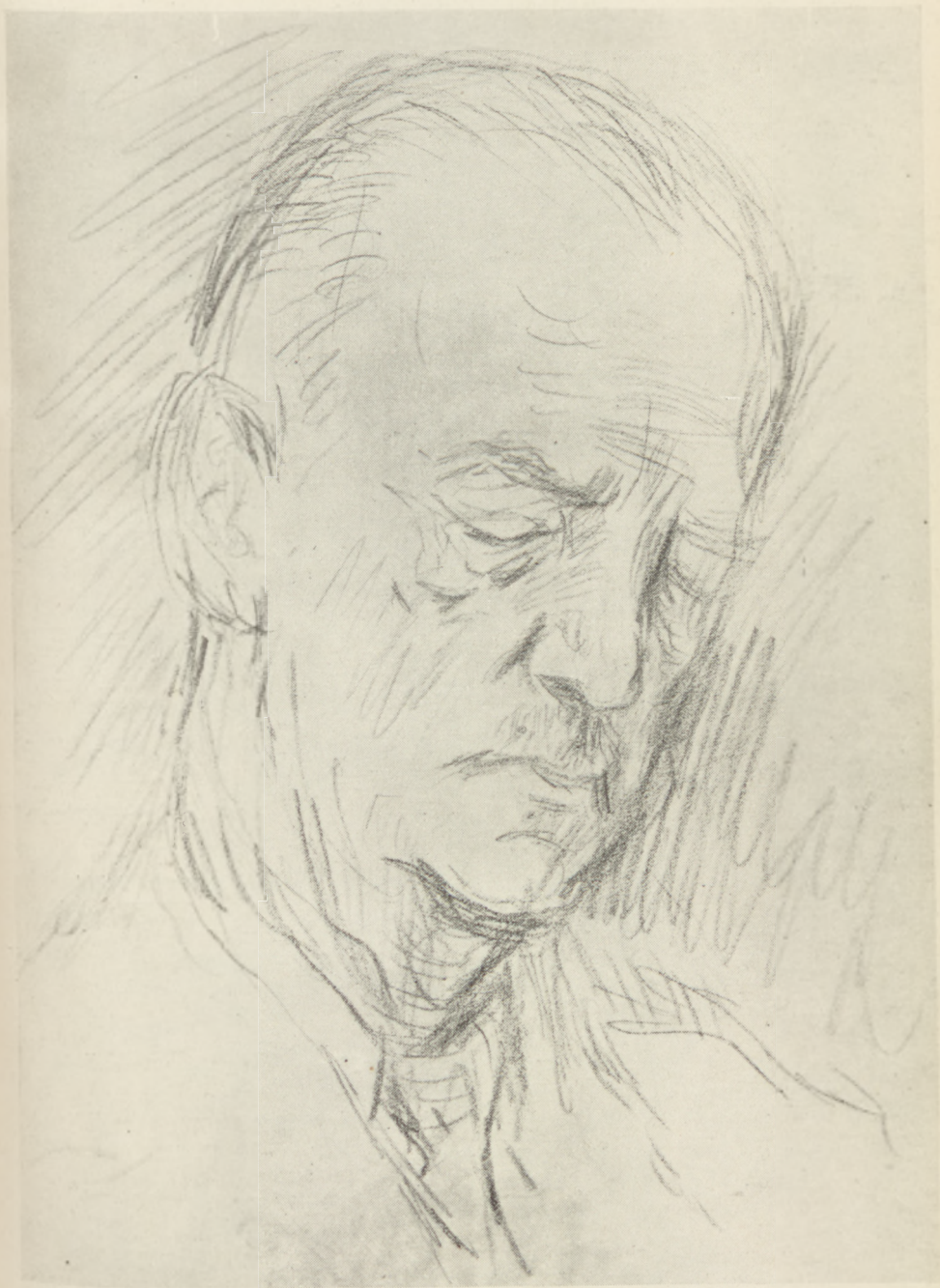
Zamieniliśmy się w słuch. Są cztery baterie, które dwie zatem pójdą, które dwie zostaną?

— Panowie wiecie, że traktuję wszystkie baterie jako równie dobre. Wiem, że po miesiącach siedzenia w okopach wszyscy chcielibyście wziąć udział w pięknie zapowiadającym się zadaniu zaczepnym. Trudny więc miałem wybór. Przy powzięciu decyzji kierowałem się zatem rodzajem sprzętu, w który są wyekwipowane baterie i możliwością najsprawniejszego zwolnienia dział z pozycji. Na tej podstawie uznałem, że pojedą te baterie, które mają najwięcej dział polskich Boforsów, jako wyposażone w nośniki najwłaściwsze dla walki ruchomej, czyli bateria 1-a i 4-a. Postanowiłem, że bateria kapitana K. weźmie udział w akcji na Medauar, bateria porucznika P. zaś w kierunku na Darnę.

Nie potrafię wyrazić uczucia, jakie przeżywałem w tej chwili. Myślałem, że świat jest piękny, wojna cudowna, a pułkownik mędrzec prawdziwy.

NIEDOSZŁY ODDZIAŁ POŚCIGOWY

Już nazajutrz od świtu gorączka przygotowań ogarnęła baterię. Kierowcy działonów pobrali nośniki pod działka. Morrissy, odziedziczone po Australijczykach, które choć miały za sobą po kilka tysięcy mil przejechanych podczas pierwszej ofensywy Wavella, to jednak zremontowane i pieczołowicie przechowywane w rzucie tyłowym kwatermistrzostwa, czekały chwili zakończenia oblężenia. Z kwatermistrzem szły nieustanne targi o każdy galon benzyny. Kwatermistrz złośliwie dowodził, że nasz pościg nie pójdzie dalej jak kilkanaście kilometrów, nikt jednak w baterii nie wątpił, że jak raz się rozpędzimy, to nie zatrzymamy się aż w Darnie. (Ta miejscowość wydawała nam się wówczas niezmiernie daleko). Z każdego działonu któryś z chłopaków udawał się do portu, gdzie stała Kolumna Transportowa, która nie tylko skupiała elitę intelektualną Brygady, ale i nakładała swoje rogatekwe na zaopatrzenie nadchodzące do Tobruku, choć trzeba przyznać że szlachetnie nim się z przyjaciółmi dzieliła. Ja też się tam wybrałem by przy sposobności pożegnania ze starymi przyjaciółmi Jerzym G. i braćmi Kleszcz załadować na wóz worek kompotów i dżemów. Działka zostały zluźnione do drugiej linii (przy czym w nocy samochód wjechał na minę i mieliśmy trzech rannych, dwóch na szczęście lekko, przy stałym braku uzupełnień był to jednak poważny problem) dzięki czemu we względnej niewidoczności ze strony nieprzyjaciela działony mo-



Ś. P. GENERAL WŁADYSŁAW SIKORSKI

Rysunki Feliksa Topolskiego

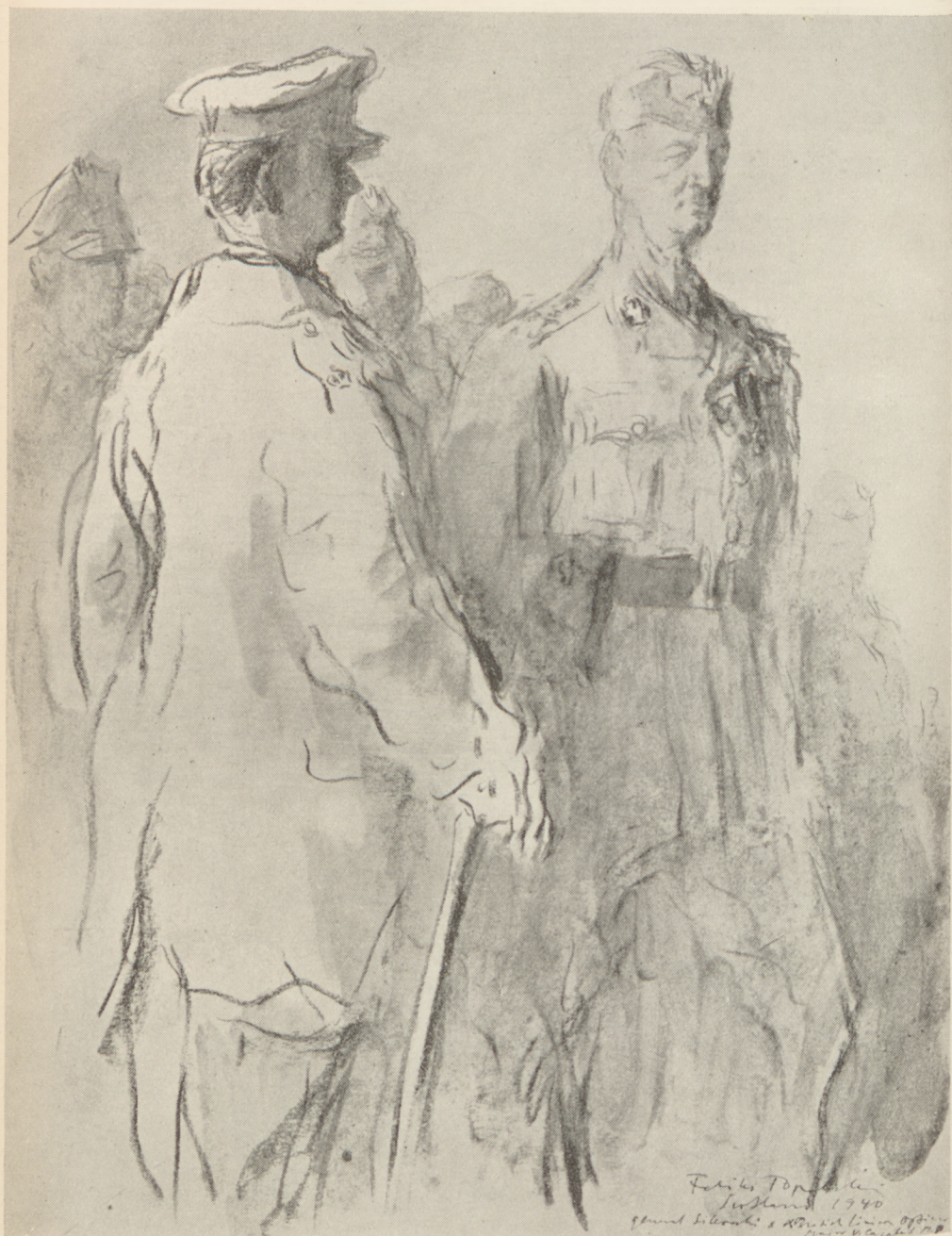


Msza żałobna w Katedrze Westminsterskiej

Westminster Cathedral, 15.7.1943



Generał Władysław Sikorski z żoną



Generał Władysław Sikorski i Ppłk. Wiktor Czalet M. P.

gły wypróbować najlepszy system załadowania na stosunkowo niewielki samochód. Załadowano: działko, pięciu ludzi, 100 naboju, koce, benzynę, wodę i erkaem. Szef, starszy wiekiem wąsаты sierżant, pół-Zmudzin, pół-lwowiak, był bardzo zadowolony z przydzielonej mu na rezerwę zaopatrzenia trzytonówki. Mnie przypadła w udziale lekka, niewielka Chevroletka, która mi potem wiernie miała służyć pod okiem doświadczonego kierowcy od Hartwiga, również lwowiaka, wesołego jak czyżyk Ludwika B.

Wreszcie któregoś dnia nadszedł oczekiwany szyfr telefoniczny. Zaalarmowane działony w ciągu dwudziestu minut zajęły na miejsce zbiórki. W mej karierze wojskowej była to chwila niezapomniana, nie dlatego, że wyruszałem na wojnę, ale że po raz pierwszy dowodzić miałem oddziałem zmotoryzowanym. W Polsce we wrześniu wyszło się na wojnę piechotą, w Norwegii mieliśmy muły, potem w Bretanii rowery zarekwirowane Francuzom były szczytem motoryzacji. Teraz wreszcie, w trzecim roku wojny nie będziemy już gorsi od Niemców. Jak imponująco wyglądał nasz oddziałek 25 ludzi. Sześć samochodów stało w szyku rozwiniętym na drodze, na czterech z nich zgrabnie osadzone polskie działka przeciwpancerne (z orłami jako znakiem fabrycznym, napisami „Sto mil” na kołach aż do Tobruku zawędrowały ze Starachowickiej fabryki) szczerzyły groźnie swe paszczki. Żołnierze siedzieli na wozach poważnie zdając sobie zapewne również sprawę z historycznej chwili, spoglądając z góry na przechodzących żołnierzy z piechoty i kawalerii, zostających w okopach twierdzy, podczas gdy myśmy mieli wyjść z twierdzy i ruszyć na nieprzyjaciela.

Gwizdek, ręka do góry — uwaga; potem znak na zapuszczenie motorów; wreszcie sygnał odjazdu. Oddział liczy dwa razy mniej ludzi aniżeli we wrześniu miał pluton piechoty, ale stał się tak wielki, że głosem już nie można nim dowodzić — samochody ze względu na O.P.L. są rozrzucone na pół kilometra. Jedziemy kilka mil do rejonu d-twa I Baonu, celem zameldowania się u majora P., dowódcy oddziału pościgowego. Tam na miejscu krótka odprawa. Ofensywa z Egiptu już ruszyła. Niemcy mogą w każdej chwili rozpocząć wycofanie spod twierdzy. Na pewno uczynią to nie w dzień ale w nocy. Patrole nasze będą zatem nieustannie utrzymywały styczność z nieprzyjacielem. Bateria ulokuje się w sąsiednim wąwozie i czekać będzie rozkazu do wymarszu.

Jakiś filozof powiedział: w wojsku naprzód bardzo się długo czeka, potem się okropnie spieszy, a wreszcie i tak się późni. Podobnie było i teraz z nami. Poprzednio wraz z działonowymi opracowywaliśmy z dokładnością minut system zaalarmowania i stawienia się do dyspozycji oddziału pościgowego. Tymczasem teraz mijały dni za dniami, i czekaliśmy dalej w wąwozie. Do pobliskiej baterii artylerii chodziliśmy na komunikaty radiowe, śledzić postęp ofensywy Auchinlecka, której rozpoczęcie oficjalnie obwieścił już był Churchill. Dowiedzieliśmy się, że uderzenie alianckie spotkało się z mocnym przeciwuderzeniem Rommla, który w dodatku pomieszał szyki aliantów, puszczając zagon czołgów na ich tyły, w kierunku kwatery polowej d-cy 8 armii. Wiedzieliśmy, że pod Sidi Rezegh, o kilkanaście kilometrów na południowy-wschód od Tobruku toczy się już od kilku dni bitwa o zmiennym szczęściu. Niemcy w każdym razie ani myśleli o wycofaniu się spod twierdzy, co więcej, któregoś dnia rozpoczęli na-

tarcie na pozycje III Baonu, ale zostali ze stratami odparci. Bardzo prostym zatem sposobem taktycznie uniemożliwiali nam rozpoczęcie pościgu, po prostu nie chcieli ani rusz się wycofać!

Nie martwiliśmy się zresztą tym zbytnio. Byliśmy na tyłach, odpadły nocne tak wyczerpujące w Tobruku służby i czuwania, żołnierze mogli się wypaść przed czekającą ich akcją. Ponadto stwierdziłem, że opodal ma swoje miejsce postoju stary przyjaciel z cywila Włodzimierz L., z którym tyłeśmy miłych chwil razem przeżyli nad pięknym janowskim jeziorem czy w schroniskach tatrzańskich. Teraz zapraszał mnie na kolację, doskonale i nawet zakrapiane ponieważ szef jego baterii właśnie był dostał większą wałówkę z Aleksandrii, od przyjaciółki-Greczynki, na pewno nie trzpiota ale solidnej gospodyni.

Tak minął blisko tydzień. 30 listopada przed południem otrzymuję telefonem krótki rozkaz: bateria stawi się o godz. 16.00 w miejscu (tu następowały zaszyfrowane liczby współrzędnych geograficznych, jak zwykle w pustyni). Z lakoniczności rozkazu wnioskowałem, że tym razem chyba jednak pojedziemy już na wojnę.

RUSZAMY Z TWIERDZY NA „KORYTARZ”

O wyznaczonej godzinie bateria nadciągnęła na obszerną równinę położoną mniej więcej w środku twierdzy. Czekał nas już tam kwatermistrz z bańką rumu. Podczas gdy sierżant lał do manierek cenny płyn — kwatermistrz w kilku słowach na boku zorientował mnie w sytuacji. Przedwczoraj brytyjskie czołgi i batalion Black Watch'ów dokonały wypadu z twierdzy by przełamać linię włoską i przeprowadzić przez nią „korytarz” do Nowozelandczyków, którzy z Egiptu nadeszli i walczą pod Sidi Rezegh. Black Watch'e przełamali front włoski, ale straty w samych zabitych wyniosły pół stanu. Wczoraj batalion nowozelandzki wraz z kompanią dział przeciwpancernych został w „korytarzu” rozjechany przez czołgi Rommla, nikt się nie ostał. Dziś wieczór batalion brytyjski Bedfordshire Rgt. wyrusza z twierdzy by utrzymać „korytarz”, zapęłnić lukę powstałą po Nowozelandczykach, przeszkodzić wycofaniu się nieprzyjaciela ze wschodu oblegającego jeszcze Tobruk przy czym nasze dwie baterie przeznaczone do pościgu idą z nim razem. Wkrótce nadjechał dowódca dywizjonu i pułkownik brytyjski, dowódca obrony przeciwpancernej twierdzy. Odbyła się krótka odprawa, która potwierdziła informacje kwatermistrza. Wyruszamy dziś wieczór, dowódca dyonu jedzie z nami, jutro dojedzie do nas bateria kapitana Róż., która kompletuje dopiero samochody.

Na chwilę przed ruszeniem ukazuje się osobowy samochód. Wsiada z niego generał Kopański i zastępca pułk. Peszek. Podchodzą kolejno do działonów. Przyjechali pożegnać baterie. Zapytują czy mamy kilofy i łopaty bo będą nam niezbędne dla kopania stanowisk obronnych gdy wyjedziemy z twierdzy i znajdziemy się na gołej pustyni. Są przygotowane. Generał żegna mnie uściskiem ręki i mówi: „O ile nie dziś w nocy to na pewno jutro rano będziecie się bić z Niemcami” i z właściwą sobie prostotą kończy:

— Niech was Bóg prowadzi.

Nie potrzebuje mówić więcej. Poznał już w Tobruku żołnierzy swej brygady. Wie ile jest warta piechota i kawaleria. Z kolei jest pewien że i artyleria przeciwpancerna go nie zawiedzie.

że godnie reprezentować będzie Karpacką Brygadę przy boku brytyjskiego batalionu.

Tymczasem wozy dowódcy dyonu i 1 baterii zniknęły w tumanach kurzu, ruszamy za nimi pełnym gazem. Zatrzymuję się na zakręcie, by sprawdzić czy żaden z wozów nie został. Widzę jak kierowca jednego z działonów bierze mocnym gazem zakręt: wóz się tak przechyla że o mało działko i działonowy z niego nie wylatują, miga mi się tylko przerażona twarz tego ostatniego, zlatują z wozu zrolowane koce. Tak wyglądają pierwsze kroki motoryzacji! Działon jest tak przejęty i wyjazdem na wojnę i pierwszym marszem w większej kolumnie zmotoryzowanej, że jedzie dalej rezygnując z koców. Ładuję je na mój wóz.

Dojeżdżamy do południowo-wschodniego perymetru twierdzy. Ta część twierdzy jest już wolna od oblężenia. Na wczorajszych pozycjach włoskich dziś stoją w pogotowiu nasze działa przesunięte tu z dawnych pozycji na tyle. Stoją w pogotowiu czołgi i samochody pancerne, patrolują przedpole. Przez pola minowe brytyjskie i włoskie przez rowy przeciwpancerne prowadzi już szeroki trakt wyjeżdżony przez czołgi i samochody, widać duży jest stąd ruch korytarzem do Sidi Rezegh. Jest artyleria przeciwlotnicza, zresztą przewagę w powietrzu od początku ruszenia ofensywy mają nasi. Ustawiamy działka na tymczasowych stanowiskach, mamy czekać do wieczora przyjazdu brytyjskiego batalionu, z którym wyruszamy z twierdzy.

Przyjemna niespodzianka. Stanisław O. adiutant Generała został przydzielony na oficera łącznikowego między naszym dowódcą dyonu a brytyjskim batalionem. Ze względu na znajomość angielskiego może istotnie okazać się niezbędnym. Poza tym zdaje się, że miał dość sztabu i sam się wprosił na tę wojnę. Wita mnie słowami:

— A co widzisz, mój sen zaczyna się sprawdzać!

Istotnie, teraz sobie przypominam. Kiedyś jeszcze w Matruh, Generał przyjechał oglądnąć pozycje, zaś Adiutant w pewnej chwili wziął mnie na bok i powiada: „Miałem zabawny sen. Śniłeś mi się ty i twoje działka. Byliśmy razem. Czołgi niemieckie nadjeżdżały. Ja ładowałem, ty strzelałeś”.

Dziś ostatni dzień listopada, wcześniej zapada mrok. Działony ugotowały już herbatę. Czołgi wracają na tyły — obsługi po całodziennym patrolowaniu korytarza jadą na ciepłą strawę i nocleg w którymś z wąwozów tobruckich. Jest coraz ciemniej, księżyc jeszcze nie wzeszedł. Nagle z mroków wyłania się wóz, za nim drugi, trzeci, dziesiąty. To batalion Bedfordshire Rgt. nadjeżdża. Ciągnie wolno wóz za wozem, blisko, teraz noc, lotnik nie jest już groźny, natomiast łatwo jest zjechać z drogi, wjechać do rowu czy na pole minowe. Podjedliśmy trochę, rozgrzaliśmy się przed tym herbatą, teraz rumem. Czekamy na wozach. Robi się coraz zimniej. Nie wystarczy już kurtka skórzana na battle-dress'ie, trzeba nałożyć płaszcz. Czekamy. Na wojnie zawsze się czeka. Ale nie jak we wrześniu w rowie przydrożnym. Można położyć się na wozie, przykryć kocem gdy zimno. Drzemać. Żołnierz zawsze potrafi spać. Nawet na zapas. I nagle jakby żal za Tobrukiem wkrada się w serce. Ostatecznie w tej pocziwej twierdzy miało się niezłą ziemiankę, łoże sporządzone z noszów dla rannych, nawet lampę naftową, książkę, poczucie bezpieczeństwa za perymetrem, polami min, drutem kolczastym. Właśnie teraz zbliża się godzina gdy spotkaliśmy się z Adolfem by pogwarzyć o przeszłość.

ści i terażniejszości, pokazać sobie ostatni list z kraju czy z Londynu, wyjść na linię czujek i posłuchać odgłosów dochodzących z okopów niemieckich 300 metrów przed nami. A teraz wyruszamy w nieznane, w czarną noc, niewiadomo co nas czeka, czy nie los nowozelandzkiego batalionu. Jest nas tylko 60 Polaków. Z dala od czasu do czasu słychać grzechot karabinów maszynowych i huk dział. Normalna noc tobrucka. Tylko przed nami na kierunku od Sidi Rezegh panuje niczym nieprzerwana cisza. Czyżby złowróżbna? Jest coraz ciemniej. Choć oko wykol. I coraz zimniej. Przypomina mi się patrol w trzecim dniu, ostatnim, bitwy pod Kockiem. Na skrzyżowaniu dróg leżała w rowie placówka naszych spieszonych lotników. Przed nimi stali Niemcy, co parę minut oświetlali przedpole białymi rakietami. Od czasu do czasu słychać było huk motorów, jakby zbliżających się do nas. Dowódca placówki informował mnie, że Niemcy są o paręset metrów z przodu. Dzwonił zębami i mówił że mu zimno — był 4 października. I mnie teraz jest coraz zimniej.

— Wicek, daj rumu!

Rozgrzewamy się. W tej chwili z mroku czarnej nocy wyłania się łącznik z dywizjonu. Odprawa. W jednej chwili jestem na nogach. Nie tylko fizycznie ale i moralnie. To tylko to czekanie w zimnym mroku naprowadza jakieś leniwe, złe myśli. Gdy tylko otrzyma się do wykonania zadanie, już jest dobrze: żołnierza myśli i nerwy skupiają się tylko na zadaniu które ma wykonać. Zapomina wtedy, że jest senny, że jest zimno, że gdzieś daleko na świecie są komfortowe, jasne, ciepłe pokoje.

Stoimy ukryci między wozami. Jest pułkownik, adiutant, oficer łącznikowy i obaj dowódcy baterii. Pochylamy się nad mapą, oświetloną ukradkiem kieszonkową latarką. Zadanie: batalion ma zluzować własny oddział w rejonie oznaczonym na mapie jako „Magen Belhamed” — „grób szeika”; jakieś 12 kilometrów w kierunku 135 stopni; do każdej z czterech kompanij piechoty przydzielone zostaną po dwa działka; czas wyruszenia — pół godziny po wschodzie księżycy; na miejscu w Belhamedzie natychmiast przystąpić do kopania stanowisk, muszą być gotowe przed świtem; stanowiska uzgodnią dowódcy baterii z właściwymi dowódcami kompanii piechoty brytyjskiej; dane o nieprzyjacielu? — spodziewać się w każdej chwili i z każdego kierunku.

Wracam do baterii. Rozdział na plutony, które pójdą z dwiema kompaniami „C” i „D” bardzo mi nie w smak idzie. Nie cierpię dzielić baterii. Przede wszystkim w kupie raźniej, potęga ognia większa. Po drugie jakże lubię tych chłopaków. We wrześniu szedłem na wojnę z żołnierzami, których widziałem dwa dni. W brygadzie Podhalańskiej byliśmy razem trzy miesiące. A teraz z tymi żołnierzami jestem prawie już od roku razem. Kilku z nich tak jak i ja przyciągnęło tu z Francji. Jakżeśmy się żyli. Wychować żołnierza, wyszkolić to ciężka praca. Prowadzić go w ogień — to przyjemność. Teraz tę przyjemność ma mieć jakiś nieznany mi jeszcze oficer angielski, którego poznam za chwilę. Już naprzód czuję do niego antypatię, zazdrość prawdziwą, jakby szło o kobietę. Sam będę przy jednym plutonie. Drugiego oficera brak w baterii. Gdyby żył Pieniążek, jakże by się teraz cieszył z tej samodzielnej funkcji. Niestety już od trzech miesięcy spoczywa na cmentarzu tobruckim. Wiem co zrobić. Do kompanii „C” przydzielę jako dowódcę plutonu sierżanta Brzost. Sierżant Jezier pójdzie jako działonowy. Obaj młodzi wiekiem choć sta-

rzy doświadczeniem pepancarze odbyli kampanię z 1 dywizją w roku 1940, potem z niewoli w Austrii dołączyli się do Brygady w Egipcie. Wojna dla nich nie nowość, dadzą sobie radę. Działony dowodzone przez kaprali pójdą ze mną przy kompanii „D”.

Księżyc wschodzi. Zarządzam zbiórkę baterii. Padają przyziszane słowa komendy: bacność, równaj w prawo itd. Tak najlepiej. Choć wojna i nieprzyjaciel tuż, tuż, może o tysiąc metrów, trzymajmy się regulaminu jak najdłużej można. Na bałagan jeszcze będzie aż za dużo czasu. Szef sprawdza równanie dokładnie jak codzień na zbiórce porannej. Składa raport. Mówię do żołnierzy. Podaję do wiadomości zadanie baonu i nasze. Ze się rozdzielimy chwilowo. Ze z plutonem przydzielonym do komp. „C” pójdą obaj sierzanci, starsi nie tylko stopniem ale i doświadczeniem wojennym, że również mają wykonywać rozkazy oficerów brytyjskich, którzy się znajdują przy nich gdyby mnie nie było wtedy. I kończę: „Czekaliśmy dwa lata na tę chwilę; w obozach rumuńskich i węgierskich, w niewoli, na pozycjach pod Aleksandrią, w Matruh, w Tobruku; wszyscy wiemy po cośmy tu przyszli; nikt tu nie przyszedł z musu, wszyscy z własnej woli; wielu nie doszło — zostali w śniegach Karpat, zginęli od kul patroli granicznych, torturowani w więzieniach; o ileż los był szczęśliwszy dla nas — mamy zaszczyt walczyć z zaborcą na polu bitwy; jutro, o ile nie dziś w nocy jeszcze, jak powiedział pan Generał, będziemy mieli przed sobą Niemców; zobaczymy dobrze nam znane szare czołgi z białymi krzyżami; będą to czołgi niemieckie, te same może co we wrześniu strzelały do naszej bezbronnej ludności; mamy działka, których żołnierz nasz najczęściej nie miał we wrześniu; przez rok ćwiczyliście się w strzelaniu, celowniczy zawsze trafiali na poligonie; możecie być pewni siebie; jutro macie strzelać tak samo, ładować, celować spokojnie; jak szlak ma nas trafić — niech trafi, ale w każdym razie drogo życie swe sprzedamy i do niewoli nie pójdziemy; zresztą jestem dobrej myśli, że cało i zdrowo spotkamy się wszyscy jeszcze”.

Złoty księżyc wzeszedł nad pustynią libijską i świeci nad baterią. Piasek wydaje się biały jak śnieg. W poświacie księżycyca jest jakby cieplej i weselej. Zdaje się wróżyć pomyślnie. „Działonami odmaszerować”. Z Brzost. idziemy odnaleźć angielskich dowódców kompanii. Ustalamy z nimi szyk marszu, miejsca dołączenia działek do kolumny. Kompanie pójdą w kolejności alfabetycznej, plutony działek w środku. Z boku i z przodu ubezpieczą kolumnę patrole samochodów pancernych.

Obaj dowódcy kompanii mają na sobie imponującej wielkości kozuchy, w których wyglądają wspaniale. Szczęśliwcy — niedawno przyjechali do Tobruku, mogli się na zimową kampanię wyekwipować. Wymieniamy uprzejmości. Podobają mi się sergeant-majorowie kompanijni; pytają zaraz o stan ludzi i do kiedy mamy prowiant. Dobry znak. Byłaby to oryginalna wojna, gdyby istotnie zaopatrywanie normalną drogą miało mieć miejsce.

Powoli wozy ruszają z miejsca, kolumna się rozwija. Jeszcze raz i drugi stanie, jakieś wozy jeszcze dołączają. A potem wolno, wóz za wozem kolumna będzie się posuwać świeżo wyjeżdżonym szerokim traktem. W prawo i w lewo widzimy schrony, ziemianki, druty, doły, rowy. To wszystko pozycje włoskie, jeszcze przedwczoraj w schronach tych mieszkali ludzie, grali w karty, pili wino, strzelali do nas, prali bieliznę. A teraz jest pustka. Życie zamarło. Zostały w ziemiankach pewnie tylko zdziwione szczury.

Ciekawe czy będą jadły trupy swych wczorajszych ludzkich towarzyszy, które przy drodze jeszcze leżą nieopogrzebane? Nie powinien. Żołnierze włoscy są bowiem bardzo dobrzy dla szczerów, oswajają je, karmią z ręki. Gdzieś tam sterczy smutnie w niebo lufa armatnia, ówdzie przewrócony na bok jaszcz. A tu czołg. Zdaje się że brytyjski. „Spalony, panie poruczniku” mówi Wicek, który ma kocie oczy. To pewnie z tych co nacierały tu, mówi Ludwik B. kierowca. I wszyscy pewnie myślimy o tym samym — co się stało z załogą, czy spłonęła również czy zdołała wyskoczyć w ostatniej chwili? A tu drugi czołg, a tam trzeci, a tam dalej jeszcze czwarty majaczy. Czarne, ponure, milczące. Tak, jeszcze kilkadziesiąt godzin temu szalało tu piekło ognia, dymu. Pół batalionu gwardyjskiego tu poległo. Biedni chłopcy. Jak wspaniale wyglądali w swych gwardyjskich mundurach tam na tyłach, w Kairze. Gdy widziało się ich u Shepheard's'a, czy w Continental'u w towarzystwie pięknych kobiet, wesoło zastających pieniądze, patrzących z góry swych rodowych tytułów i dwumetrowego wzrostu na plebs wschodu. A teraz? Leżą w jednym rowie ze śmierdzącym, brudnym, zapchlonym chłopem sardyńskim.

Jedziemy dalej. Teraz po obu stronach drogi ciągnie się gładka jak stół pustynia. Widocznie przejechaliśmy już linie włoskie, jesteśmy na ich dawnych tyłach. Samochód posuwa się wolno, kołysze miarowo, usypiająco. Pół-leżę, pół-siedzę na tyle półciężarówki — stąd lepiej widać co się dzieje jak z szoferki. Nad głową lśni pokryte gwiazdami niebo wschodu. Pustynia w poświacie księżycy wygląda jak pole pokryte śniegiem. Coś mi się przypomina. Tak się podróżowało kiedyś dawno, w dzieciństwie, na dalekiej Ukrainie. Sankami przez pokryty śniegiem step. Z Niemirowa do Strzelczyniec. Teraz też świecą nad głową gwiazdy a mróz szczypie w policzki. Przykryłem się kocem, jest ciepło jak pod baranicą. Czuję że zasypiam. Wiem o tym, ale nie usiłuję przeciwdziałać. Skoro dowodzi dowódca piechoty a nie pepanców (co mnie zawsze denerwuje) niech on się martwi o kąć kierunku i ubezpieczenie. Zresztą jak będą strzelać to się zbudzę. Z działek z wozu otworzy ogień to kwestia kilku sekund. Trzeba korzystać z tej godziny jazdy, by się zdrzemnąć. Gdy dojedziemy na miejsce rozpocznie się ciężka praca budowania stanowisk. A na rano Niemców wszyscy nam obiecali.

PIERWSZA NOC POD BELHAMEDEM

Nie wiem jak długo drzemię. Wiem tylko że jest rozkosznie ciepło wśród stosu koców. W pewnej chwili czuję że wóz staje, znów jedzie dalej, znów staje, skręca, jakby zjeżdżał z drogi, znów staje. I już nie rusza. Niedobrze, pewnie już jesteśmy na miejscu. Zrzucam z siebie koce, owiewa mnie zimny mroźny wiatr, zeskażuję z wozu. Po drugiej stronie drogi stoi oddział żołnierzy. Kto to? Aha, pewnie ci, których przyjechaliśmy luzować. Spieszą się by wrócić do Tobruku.

Odszukuję Anglika dowódcę kompanii. Już otrzymał rozkazy. Cztery kompanie batalionu zajmą stanowiska na krzyż, dowództwo baonu będzie w środku. Nasza kompania „D” ma bronić kierunku północnego. Saperzy są gotowi do zakładania min, przed świtem powrócą do Tobruku. Piechota, którą luzujemy zaraz wróci tymi samymi samochodami, które przywozły towarzyszący nam batalion.

Chodzimy z oficerami angielskiej kompanii po pustyni i usta-

lamy stanowiska plutonów oraz rozmieszczenie działek. Ciężkie bardzo zadanie — przy księżycu wybrać dobre pola ostrzału.

Wojsko będzie całą noc kopać stanowiska, a tymczasem o świącie może być przykra niespodzianka: widoczność zaledwie kilkadziesiąt metrów. A czasu na narady nie ma. Saperzy czekają z minami, żołnierze z kilofami. A więc decyzja: tu koło tego krzaka stanowisko jednego działka, tam opodal, w tym leju drugie. Jest godzina 23.00. Świt o 7-ej. Godzinę przed świtem działka mają stać zamaskowane na wykończonych stanowiskach. Po chwili praca w działonach wre. Na zmianę przy każdym działku jeden żołnierz odpoczywa i jednocześnie obserwuje — gdy kilofy dzwonią, gdy żołnierz zaabsorbowany jest robotą, najłatwiej jest nieprzyjacielowi zaskoczyć. Więcej rozkazywać nie potrzebują. Działonowi znają swe zadanie: wiedzą, że prócz stanowiska dla działka mają być obok wąskie rowki dla obsługi, schrony przed ogniem artylerii i czołgiem dojeżdżającym do stanowiska, skąd się nań rzuci bombę. Kierowca wie, że ma wykopać dół pod wóz. Działko zdjęte z wozu już stoi na stanowisku tymczasowym, gotowe w ciągu kilku sekund do otwarcia ognia.

Dobrze, z tym plutonem na razie załatwione. Teraz mam czas pomyśleć o drugim. Trzeba go odszukać. Siadam na wóz z gońcem tylko. Kierowca teraz odpocznie, czeka go praca jeszcze. Przyjemnie zresztą poprowadzić samochód w tę piękną noc księżycową. W Tobruku mało było sposobności dla jazdy wozem.

Jedziemy drogą w kierunku w którym winna stać najbliższa kompania. Trzeba uważać na miny, świeże angielskie i stare włoskie. Istotnie po ujeżdżeniu 800 metrów widzę przed sobą ludzkie cienie i słyszę dźwięk kilofów. Podjeżdżam — to są Anglicy. „What company?” — „Bi”. „Are here Polish antitank guns?” Są, ot, tam, zaraz. Podjeżdżamy. Na nasze spotkanie wychodzi porucznik Kap. — on tu jest z plutonem baterii. Dobrze, łączność nawiązana. Odmierzam na busoli kąt do kompanii „D”. Pokazuję mu gdzie my stoimy. „A dowództwo dyonu i baonu?” „Podobno tam, o jak ta gwiazda”. Zawracamy zatem i jedziemy na wskazaną gwiazdę. (Lepiej gwiazdy nie pomylić — raz w Tobruku to uczyniłem i zaraz wóz trzasł na minie).

Po przejechaniu pół kilometra mijamy jakieś zasieki, wjeżdżamy w rejon gęsto pokryty schronami, wykopami, samochodami. Ruch, wielu ludzi. Tak, to tu. Tylko trudniej odnaleźć swoich. Po chwili znajduję jednak naszego adiutanta. „Pułkownik z O. na odprawie w baonie. Dobrze że jesteś. Właśnie miałem posłać gońca dla nawiązania łączności”. Wskazuję drogę do mnie i do plutonu porucznika Kap. „A gdzie kompania „C”? — pytam. „Podobno tą drogą wprost na zachód, potem na południe, nie dalej jak 600 m.” Siadam za kierownicą i jazda na poszukiwanie plutonu.

Jedziemy drogą na zachód. Ujeżdżamy z pół kilometra, kilometr, nie ma coś skrętu w lewo. Wsiadamy z wozu. Przykucam na ziemi, tak łatwiej coś dojrzeć w świetle księżyca. Ale nic, cisza. Nie słychać ani motorów, ani głosów ludzkich, ani szczęku łopat. Pustynia jest cicha, milcząca, jakby zaklęta w tej poświacie księżyca. Tylko na południe od nas majaczy się jaśniejszą plamą na tle ciemnego nieba urwista ściana płaskowyżu Sidi Rezegh. Tam, gdzie się od tygodnia toczy uporczywa, nierozstrzygnięta bitwa 8-ej armii z przeciwuderzeniem Rommla. Jakież urok ma ta poświata księżyca nad Libią! Udaję sam przed

sobą że wypatruję poszukiwanych stanowisk a w rzeczywistości upajam się majestatycznym spokojem tego jakby zaczarowanego kraju.

— Panie poruczniku, tam coś jest — słyszę nagle głos Wicka.

Istotnie, o kilkadziesiąt metrów majaczy coś czarnego. Co to może być? Podjeżdżamy wozem — zdala od oddziału, zwłaszcza w nocy lepiej z nim się nie rozstawać. Rozpoznajemy. Jakaś budka, szałas czy namiot. Wsiadamy z wozu. Barak niski, na wpół wkopany w ziemię. Ktoś tu mieszka? Wejść, nie wejść, zastanawiamy się. W tej chwili przypominam sobie ostatnie komunikaty sztabu o zasadzkach zostawianych przez wycofującego się npla. O minach, bombach, granatach, które wybuchają za dotknięciem niewinnego przedmiotu, za potknięciem się o niewidoczny sznur. Ale ciekawość przemaga. Z pistoletami maszynowymi w ręku uchylamy ostrożnie drzwi (no, huknie czy nie huknie... nie huknęło) i wchodzimy do środka. Kieruję światło latarki (miła Charlotte przysłała ją niedawno z Aleksandrii, jak się teraz przydaje) i oto co widzimy: mała, niska izba, na środku stół, zastawiony do posiłku, talerze, widelce, łyżki, szklanki, butelki. Na talerzach makaron, sos pomidorowy. W szklankach czerwony napój, szerokie, opłatane butelki z Chianti. Nawpół pełne.

— No, wyrwali co się zowie — stwierdza mój towarzysz.

Przechodzimy do drugiej izby. Łóżka, materace, pościel, walizki, mundury. Kolorowe jedwabne piżamy. Pałasz. Ho, ho, jakaś grubsza szarża tu urzędowała. Przechodzimy dalej. Tu kancelaria. Stoły, papiery, z nadrukiem jakiegoś „regimento”. Mapy? Oczywiście zabieramy. Inna izba. Garaż czy magazyn. Stoi kilka motocykli z przyczepkami. I sprzęt saperski. Wielkie nożyce do cięcia drutu. Bierzemy kilka, przydadzą się. Jeśli jutro czas będzie, zajmujemy się motocyklami. Przydałoby się parę dla baterii. Warto by wziąć butelkę Chianti. Tak dawno się nie miało w ustach wina. Kurz ma się w ustach. Ale nie można zbyt często gwałcić regulaminu, który dowodzi, że nieprzyjaciel przed wycofaniem zatrzuwa studnie a cóż dopiero alkohol.

Jechać dalej — niebezpiecznie, jeszcze można wjechać na Włochów czy Niemców. Wracamy więc w stronę dowództwa baonu. Przed samym obozem skręca dróżka w prawo, to pewnie ta szukana. Jedziemy nią. Po chwili dostrzegamy piechotę, wkradzie po tym i nasze działka. Stanowiska w robociej, robota kilofami gracko idzie, wozy już schowane w dołach, służba i obserwacja gra. Obliczam kąt do dowództwa i do siebie. Wyliczam, że oba plutony dzieli w prostej linii około 900 metrów.

Wracam do siebie. Na 3-ą z rana stanowiska powinny być gotowe, skały na szczęście nie ma zbyt dużo. Z samochodami gorzej, zwłaszcza z trzytonówką. Nie da rady wkopać ją głęboko i angielski kapitan już teraz martwi się, że gdy będzie jasno, zdradzi pozycję kompanii. Ale na to rady nie ma! Trzy godziny jakie nas dzieli od świtu chłopcy niech wykorzystają, by przespać się trochę. Pełne pogotowie zarządzam na godz. 6-tą. Nie jest wykluczone, że o parę kilometrów od nas stoją Niemcy.

Zarządzam służbę w poczcie. Będziemy ją pełnić kolejno po pół godziny. Szefa zwalniam, dość się napracował, niech się wyspi. Ja biorę ostatnią, wolę najwcześniej być na nogach. Pierwszy pełni służbę nowoprzydzielony jako kierowca trzytonówki sierżant Ros. (Wspaniała wąsal, fotografia jego przypadkiem zawędrowała na stronę książki mego brata „Poland fights back”).

Gdy budzę się przed szóstą, sierż. Ros. pełni jeszcze służbę. Nie chciał budzić gońców. „Niech się chłopcy wyspią, ja jestem stary, mniej snu potrzebuję”.

SŁONECZNY RANEK 1-GO GRUDNIA

Jest już po dziewiątej. Piękny, grudniowy poranek. Niebo błękitne. Słońce zaczyna grzać, w południe będzie zupełnie ciepło. Zjedliśmy już śniadanie. Apetyty wspaniałe, wczoraj właściwie byliśmy bez kolacji. Szef, stary żołnierz, wie że śniadanie na wojnie to grunt — na obiad i kolację może już nie być czasu.

Przyjechał Pułkownik, oglądnął stanowiska. Na ćwiczeniach pieprzylibyśmy się z polem ostrzału godzinami, na wojnie na to nie ma czasu. Zresztą pole obserwacji okazuje się znakomite, widoczność od północy na wiele kilometrów niemal do morza. Od świtu jesteśmy pod nękającym ogniem artylerii nieprzyjacielskiej, która wali zza skarpy Sidi Rezegh. Na skarpie (na południe od nas) stoją Nowozelandczycy, widać ich na górze. Stanowiska naszego baonu widoczne. Nie da się ich ukryć. Niepotrzebnie martwiliśmy się o trzytonówkę. Dziesiątki samochodów, ciągników, ambulansów widać rozrzuconych po pustyni. Trudno się zorientować, które są porzucone zepsute wozy włoskie, a które wozy własne jeszcze całe. Widać porzucone ciężkie działa włoskie. A tam stoją własne działa i prowadzą ogień w stronę Niemców. Co to, wycofują się? Nie, zmieniają tylko stanowiska, widocznie nieprzyjaciel je wymacał. A tam kolumna samochodów jedzie w stronę Tobruku, ambulanse — widać wozy z czerwonym krzyżem — pewnie ranni. A tam pod skarpą posuwa się zwolna sześć czołgów. Wielkie Walentyny. Tam, daleko, z 10 kilometrów na zachód kłębi się w kurzu kilkadziesiąt wozów. Swoje czy niemieckie? Jakżeż ten widok odbiega od pozycji tobruckiej. Tam w dzień nad ziemią nie widziało się nikogo. Pustynia wydawała się wymarła. Tu pustynia żyje, kłębi się ludźmi, sprzętem, kurzem. Te armaty podskakujące na kamieniach za rozbieganymi ciągnikami coś mi przypominają? Jakiś sztych kossakowski z bitwy pod Olszynką, jakiś Bem na czele rozpędzonej baterii?

Ogień artylerii nieprzyjacielskiej staje się jakby coraz bliższy, coraz częstszy i coraz celniejszy. Artyleria angielska znów zmienia stanowiska, przesuwa się do tyłu. Niedobrze... A co tam znowu? Po serpentynie prowadzącej ze skarpy Sidi Rezegh wznoszą się tumany kurzu. Kolumna samochodów. Jadą wozy za wozami. Jadą od strony nieprzyjaciela. Cóż to jest? Czyżby... wycofanie? Wozy wjeżdżają w naszą pozycję, nie zatrzymują się, przejeżdżają, nie zważając na ogień artylerii, szybko kierują się traktem na Tobruk. Wozy pełne żołnierzy, Nowozelandczyków. Twarze żołnierzy pokryte kurzem, zmęczone, wzrok nie ten radosny co zwykle. Zły znak. Jakiś samochód nawalił. Kierowca ogląda motor. Podchodzi. Jest oficer? Jest. Pytam co to za oddział, co się tam za skarpą dzieje, skąd i dokąd jadą?

— Jestem eszelonem „Bi” brygady nowozelandzkiej. Batalion nasz został rano rozbity przez czołgi niemieckie — o widzi pan te samochody na górze z sześć mil stąd? Brygadier poległ albo w niewoli. Mamy rozkaz wycofania do Tobruku.

Zły omen. Czyżby stare dzieje września, Norwegii, Francji miały znów się powtórzyć? Nie, precz z tą myślą!

Więc tam są Niemcy. Stamtąd, od zachodu coś wyjść może. W tej chwili działonowy kapral-podchorąży (i poeta) Kobrz. melduje:

— Panie poruczniku, na kierunku 60 w odległości około 7 km. widać z piętnaście wozów. Wyglądają na czołgi.

Istotnie. Obserwator Zak. dobrze rozpoznał. Widać wozy, chyba czołgi, tylko że są od nas o jakie 10 km., to tylko lornetka przybliża. Po chwili dowódca kompanii jest koło mnie, oczy wciska w lornetkę. Ciemne punkty na horyzoncie jakby rozwijały się w tyralierę, kierują się wyraźnie w naszym kierunku.

— There are tanks, arn't there? — pyta kapitan angielski.

— Yes, I think so.

— Enemy's?

— I think so.

W oczach żołnierzy angielskich widzę niepokój. Spoglądają na nas. Na te dwa małe polskie działka i na tych pięciu Polaków skupionych przy każdym działku. Los stu żołnierzy angielskich zależeć będzie może już za kilkanaście minut od tych dziesięciu Polaków i tych dwu małych, zgrabnych działek. Lornetki, których my nie mamy, a mają drużynowi angielscy, przechodzą w jednej chwili do rąk naszych działonowych, celowniczych. Widać teraz kto ważniejszy — piechota czy pępance.

— Da pan radę? — pyta angielski kapitan.

Piętnaście czołgów na dwa działka trochę dużo, ale zrobimy co można. Obsługi w każdym razie są pewne.

Trzeba działać i to szybko. Pierwsza rzecz meldunek do Pułkownika. Już piszę, że z kierunku 060 z odległości 8 km. posuwa się na nas około 15 czołgów, proszę o dostanie jednego działka, może z plutonu przy kompanii „C”. Bob. z meldunkiem odjeżdża. Potem idę do działonu kaprala Krót. Działko jest nastawione na północny zachód, trzeba je przesunąć na zachód, żeby nie strzelało przez stanowiska piechoty. Działonowy ma dwadzieścia lat, jest rozsądny, energiczny. „Musicie zmienić stanowisko, przesunąć tam w lewo o 100 metrów od Kobrz. Macie na to 10 minut czasu. Zdołacie to wykonać?” Działonowy, który dotychczas zawsze nienawidził zmiany stanowisk, który przywykł do robienia jednego stanowiska miesiącami w Tobruku, nie jest pedantem, rozumie o co idzie i że to jest konieczne, odpowiada: „Zrobimy w osiem!” I jak poprzednio obsługa tkwiła nieruchomo przy działku z oczyma i lornetkami utkwionymi w ciemne punkty przed nami, tak teraz jakby iskrą elektryczną dotknięta zwija się jak w ukropie. Już kierowca Szuk. podjeżdża z wozem. Już ładowniczy z celowniczym zaprzodkują działko. Już amunicyjni rzucają na wóz skrzynki z amunicją i worki z piaskiem. Jazda. Nie upływa dziesięć minut, a oba działka stoją na stanowiskach, niedaleko siebie, gotowe na przyjęcie wroga.

Czołgi się wciąż zbliżają. Są już o pięć kilometrów od nas. Widać je wyraźnie gołym okiem. Jadą prosto na nas. Wolno. Ostrożnie.

Wraca goniec od Pułkownika. Orł. odpowiedział na kartce: „Przyjedzie do ciebie zaraz angielski obserwator artylerii i osłoni cię ogniem”. Rzeczywiście po chwili nadjeżdża karier. Orientuję angielskiego artylerzystę w terenie, sprawdzamy kąty. „Kiedy pan otworzy ogień?” „W ciągu trzech minut”. Czołgi są już o trzy kilometry, przez lornetkę wydają się być tuż, tuż. Są szarozielone, migocą się lufy działek i białe krzyże. Angielski porucznik oblicza spokojnie kąty na mapie, jakby nie widział nadjeżdżających na nas czołgów. Dzieli, mnoży, dodaje liczby. Wreszcie obliczył. Radiotelegrafista rzuca w przestrzeń jakieś liczby.

I już po chwili widzimy, jak paręset metrów w lewo od czołgów wytryskają w górę kolumny kurzu: to padła pierwsza seria pocisków. Działa które je wystrzeliły są niewidzialne, ukryte daleko od nas. Artylerzysta poprawia obliczenie, radiotelegrafista rzuca w przestrzeń nowe liczby. Czołgi są już o dwa tysiące metrów. Widzimy je gołym okiem jak na dłoni. Po chwili nowa seria kolumn kurzu tryska tuż przed czołgami. Potem jeszcze jedna: kolumny kurzu wznoszą się tym razem dokładniej wśród tyraliery czołgów. Przez szkła lornetki widzę jak z wieżyczki jednego czołgu wysuwa się do połowy człowiek. Zatacza nad głową koła wyciągniętym ramieniem. Tak jakby dawał znaki chorągiewką. I zaraz potem czołg jego zawraca, za nim zawracają czołgi inne. Tak, wycofują się w kierunku skąd przyszły. Artylerzysta znów oblicza, radiotelegrafista znów nadaje nowe liczby, a niewidzialne działa znów obrzucają wycofujące się czołgi fontannami kurzu. Wreszcie czołgi nikną.

— Good job — gratuluję Anglikowi. On też wydaje się być zadowolony. Pytam gdzie są jego działa. Na perymetrze Tobruku. Anglik odjeżdża.

Napięcie nerwowe minęło. Jest jakoś raźniej na duszy. Żołnierze angielscy też jakby poweseleli. Podchodzą do działonu.

— A może szkoda że pan porucznik sprowadził tego artylerzystę — mówi Karolek (takie ma imię działonowy Krotk.) — Teraz albo byłoby już po nas albo byłoby Virtuti!

Ja nie żałuję. Gdyby było trzecie działko, co innego. Trzeba koniecznie mieć tutaj trzecie działko. Ludwik widział koło dyonu włoską Brede, musimy się o nią postarać.

Od północnego zachodu niebezpieczeństwo minęło, zato od południa wzmaga się i jakby przybliża ogień artylerii nieprzyjacielskiej. Serpentyną od Sidi Rezegh wycofuje się nowa kolumna brytyjskich wozów i odjeżdża traktem do Tobruku. Około południa otrzymuję meldunek od Pułkownika i rozkaz przesłania go natychmiast dowódcy Brygady. Ma jechać z nim do Tobruku trzytonówka. Pismo jest bez koperty, czytam treść. Brzmi ona: „Sytuacja bardzo ciężka. Jeśli nie otrzymamy od dowódcy korpusu rozkazu wycofania się — bronimy się do ostatka”. Widać pod Sidi Rezegh pogorszyło się. Żal mi pozbywać się wozu. Ale trudno, trzeba rozkaz wykonać. Na pożegnanie przykazuję kierowcy sierżantowi Ros. aby jak najszybciej był z powrotem.

Potem nadchodzi południe. Słońce na dobre praży. Artyleria nieprzyjacielska wciąż nęka nas ogniem, ale straty są małe, ogień głównie dostaje się dowództwu baonu, może dlatego że tam jest największe zgrupowanie wozów. Obserwatorzy alarmują nieustannie działony: od tyłu, z boków, ukazują się coraz to inne samochody, niekiedy czołgi, trudno rozpoznać czy własne czy npla. Nadlatuje eskadra samolotów. Na szczęście leci nad Sidi Rezegh i tam spuszcza większą ilość bomb, pewnie na artylerię niemiecką, co nam tak dokucza, gdyż ta milknie. Jest już po piątej. W gardle sucho — od rana nic w ustach nie miałem, nikt nie myślał o obiedzie. To też z radością przyjmuję zaproszenie Szefa na kolację. Pijemy herbatę, jemy bifa i jakieś pikle. Wszyscy jesteśmy dobrze zmęczeni. Wyrażam nadzieję, że na dziś wojna skończona. Niemcy nie lubią działań nocnych.

— To wartoby panie poruczniku — mówi Szef — pojechać z wozem do grobowca szeika. Tam w podziemiach jest włoski skład konserw. Niewiadomo kiedy kwatermistrz co przywiezie.

Przyznaję Szefowi rację. Gdy się ściemni — pojedziemy. Szef i gońcy. Kierowca poszedł do dyonu naprawiać działko włoskie, które mamy dostać dla wzmocnienia pozycji, wobec tego ja też pojedę, poprowadzę wóz. Przyda się przy sposobności rozpoznać teren.

NOC NIESPOKOJNA

Mija godzina szósta, zapada mrok, strzelanina cichnie. Ruszamy. Grobowiec szeika jest to wzgórek położony o pół kilometra od nas na drodze do kompanii „B”. Zatrzymuję wóz przed otworem do podziemi, gdzie Włosi mieli swój magazyn. Oglądam wielką pieczarę w skale, ustalamy co weźmiemy. Będzie tego z parę skrzyń konserw. Wychodzę na dwór, siadam w samochodzie, czekam aż wóz będzie naładowany. Na dworze jest coraz ciemniej.

Wysłuchuję się w ciszę zapadającej nocy. Nagle wydaje mi się, że słyszę jakieś odgłosy. Jakby huk pracujących motorów? I jakby dalekie nawoływania. Dużo krzyków, jakby wołało wielu ludzi. Co to może być? Potem znów krzyki milkną. Znowu cisza zapada wraz z nocą nad Libią.

Jest coraz ciemniej. I zimniej. Znowu jakby mnie przechodziły dreszcze. Trzeba wracać. Dlaczego Szef tak marudzi z ładowaniem? Pewnie szuka włoskiej wódki.

I nagle w ciszy wieczoru zaterkotał karabin maszynowy. Jeden. Wydaje się, że zagrał tuż, tuż, o kilkaset metrów. I zaraz odzywa się drugi, i trzeci, i dziesiąty. Co się stało? Kto strzela? Burza ognia! I to tuż, tuż ode mnie. Piekielny ogień. Ależ tak nagle! Był taki spokój. Co to jest? Na Boga, kto strzela, do kogo? Nie czekam więcej jak pół sekundy na odpowiedź: nad wozem gwizdże jedna seria z karabinu maszynowego, druga, trzecia. Tracę głowę, nie wiem co robić, paść na ziemię, uciekać z wozem, kryc się w grobowcu. Świetlne, czerwone pociski prują powietrze, walą w ziemię, u stóp wzgórzka na którym stoję z wozem. Aha, wiem już co mam zrobić. Zapalam motor i szybko zjeżdżam do tyłu w dół, kryję się z wozem za wzgórzkiem. Z podziemi wybiega Szef i gońcy pytają co robić z resztą konserw. „Pier... konserwy!” — wołam. — „Natarcie niemieckie idzie, wracamy do baterii!”. Ruszam, gońcy w biegu gramolą się nawóz. Ale jak teraz jechać? Jest ciemno. Droga w lewo bieleje, ale nie mogę nią jechać, bo jest wprost pod ostrzałem. Trzeba zjechać z drogi, jechać jak najdłużej, mając za sobą pagórek, który nas chroni przed ogniem. Ale przed pozycją biegnie pole minowe, trzeba będzie zatem po trzystu metrach wrócić na drogę. Jadę niemal naoslep, tylko czekam jak huknie mina pod kołem lub seria pocisków trzaśnie w wóz. Wołam na gońców z tyłu: „Jak tam, nikt nie ranny?” „Nie, wszystko w porządku, panie poruczniku”. Tymczasem burza ognia jakby przycichła, albo myśmy zjechali z kierunku jego nasilenia. Nagle w lewo dostrzegam cienie jakichś ludzi. I obok białą wstęgę drogi. Wjeżdżam na nią. Ludzie podbiegają do wozu. Anglicy. Siadają w biegu na wóz. Wołają: „Prędeż jechać!” Jadę. Ujechałem już z pół kilometra. Powinny już być tu nasze stanowiska po lewej stronie drogi. Tymczasem nic nie ma. Pustka. I nagle niepokój czuję w sercu. Niepokój tak wielki, że nawet już ogień nieprzyjacielski wydaje mi się drugorzędnym niebezpieczeństwem: czyżbym zabłądził? W takiej chwili zgubić oddział, dostać się do niewoli, być uznanym za dezertera!! Zatrzymuję wóz. Wsiadam, rozglądam się, wyjmuję busole. Na-

gle goście na wozie zaczynają krzyczeć, kłać, złorzeczyć. „Dlaczego nie jedziesz? Jedź! To dobra droga! Prowadzi prosto do Tobruku!” Ach, więc to tak? Dobrze żeście mi powiedzieli. Zwracam wozem, jadę z powrotem drogą, skąd przyjechałem, wprost w kierunku na ogień. Słyszę jak goście na wozie klną, złorzeczą, zeskakują na ziemię. Jadę dalej, widzę skręt w prawo, skręcam. Coś czarnego. Co to? Jakies groty, namioty? Aha, już wiem, to dowództwo batalionu. Ciężar spada mi z serca, jestem uratowany, wiem gdzie jestem, stąd już mam tylko pięćset metrów do baterii, znam drogę. Ale skoro już tu jestem, zajdę, dowiem się jaka sytuacja. Wchodzę do podziemi, gdzie się mieści dowództwo baonu. Duża, jasno oświetlona izba. Kilkunastu oficerów angielskich siedzi za stołem. Z naszych jest kto? Tak, siedzi Orł. Podchodzi na moje spotkanie. „Co się dzieje?” pytam. „Idzie jakieś silne natarcie na kompanię „Bi”, której dowódca jest tu właśnie na odprawie dowódców kompanii. Przypuszcza się jednak, że to może Nowozelandczycy atakują przez pomyłkę naszą pozycję. Choć nasz dowódca plutonu, który tam jest, porucznik Kap. już dwukrotnie melduje przez telefon, że to na pewno Niemcy, słyszy niemiecką komendę”. „Gdzie Pułkownik?” „Poszedł przejść się po bateriach. Miał być u ciebie, potem miał iść do Kap.” „Do widzenia!” „Do widzenia!”

Po chwili jestem z powrotem przy plutonie. Wjeżdżam wozem do dołu, któryśmy dlań wykopali. Nagle spod kół dochodzą mnie krzyki. Co to? Jacys ludzie. Żołnierze. Anglicy, schowali się tu przed ogniem. Ja jednak muszę tu schować wóz, nie mogę go narażać na zniszczenie. Powoli wjeżdżam w dół. Słyszę przekleństwa, protesty, nic nie szkodzi. Jakoś się mieścimy. Teraz zaczynają z innej beczki, uprzejmie: „Is't your car? Jedź z nami do Tobruku albo daj nam wóz, to sprowadzimy stamtąd czołgi, które tu przyjadą i odpędzą Niemców”. Aha, to tak chcecie do Tobruku? „Idźcie do brytyjskiego dowódcy kompanii, urządzuje stąd pięćdziesiąt metrów, niech wam da wóz albo po prostu telefon.” Nie korzystają z propozycji. Każe kierowcy i gońcom pilnować by wóz w zamieszaniu i ciemnościach nocy nie zginął.

W międzyczasie nadchodzi Pułkownik. Każe mi przypomnieć działonom, że wycofania nie ma. Dobrze.

Jednocześnie zjawia się kapral Ser. jako goniec od wydzielonego plutonu z meldunkiem że bombardier Witk. został ciężko ranny, zaopatrzony i odstawiony na punkt opatrunkowy. Szko-da, dobry żołnierz. Pozostawiam gońcowi wybór stosownej chwili między jedną nawałą ognia a drugą i wracać do plutonu z zawiadomieniem, że wycofania z pozycji nie będzie, obrona do ostatka. Gdy ogień słabnie kapral Ser. zrywa się i w tempie stumetrówki biegnie w kierunku swego plutonu. Bez względu na miny i ogień. Woli to od czołgania się. Czy dojdzie?

Pułkownik każe się prowadzić do dcy kompanii i telefonuje do dctwa baonu, do Orł. Potem bierze z sobą dwóch gońców dyonowych i udaje się tam. Po raz ostatni widzę wtedy pod Belhamedem Pułkownika.

Sierżant Pol. z dowództwa dyonu doprowadza działko włoskie, które od rana dla nas montowano. Zgubił w ciemności drogę, ale mimo rady Adiutanta by zaczekał aż ogień przejdzie, wołał zaraz wykonać zadanie. Dziękuję mu. Działko jakże się przyda. Działonowym zostaje Szef, resztą obsługi będzie goniec i kierowca. Po chwili działo jest już na stanowisku w jakimś rowie. Dwu-

dziestomilimetrowa, szybkostrzelna Breda. Przyda się i na piechotę.

Jest już po godzinie 20-ej. Nagle od strony grobowca szeika słychać dudnienie ziemi, jakby biegli ludzie, tłum ludzi. Co to, kto to, swoi czy Niemcy? Wpatruję się w ciemną noc przede mną. Tak, widać biegnących, biegną jakby bezładna kupa. Swoi czy Niemcy, strzelać czy nie strzelać?! — muszę zaraz, natychmiast mieć odpowiedź! Co robić? Wyskakuję z rowu, biegnę ze 20 metrów na ich spotkanie, stoję i wołam: „Stop! Who are you?” Odpowiadają: „Friends, Bi company”. Są zasapani po forsownym biegu, najbliżsi nie mają broni. Aha, więc to tak. Złość, wściekłość mnie ogarnia. „Gdzie macie karabiny?” — ryczę — „Gdzie wasza broń?” Nie dostaję odpowiedzi, za to jeden i drugi wyciąga ręce do tyłu, wskazuje na ciemną noc za nimi i pół-mówi, pół-szepce zasapanym głosem: „Niemcy są za nami, tuż, tuż!” Za nimi ciągnie drogą tłum kilkudziesięciu żołnierzy. Czyli cała kompania „Bi” wycofała się. Fatalnie. I że wyszli na nas. Panika jest tak zaraźliwa. A co się stało z Kap. i działkami naszymi co były przy tej kompanii? Po chwili mam już odpowiedź. Drogą jedzie charakterystyczny nośnik działka. Zatrzymuję wóz, pytam co się dzieje. Kierowca odpowiada: „Wiozę rannych. Działonowy Organiściak i celowniczy Kłosiński zabici. Pan porucznik Kap. pewnie też. Działka w rękach Niemców, czołgi wjechały wprost na stanowiska.” A więc jeden nasz pluton już zniszczony! Rozpacz mnie ogarnia.

Fala wycofujących się przeszła. Teraz choć niepewności nie ma. Przed nami są już tylko Niemcy. Są o siedemset metrów najdalej. Erkaemy, tommy-guny, pistolety, karabiny, działka — na stanowiska. Czekamy. Wpatrujemy się w ciemną noc przed nami. Księżyc wschodzi, widać coraz lepiej. Ale Niemców nie ma, ogień ustał. Czyżby chcieli nagle ogniem nas zaskoczyć, jak to zrobili uderzając na kompanię „B”?

Mija tak pół godziny. Nagle jakiś dziwny ruch zaczyna się na naszej pozycji. Piechota podnosi się ze stanowisk. Czy się też chce wycofać? Biegnę do dowódcy kompanii. Pytam co się dzieje. Mówią mi, że kompania „Bi” gotuje się do przeciwuderzenia na utracone pozycje, dwa plutony naszej kompanii mają ją wspomóc. Nie wierzę w powodzenie przeciwuderzenia. Jeśli się zaś ono nie uda, co będzie? Trzeba się przygotować na tę ewentualność. Zarządzam zmianę stanowiska działonowi kaprala Krot. Przesuwam je między pozostałe dwa działka. W ten sposób wszystkie trzy działka znajdują się blisko siebie. Będą się lepiej wspierać. Będę mógł nimi głosem dowodzić. Z naszą bronią maszynową i karabinami ppanc. będziemy nawet sami zdolni do obrony przed piechotą.

W pewnej chwili słyszę w ciemnościach obok siebie znajomy głos.

— Kto to? Czyżby sierżant Ros.? Wrócił pan?

— Tak, panie poruczniku, tylko co wróciłem. Meldunek panu generałowi do rąk oddałem, a tu oto rozkaz dla pana pułkownika — wtyka mi kopertę. — Miałem kłopot z powrotem, noc ciemna, wjechałem do rowu, złamałem resor. Wróciłem nie sam, przyprowadziłem baterię pana kapitana Roż.

— Co? gdzie?

— Tu, stoi pół kilometra z tyłu. Bateria wyjechała z Tobruku przede mną, z jakąś kolumną zaopatrzenia angielską. Niedaleko

stąd byli gdy zaczęła się bitwa. Dowódca kolumny zawrócił do Tobruku. Pan kapitan z baterią nie zawrócił, chciał dołączyć do dywizjonu. Wtedy ja nadjechałem. Pan kapitan bardzo się uradował, powiedział że skoro już tu w dzień byłem, to potrafię poprowadzić. No i szczęśliwie doprowadziłem. Ale bardzo się bałem, żeby nie wyprowadzić na Niemców.

— Świetnie się pan spisał, sierżancie, dziękuję.

Istotnie, dzielny wążal. Co za szczęśliwe wydarzenie. Zupełnie zapomniałem że bateria 2-a miała dziś wieczór do nas dołączyć. Cztery działa i broń maszynowa jakżeż są potrzebne. Dowódcę znam doskonale jeszcze z Francji. Wiem że jest dzielny, mam pewność że dzisiaj nocy nie zawiedzie. Ostatnie godziny czułem się osamotniony w dowodzeniu. Porucznik Kap. podobno zabity, ktoś tu przed chwilą przyniósł wiadomość, że kapitan Kan. podobno w niewoli. Pułkownika od dwu godzin już nie widziałem, Orł. również.

Po chwili już informuję kapitana Roż. o położeniu. Wobec nieobecności Pułkownika on obejmuje dowództwo, jako najstarszy. Działka jego stoją już na tymczasowych stanowiskach w drugiej linii za moimi. Nie odpowiada mi to, gdyż grozi że w razie natarcia Niemców mogę być z łatwością w nocy wzięty we dwa ognie: npla i własny. Trzeba się porozumieć z piechotą by ulokować inaczej działka nowoprzybyłej baterii. Z tym porozumieniem z piechotą mamy teraz w nocy największy kłopot. Cały dzień współpracowałem z jednym i tym samym kapitanem angielskim, dowódcą kompanii „Di”. Teraz w poświęcie księżycy który już wszedł nad Gambutem dwoi on się i troi, raz jest niższy, raz wyższy, i co z nim mówię to inaczej ocenia sytuację i wydaje inne rozkazy. Nie rozumiem co się dzieje, sprawdzam pypsy *) na naramiennikach, tak, to jest kapitan angielski. Dopiero po pewnym czasie orientuję się, że prócz mego dowódcy kompanii „Di” działka na naszym odcinku i dowódca wycofanej kompanii „Bi” oraz zastępca dowódcy baonu. Pamięć twarzy była zawsze moją słabą stroną, angielszczyzna również. No i noc. Brak oficera łącznikowego daje nam się mocno we znaki. Adiutant ppor. Gruszcz. wstępuje w jego funkcje. Kapitan Roż. nie chce zmieniać stanowisk póki nie będzie miał definitywnej decyzji z batalionu. Ppor. Gruszcz. biega od kapitanów do baonu i z powrotem. (Jest przedsięwzięty na szczęście, w cywilu był handlowcem). Wreszcie około północy ta decyzja przychodzi. Kapitan Roż. zostawi jedno działko na moim odcinku, zaś przy pomocy trzech pozostałych osłoni dowództwo batalionu z kierunku luk powstałej wskutek wycofania kompanii „Bi”.

Tak mija reszta nocy: wykańczamy stanowiska zmieniając ich front; jesteśmy cały czas w pogotowiu. Spać nie można. Niemcy uderzą, czy nie, zachęceni pierwszym sukcesem? Ale Niemcy nie uderzają. Wreszcie zaczyna świtać.

W DZIEŃ DESZCZOWY I PONURY

Dzień 2 grudnia zaczyna się smutno. Ani śladu słońca. Szara chmura zawisa nad pustynią, deszcz mży. Widoczność słaba. Jesteśmy wszyscy bardzo zmęczeni, prawie dwie noce bez snu mamy za sobą. Aby choć gorącą herbatą ogrzać żołądek — mowy nie ma. Z lornetkami przy oczach staramy się wzrokiem przebić mgłę i szarość świtania. Dostrzec Niemców. Gdzie są, skąd

* popularna nazwa angielskich odznak oficerskich.

zagrożają. Ta sytuacja, że niemiecki oddział znajduje się o paręset metrów od naszego batalionu nie może trwać dłużej. Najbliższe godziny o ile nie kwadransy muszą przynieść decyzję. Albo angielski batalion i polski dywizjon staną się beładną kupą trupów i jeńców albo niemiecki oddział ten los spotka.

Co to? Co słychać? Jakiś głuchy szum miesza się z pluskiem wody spadającej na bodziaki pustynne. Łoskot, warkot. Tak, słychać wyraźnie. Znam dobrze ten huk, wiem co oznacza. To samo co we wrześniu, to samo co w Bretanii i Wandei: czołgi, czołgi niemieckie. Oglądam się na działony. Oni też usłyszeli i zrozumieli. Oni też wypatrują, usiłują wzrokiem przebić brzask i mgłę. Ładowniczy trzyma w ręku gotowy drugi nabój. Pierwszy jest już w lufie. Wystarczy by celowniczy pociągnął spust.

Głuchy huk motorów wciąż słychać. Ale nic nie widać. O Boże, żeby wreszcie już wyszły, żeby skończyło się to czekanie, ta niepewność. Niech się wreszcie coś dzieje. Niech rozpocznie się znów choćby ulewa ognia. Gdy zaczniemy strzelać będzie nam raźniej. Lepsze to niż to czekanie.

I nagle, na prawym skrzydle, tam gdzie winny stać działka kapitana Kan. słychać strzały. Krótkie serie erkaemów. Z naprzeciwka odpowiada im płynny, dźwięczny terkot, jakże znany z Tobruku. To Spandauy. *) Strzelanie na wojnie jest zaraźliwe. Już grzechot broni maszynowej przechodzi w środek pozycji, tam gdzie są ukryte działka kapitana Roż. I już nie mija sekunda — i nasza pozycja wybuchu huraganem ognia. Wokół mnie, na skupionych w nocy stanowiskach, ze dwadzieścia karabinów maszynowych wydaje przeraźliwy grzechot, trzask, dym, huk. Najgłośniej trzaska erkaem Wicka, lufa jest o metr od mej głowy. A teraz co to, nagle słychać huk po huku, krótkie serie ale tak głośne, że już i erkaem Wicka wydaje się wobec nich szeptem. To Szef otworzył ogień z automatycznego działka włoskiego. Wali serie po dwanaście naboji, głowa pęka od tego huku. I otucha wstępuje w serce. Ależ jesteście silni! Jakżeż potężny otworzyliśmy ogień! Chyba silniejszy jak ten, którym bili w nas wieczorem Niemcy. Dziś wiemy gdzie oni są, gdzie strzelać. Niech cała dywizja tu przyjdzie a się nie damy! I naraz jak ogień nagle się zerwał tak teraz zamiera. Próba generalna się udała. Ależ zrobiliśmy Niemcom pobudkę. Pokazaliśmy im kim jesteśmy. Niech się dwa razy zastanowią nim rozpoczną natarcie. A co ważniejsza, samiśmy sprawdzili nasze siły. Jak od wczorajszego wieczora zwątpienie wkraadało się w nasze serca, tak teraz wstępuje w nie otucha, nadzieja, pewność siebie, poczucie mocy swego ognia.

I potem wszystko mi się kłębi we wspomnieniach pierwszej godziny tego ranka.

Nieprzyjaciel został przykuty do ziemi. Nasz huraganowy ogień powoli milknie, zamiera — trzeba oszczędzać amunicję. Tylko od czasu do czasu słychać pojedyncze serie, krótkie i pojedyncze strzały. To polowanie na upatrzzonego zwierza. Jak na strzelnicę bojowej na siedemset metrów. Teraz, gdy mgła coraz więcej opada, gdy słońce coraz jaśniej świeci, coraz lepiej widzimy Niemców. O, tam hełm prześwieca zza krzaka, tam nogi widać na tle świeżo rozkopanej ziemi, tam trzy główki obok siebie, jakie widziało się zawsze na strzelnicy — cekaem oczywiście. A tam co, coś większego, ciemnego?... Ależ tak, działko przeciwpancerne! I teraz, w dzień stwierdzamy przewagę naszą nad

* niemiecki typ karabinu maszynowego.

Niemcami: zajmwszy w nocy stanowiska nie mogli wybrać ich należycie, wykorzystać terenu, wiele stanowisk jest za płytkich, wiele niezamaskowanych. I zaczyna się polowanie na źle okopanych Niemców. (Potem dowiedziałem się, że grupka Niemców leżała o 400 metrów od naszej 1-szej baterii — kapitan Kan. trzech z nich ustrzelił ze zwykłego kb.) *)

Nagle przed nami huk wstrząsa powietrzem. Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Co się dzieje? Widzę dym, jeden, drugi, trzeci. To nasze działka przeciwpancerne otworzyły ogień. Bateria druga i pierwsza. Patrzę na obsługi działek koło mnie. Znieruchomiały, zastygły w oczekiwaniu jak zwierz czający się do skoku. Zaraz zacznie się walka o życie. I po kilku sekundach już widzimy, jak ciemne, wielkie potwory wysuwają się zza górki, ze sterzących z wieżyczek luf strzelają świetlnymi pociskami w stronę naszej pozycji. Huk wielki, mają jakieś duże działa. Na szczęście nie jadą szybko. Posuwają się powoli, ostrożnie. Pewnie boją się min. Pewnie chcą rozpoznać gdzie są ukryte nasze działka. Jedzie czołg jeden, drugi, trzeci. Jest ich z dziesięć. Dzieli je od nas tysiąc metrów. Jednocześnie widzimy jak piechota niemiecka podrywa się do ataku. Nie można ryzykować puścić jej bliżej, działka 2-iej baterii to gruchoty włoskie, o niepewnych, sztukowanych celownikach. Otwieramy z działek ogień do czołgów, jednocześnie wszystkie erkaemy pozycji zaczynają grać. A naprzeciw nas coraz więcej Niemców podrywa się z ukrytych dotychczas stanowisk i biegnie. Czołgi jakby podpędzwały piechotę naprzód. A my strzelamy, strzela kto może, kto ma z czego. Fala czołgów i piechoty przybliżyła się do nas nieustannie. Czyżbyśmy źle strzelali? Co to, jeden czołg nagle i szybko skręca, zawraca i odjeżdża do tyłu. Za nim zawracają inne. I żołnierze padli na ziemi, podrywają się znowu, ale już nie biegną do nas, ale uskakują do tyłu. Czołgi odjeżdżają szybko, bardzo szybko, z wyjątkiem jednego, który już nie ruszy z miejsca. Natarcie się załamało. Czołgi zatrzymały się i manewrują o jakieś dwa kilometry od nas. Piechota niemiecka czołga się aby wrócić do swych dawnych stanowisk.

Dalej prowadzimy ogień. Dopiero teraz dostrzegam, że z wysokiej skarpy Sidi Rezegh słychać grzechot broni maszynowej. To Nowozelandczycy wspierają nas stamtąd ogniem, z flanki, z góry rażą Niemców.

„CZOŁGI Z TYŁU!”

„Czołgi z tyłu!” — woła nagle obserwator. Istotnie, od zachodu widać we mgle poranku na horyzoncie pięć burych mas. Chyba czołgi. Tak, widać coraz wyraźniej. Czołgi, na pewno. I zaraz nowy niepokój wstępuje w serce i pytanie: czyje? Zapominam o batalionie niemieckim, o tym co się dzieje przede mną i z lornetką przyciśniętą do oczu staram się dojrzeć na czołgach które się pojawiły z tyłu rozpoznawcze znaki własnej broni pancernej na dzień dzisiejszy przewidziane kodem: dwie chorągiewki u szczytu masztu radiostacji. Ale nie mogę ich dojrzeć, czołgi są za daleko, będą od nas o 7 kilometrów. A teraz co tam wyjeżdża z za fałdy terenu? Jakby kretowina się ruszała na horyzoncie dalekim, jedna, druga, trzecia! Zbliżają się, rosną. Wozy. Chyba też czołgi. Tak, widać już wieżyczki. Jest ich też pięć. Jadą

* potoczny skrót oznaczający karabin.

w ślad za pierwszymi. Mniej więcej w naszym kierunku, tylko nieco bardziej na północ.

— O, panie poruczniku, rakietą. — Oglądam się. To czołgi niemieckie przed nami wypuściły raketę zieloną. Komu dają znaki? „O druga rakietą” — melduje obserwator przeciwnego kierunku. Rzeczywiście, jeden z czołgów które ukazały się z tyłu wypuścił raketę zieloną również. Jakieś bardzo nieprzyjemne uczucie opanowuje mnie. Aha, więc teraz może być koniec zabawy: wezmą nas z dwu stron naraz. I zaraz wydają rozkazy: Dwa działony — „czołgi z tyłu!” Wszystkie cztery działony: „Pogotowie do zwalczania czołgów z przodu i z tyłu!”

Rozkaz w mgnieniu oka wykonany, dwa działka obrócone o 180 stopni, już słyszę w dwu działonach obliczanie odległości do czołgów z tyłu. Ale czuję że działony nie czują się swojo. Tak miją z kwadrans, pół godziny. Cztery czołgi niemieckie z przodu zbliżyły się do nas i w odległości półtora kilometra manewrują ostrożnie po przedpolu. Jednocześnie czołgi z tyłu również wolno, przystając, nadjeżdżają w naszym kierunku. Są już o jakie 5 kilometrów. Czołgamy się do punktu obserwacyjnego dowódcy kompanii. Sygnalizowano mu nasze czołgi od zachodu? Nie. Co robić? Gdyby wiedzieć że to niemieckie, byłby jeszcze czas ściągnąć tu działka z pozycji kompanii „C”, które inaczej beczynnienie przyglądać się będą jeśli nasze stanowiska rozjeżdżać będą czołgi wroga. Za wszelką cenę muszę jak najwcześniej rozpoznać te nieznanne czołgi! I nagle rozwiązanie przychodzi mi do głowy. „Szefie, proszę objąć dowództwo, pojedę rozpoznać te czołgi”. Biorę granat przeciwczołgowy i biegnę kilkaset metrów do tyłu, tam gdzie za fałdą terenu stoją wozy dywizjonu. W jakimś dole leży kierowca kapral Śliw. „Zawieziecie mnie?” — wołam. „Już jadę!” — odpowiada. „Dokąd?” „Do tych czołgów”. Po chwili kierowca już wali pełnym gazem przez pustynię. Po paru minutach czołgi są od nas już tylko o dwa kilometry. Stop. Lornetka do oczu. Tak, na maszcie dwu czołgów widać chorągiewki. I z boku mają prostokątne otwory: „Walentyny”. Ciężar spada mi z serca, wołam do kierowcy: „Nasze, prędko do nich!” Czołgi widocznie zobaczyły wóz, gdyż skręcają i jadą prosto na nas. Po chwili jesteśmy obok nich. Wskakuję z wozu i podbiegam do pierwszego z czołgów, w którym przez podniesioną klapę w wieżyczce wygląda człowiek. Twarz czerwona, wąsiki rude zakręcone w górę, nie pozostawiają wątpliwości co do narodowości właściciela. Ma odznaki majora, czarny beret. Podbiegam uradowany, jakby to był ktoś dobrze znany, bliski. Witamy się. „Co pan tu robi?” — pytam. „A pan co?” Wyjaśniam sytuację batalionu w kilku słowach, pytam jakie ma zamiary. Major znalazł się tu ze swą kompanią czołgów przypadkiem, wyjechał o świcie z Tobruku dla patrolowania pustyni, posłyszał odgłosy bitwy, więc jechał na huk dział. „No dobrze, ale nie odjedzie pan stąd?” — pytam. Proponuję, by natarł na Niemców wraz z nami, na kartce szkicując pozycje własne i nieprzyjaciela, gdzie niemiecka piechota, gdzie czołgi, gdzie nasze pepance, gdzie pola minowe. Major komunikuje się ze swym dowództwem. Słyszę jak nadaje meldunek gdzie się znajduje i że wszedł w kontakt „z przedstawicielem perymetru obrony”. Nie mogę czekać dłużej, muszę wracać. Przed odjazdem proszę, by w każdym razie nie odjeżdżał nie zostawiwszy kilku czołgów dla osłony pozycji batalionu od tyłu. Ponieważ widzę, że od rozmowy naszej może dużo zależeć, poda-

ję swe nazwisko i proszę nawzajem majora o podanie swego. Słyszę odpowiedź: major Prichard. Zapisuję nazwisko w notatniku i wracam co swoich. *)

Sytuacja niezmienniona, obie strony prowadzą ogień. Czołgi manewrują za piechotą, półtora kilometra od nas. Są ostrożne, boją się podejść bliżej. Czołgi majora Pricharda zatrzymały się z tyłu o 3 kilometry od nas.

Około godziny 10-ej czołgi majora Pricharda jadą w kierunku naszej pozycji. Kierują się wprost na nas. Czyżby się zdecydowały na uderzenie? Gdy są o 20 metrów od mego schronu, wybiegam im na spotkanie — jeszcze wjadą na pole minowe przed nami. Z pierwszego czołgu wychyla się kapitan w czarnym berecie. „Jestem zastępcą majora Pricharda. Uderzamy zaraz na Niemców. Proszę o wskazanie przejścia przez pole minowe”. Hurra! Sam poprowadzę. W jednej chwili jestem na szczycie czołgu. Jedziemy. Łoskot, szum, huk. Obsługi działek już zrozumiały co będzie. Już kilku chłopaków biegnie w stronę pola minowego i na przestrzeni kilku metrów wyciąga miny z ziemi, odkłada ostrożnie na bok. Nim ciężki dwudziestotonowy czołg dojechał do pola minowego, już droga jest wolna. Przejeżdżam pole minowe. Za naszym pierwszym czołgiem jadą dalsze dziewięć, w odstępach kilkudziesięciu metrów. Cudowne uczucie. Czyż to nie sen? Wreszcie po dwu latach wojny zobaczyć na polu bitwy nie czołgi niemieckie, ale własne, duże, wielkie, ogromne. I jechać na zgrzytającym, trzęsącym, huczącym czołgu na pozycje niemieckie. Jakaś niewypowiedziana radość rozpiera mi piersi, jakieś rozkoszne uczucie zemsty, nie jakieś wielkie uczucie zemsty narodowej, ale takie małe uczucie zemsty żołnierza, który wreszcie dorwał się po latach do lepszej, wspanialszej broni, aniżeli ma w tej chwili jego przeciwnik. Patrzę ze szczytu czołgu na mych żołnierzy co uprzętnęli miny, dostrzegam na ich twarzach uczucie zazdrości — teżby na tych czołgach chcieli pojechać na Niemców. Widok własnych, jadących do ataku czołgów to samo uczynił na nich wrazenie. To mi przypomina obowiązek — muszę pozostać przy baterii. Ostatni raz wskazuję kapitanowi w czołgu pozycje niemieckie. W biegu zeskakuję z czołgu. Przejeżdża koło mnie z chrzęstem i łomotem reszta potworów. Taki huk, że nawet strzelaniny nie słyszę.

I BATALION NIEMIECKI BĘDZIE ZNISZCZONY

I teraz następuje niezapomniany widok. Pierwsze pięć czołgów skręca w prawo i kieruje się na flankę pozycji niemieckiej. Czołgi niemieckie szybko wycofują się do tyłu — są słabsze, nie czują się na siłach podjąć walki z czołgami brytyjskimi. Druga piątka czołgów brytyjskich idzie za nimi w pościg. Piechota niemiecka nie otwiera ognia do czołgów, które wyjeżdżają na jej flankę — widocznie jej działa przeciwpancerne zostały już zniszczone naszym ogniem. Pierwsza linia piechoty niemieckiej podnosi się ze swych stanowisk. Nie strzela. Nie podnosi rąk do góry, jak się zwykło widzieć w filmach wojennych. Po prostu wstała. Dwustu Niemców stoi na polu spokojnie i czeka nadejścia czołgów brytyjskich. Tak, poddają się. Po raz pierwszy widzę tak spokojne poddanie się tak dużej ilości żołnierzy niemieckich. I wtedy w dniu 2 grudnia 1941 pryska w mych oczach raz na zaw-

* Kazimierz Grz., docent U. J. K. i mój kolega z Libii spotkał niedawno w Bagdadzie majora Pricharda i przy drinku zgadali się na temat tego epizodu. Świat jest mały.

sze mit nadzołnierza niemieckiego. Ale tam, za nimi, co się dzieje? Kilka setek żołnierzy niemieckich też powstało z ziemi, ale nie stoją w miejscu, tylko biegną do tyłu. Szereg samochodów wyjeżdża z ukrycia i odjeżdża szybko do tyłu. Aha, to druga linia rezygnuje z walki, ale ucieka przed niewolą. Czołgi brytyjskie już to widzą. I już ogniem z cekaemów siekają po uciekających. Nowozelandczycy z góry też walą do nich. Ogień prowadzony z czołgów stojących w miejscu jest nawet dość celny. Coraz to jakiś wóz się zatrzyma, coraz to któryś z uciekających pada na ziemię, by już nie powstać. Ale jednocześnie patrole nasze i piechoty angielskiej udają się na przedpole by zafasować te dwie setki Niemców pierwszej linii, które się poddały czołgom.

Po godzinie pierwsze czołgi brytyjskie wracają przez nasze pozycje. Zrezygnowały z pościgu za czołgami niemieckimi, boją się pewnie dać się wciągnąć w zasadzkę, tym bardziej że deszcz znów zaczyna padać i cała mgła przykrywa powoli pustynię. Ostatnie dwa czołgi wjeżdżając w pozycję myślą drogę, zjeżdżają w bok i po chwili już wybuchają pod nimi miny. Ale czołgi są silne, miny słabe, urywają im tylko gąsienice. Ale jest jeden ranny. Nagle przelatują nam nad głowami pociski świetlne. To czołgi niemieckie korzystając z mgły podjechały niepostrzeżenie na odległość półtora kilometra i stamtąd otworzyły ogień. Po chwili znów chowają się we mgle i deszczu. Czy nie wrócą jeszcze? Z punktu widzenia obrony przeciwpancernej mego odcinka uznaję za pomysłne wydarzenie unieruchomienie tych dwu czołgów koło nas — przybyły nam dwa opancerzone działka i karabiny maszynowe.

Deszcz mży coraz większy, mgła opada coraz gęstsza. Siedzę w rowie przykryty płachtą z samochodu. Nie spałem prawie dwie doby — ale nawet już nie czuję zmęczenia. Nie jadłem już blisko dobę — ale nie czuję głodu. Nerwy zbyt napięte teraz się powoli rozluźniają w jakiś błogostan. Jak dobrze, jak wygodnie, jak przyjemnie jest tak siedzieć w rowie, mieć spokój i nie myśleć wreszcie o niczym. A tylko w podświadomości zdawać sobie powoli sprawę, że to nie nasz dywizjon zamienił się w trupy i jeńców, ale Niemców ten los spotkał. Że my jesteśmy żywi, tylko jeden biedny Witk. ciężko ranny. Że ostaliśmy się przy działkach i stanowiskach a mógł nas tak łatwo być spotkać los plutonu 1-ej baterii. Zaczynam drzeć. Śpię. Ktoś mnie budzi. Zrywam się — co, znów Niemcy? „Panie poruczniku, pan major ze sztabu przyjechał, szuka pana porucznika”. I już po chwili energiczny, rumiany na twarzy major Zim. oficer operacyjny brygady ściska mi mocno dłoń. „To pan żyje?” — mówi — do Tobruku przysłała wiadomość, że pan zginął”. „Świetnie się czuję” — odpowiadam — tylko los pana pułkownika mnie martwi, poruczników Orł. i Kap. od wczoraj wieczór nie widziałem, nikt o nich nie wie w baonie, obawiam się że albo nie żyją albo są w niewoli”. „Niech się pan przestanie martwić, wszyscy żyją” — odpowiada major — zblądzieli wczoraj, natrafili na brytyjski działon plot., który ich ostrzelał, pułkownik został lekko ranny, jest w szpitalu w Tobruku”. „Więc muszę wam pogratulować” — mówi dalej — „przejęliśmy rano depesze w których Niemcy skarżyli się na silny opór który napotkali pod Belhamedem i prosili o wsparcie. Spełniście więc swoje zadanie. Uniemożliwiście wycofanie tędy nieprzyjaciela ze wschodniego odcinka Tobruku.” Z Majorem przyjechał kpt. J. objąć funkcje dowódcy dyonu. Major częściej mnie jakimś alkoholem z manierki i obiecuje że zaraz po po-

wrocie do Tobruku poleci kwatermistrzowi przysłać nam zaległy prowiant.

Major jedzie do dowództwa baonu. Po godzinie otrzymuję nowe rozkazy. Kompania „Bi” powróci na swe stanowiska opuszczone wczoraj. Ja z dwoma działkami zajmę stanowiska zniszczonych działonów 1-ej baterii. Niezadługo oba działka są ściągnięte ze stanowisk, umieszczone na wozach. Odjazd. Zajeżdżamy na miejsce gdzie wczoraj wieczorem i dziś rano toczył się najgorętszy bój. Ze wzruszeniem i ciekawością zbliżam się do stanowiska pierwszego działka. Działko stoi samotnie, lufa zwrócona jeszcze w kierunku skąd zaatakowali Niemcy. Ogon działka zgięty — widać ślady czołgu który po nim przeszedł, nadjechałszy z boku. A tam wprost przed działkiem widać ślady drugiego czołgu. Jechał wprost na działko i w odległości trzech metrów dopiero się zatrzymał — widocznie pierwszy czołg tymczasem już wjeżdżał na stanowisko. Obok działka leży martwy żołnierz. Twarz ma pokrytą zakrzepłą krwią. Na naramiennikach odznaki podchorążego. To działonowy podchorąży Organiściak. W milczeniu salutujemy. Obok działka leżą wystrzelone łuski naboju. Ile ich jest? Liczę. Dwadzieścia dwie. Czuję się dumny. Dumny z tego żołnierza co tu w zakrzepłej krwi leży, dumny z tego działonowca. Walczył do ostatka. Było ich czterech w działonie. Jeden poległ, dwu rannych, tylko jeden cały został. Gdy piechota się wycofała, gdy czołgi wjechały na stanowisko, dopiero wtedy zaprzestała walki.

Idę do drugiego działka. Też ślady czołgów co wjechały na stanowisko. Też dwadzieścia parę wystrzelonych łusek. Gdzie celowniczy kapral Kłosiński? Leży martwy opodal, głowę ma obandażowaną. Ciężko rannego opatrzyli Niemcy. I im musiał zaimponować żołnierz co walczył do ostatka. W tym działonie też dwu było rannych, tylko jeden zdrow się ostał, pomógł wycofać się rannym.

O kilkanaście kroków od polskiego działka leży martwy żołnierz angielski. Głowa mu opadła bezwładnie na lufę erkaemu, dłoń kurczowo ściska spust, wystrzelał naboje z magazynku do ostatka. Do końca spełniał swój obowiązek. Salutujemy w milczeniu. „Weźcie ten erkaem” — mówię do towarzyszących mi żołnierzy — „niech pozostanie w baterii, będziemy się starali opiekować nim godnie”. Idziemy dalej. Pobojowisko pokryte trupami żołnierzy niemieckich. Twarze wykrzywione w przedśmiertnych skurczach, pokryte soplami krwi, włosy jasne, twarze młode. Oto młodzież niemiecka, której Hitler obiecał panowanie nad światem — a dał śmierć. Rommel rozgrzewał ją mirażami rozkoszy miast wschodu a żuki pustynne jutro toczyć będą te młode ciała. I wpatrując się w te twarze, doznaję uczucia dziwnej przyjemności, niemal fizycznej rozkoszy: jednego mniej, jeszcze jednego mniej. Opodal stoją pogruhotane wozy. Widać na nich wymalowane wiązanki smukłych białych palm—znak Afriki Korps. I czołgi szare z białymi krzyżami. Tu jeden, tam drugi, tam dalej trzeci, tyle że aż trudno się doliczyć. Będzie ich ze dwadzieścia. Zniszczone przed czterema dniami, gdy rozpoczęła się bitwa o „korytarz”, zniszczone w nocy przez pluton 1-ej baterii i ten z rana. Kierowca tego ostatniego otworzył klapę obserwacyjną. Wspaniale celny pocisk wleciał tym otworem do środka, zabił kierowcę, który martwy zwisa jeszcze nad kierownicą. Czołg nieuszkodzony, będzie go można użyć. Aż pod skarpe Sidi Rezegh rozciąga się

dolina śmierci niemieckich czołgów. Rozumiem dlaczego rano czołgi niemieckie nacierały na nas tak ostrożnie.

Alarm! Z za fałdy pustynnej terenu wychodzi szereg postaci. Już żołnierze przypadli do erkaemów. Ale nie, to nie jest oddział walczący. Idą, wloką się raczej bezładną kupą, na lufach wyciągniętych w górę karabinów powiewają na wietrze wieczoru białe szmaty. Przychodzą się poddać. Niemcy, pewnie żołnierze rozbitego batalionu, co zdołali uciec. Mają dość głodu, zmęczenia. To już nie są ci wspaniali żołnierze, co wjeżdżali w tryumfie do Kopenhagi, Oslo, Paryża, Bukaresztu. To są po prostu ludzie, którzy chcą już tylko pić, jeść i spać. Gdy mieli do wyboru między kuseczkę jedną nocą wśród zimnych skał pustyni a nadzieją na kubek gorącej herbaty i angielskiego bifa — wybrali to drugie.*)

Powoli mrok zapada. Jest coraz ciemniej. Niezadługo znów wszędzie księżyc nad Gambutem. Co nam tej nocy przyniesie?

HENRYK STRASBURGER

DEMOKRACJA CZY AUTOKRACJA?

Istnieją dwa odmienne poglądy na charakter drugiej wojny światowej. Jedni powiadają, że ta wojna, podobnie jak wszystkie wojny w ogóle, jest tylko starciem sprzecznych interesów narodowych. Inni twierdzą, że jest to wojna dwóch odmiennych światopoglądów, wojna idei, wojna niemal religijna. „We know we are not merely fighting a state, we are fighting a philosophy” — mówił Ernest Bevin w 1941 roku, a Niemiec Friederich Hielscher powiedział już w roku 1930: „The war against the West will assume the aspect of wars both religious and imperial”.

Prawdopodobnie każda wojna ma w sobie pewne pierwiastki ideowe, bo w sposób nagły przyspiesza rozwój poglądów drzemających już przedtem w ukryciu ludzkości. Każda wojna jest też wojną między narodami, bo każde państwo pragnie narzucić swoją przewagę innemu państwu i osiągnąć w ten sposób od niego takie czy inne korzyści. Ale wydaje się, że wojna obecna, tak jak już pierwsza wojna światowa jest w znacznie większym stopniu wojną ideową, aniżeli inne wojny, choćby naprzykład wojny drugiej połowy XIX-wieku. Nie chodzi tylko o to kto będzie miał władzę — Niemcy czy Zjednoczone Narody — ale także przede wszystkim o to, jak będzie ona wykonywana, zarówno wewnątrz krajów, jak i w stosunkach między krajami. Zasada — Cuius regio, eius religio — stosuje się do wyników wojny obecnej w większym stopniu, aniżeli miało to miejsce w czasie wojen religijnych i obejmuje szersze dziedziny myśli ludzkiej, zarówno filozofii jak ekonomii i polityki.

W dziedzinie etycznej wojna obecna jest walką z barbarzyństwem. „Whether active or passive, whether

* Potem się dowiedziałem, że batalion rozbity w dniu 2 grudnia 1941 pod Belhamedem wchodził w skład 90 lekkiej dywizji niemieckiej, jednej z najlepszych wielkich jednostek Afrika Korps. 90 lekka dywizja niemiecka walczyła do końca w Tunisie i poddała się wreszcie starym znajomym z pod Sidi Rezegh i Belhamedu — Nowozelandczykom. Nie bez wzruszenia przeczytałem onegdaj tę wiadomość w prasie.

the accompaniment of old age or of childhood, barbarism is the eternal enemy" — mówi świetny publicysta amerykański Herbert Agar w swojej książce „A time for greatness”. Dzisiejsza wojna jest walką z barbarzyństwem zmotoryzowanym, uzbrojonym w najdoskonalsze osiągnięcia nowoczesnej techniki: mechaniki, łączności, ekonomii stosowanej i finansów, barbarzyństwem które odrzuca jednocześnie wszystkie pierwiastki rozwoju moralnego. Maximum techniki, minimum humanitaryzmu. Dawniej stopień kultury wewnętrznej narodów szedł zwykle w parze z ich wyposażeniem technicznym. Dzisiaj pojęcia te się rozszczepiły, do czego trudno nam się jeszcze przyzwyczaić przy ocenie stopnia kultury narodów.

W dziedzinie politycznej wojna obecna, jak się ogólnie mówi, jest walką o demokrację. Czym jest demokracja? Jeśli sięgnąć do historii i literatury, można tam znaleźć więcej sądów krytycznych i ironicznych o demokracji, aniżeli wypowiedzi pozytywnych. Wszystkie instytucje ludzkie, a instytucje polityczne przede wszystkim, są niedoskonałe, a więc także i demokracja. Gdybyśmy nie żyli w czasach, kiedy jeden szalenięc mógł podłożyć ogień pod świat cały, nie jeden z nas podzieliłby może niechęć i sceptycyzm wobec tyranii mas. Tak jak sprawy dzisiaj stoją, przyznajemy się do niej wszyscy bez zastrzeżeń, i uważamy ją za jedyną drogę do szczęścia narodów. Wraz z A. Smith'em wierzymy, że „all the ills of democracy can be cured by more democracy”.

Za najlepsze określenie demokracji uważam słowa Abrahama Lincoln'a: „Government of the people, by the people, for the people”. Stopień rozwoju demokracji można zapewne mierzyć stosunkiem procentowym ludności w każdym narodzie, która korzysta z jej dobrodziejstw. Naprzykład Polska XVI-wieku była obok Anglii państwem najbardziej demokratycznym. Mawiano tam „Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie”, a król wchodząc do sejmu uchylał grzecznie czapki. Cała — nawet drobna szlachta — miała udział w prawach wolności i w rządzeniu państwem. Ale byli oni jednak tylko niewielką częścią narodu.

Demokracja XIX-wieku przyznała równe prawa polityczne i udział w rządach szerokim warstwom ludności. Ale nie znała ona równości gospodarczej. Stopniowo dopiero utrwaliła się zasada równego startu gospodarczego dla wszystkich. Dzisiaj już nie tylko start gospodarczy, ale i osiągnięcie celów gospodarczych jest wyrównywane. Rosnące opodatkowanie sfer zamożniejszych z jednej strony, a wzmagająca się opieka społeczna z drugiej strony, utrwalają bezpieczeństwo i równość gospodarczą. Cztery wolności Roosevelt'a i projekty Beveridge'a dają temu wyraz. Jak powiedział złośliwie jakiś zagorzały konserwatysta, pilnuje się dzisiaj w wyścigach nie tylko żeby konie równo startowały, ale także żeby razem przybiegały do celu, co niewątpliwie czyni wyścigi mniej interesujące.

Czym różnią się Niemcy od dzisiejszych państw demokratycznych? — możnaby może powiedzieć, że rządy sprawują się tam jak w państwach demokratycznych dla narodu, że są to rządy „for the people” według terminologii Lincoln'a, jakkolwiek dziwne mogłyby się nam wydawać cele tego rządu. Pomijając przywileje dla liczebnie stosunkowo niewielkiej partii, panuje

tam, jak sędzę, dosyć daleko idąca równość, nie wyjącając i dziedziny gospodarczej.

Natomiast wszelkie ślady rządów „by the people” zostały tam zniszczone. Spalenie parlamentu było zewnętrznym tego symbolem. Naród nie bierze udziału w rządach. Znikły też wszelkie ślady wolności. Podtrzymywane jest złudzenie podobnie jak w dawnych tyraniach i monarchiach, że możliwe są rządy „for the people”, chociaż nie „by the people”.

Ci, którzy z własnego doświadczenia znają duszę narodu niemieckiego, wiedzą, że utrata wolności osobistej i udziału w rządzeniu obywateli nastąpiła tam za zgodą i ku całkowitemu zadowoleniu przygniatającej większości narodu. Wolność nie została Niemcom siłą odebrana — złożyli ją oni swemu wodzowi w dobrowolnej ofierze. Jest to tyrania czy autokracja z wyboru, albo „zautokratyzowana demokracja”. Nastąpił tam zupełny zanik poczucia wolności i samodzielności.

Kiedy pytano młodego Niemca, czy jest zadowolony z wprowadzenia systemu hitlerowskiego, odpowiedział z wielkim przekonaniem: „Tak jest, bo nareszcie wszyscy wiedzą co o każdej sprawie myśleć”. Zaś C. I. Hambro opowiada o innym młodym hitlerowcu, który cieszył się, że z nowym regimem stał się nareszcie wolny. „Wolny od czego?” pytają go ze zdziwieniem, „Wolny od wolności”, odpowiada z widocznym zadowoleniem.

Powrót powojennych Niemiec do demokracji może wymagać długiego czasu. Można by stanąć nawet na stanowisku, że byłoby niedemokratycznie narzucać Niemcom wolność wbrew ich woli, gdyby oni swojej woli nie pragnęli narzucać innym ludom. Jak mówił już Fryderyk Wielki, trzeba każdemu pozwolić być szczęśliwym na swój sposób (*Nach eigener Façon selig werden*).

Jeżeli więc wojna dzisiejsza ma podkład ideowy, to sędzę, że nie toczy się ona tylko o ideologię czy formę ustroju wewnętrznego poszczególnych państw, ale w pierwszej linii o porządek międzynarodowy. Hitlerizm i demokracja walczą z sobą o panowanie nad światem. Cele niemieckie zostały pod tym względem od samego początku jasno sformułowane. Niemcy wyruszyły w pole o zdobycie przestrzeni życiowej dla Niemiec. Jedyne rozmiary tej przestrzeni ulegały zmianom. Ograniczały się one czasami do centralnej i centralno-wschodniej Europy (*Mittleuropa*) czasami obejmowały całą Europę, niekiedy rozciągały się na trzy kontynenty, Europę, Afrykę i Azję, przy czym oś nowego imperium światowego miała przechodzić od Narwiku poprzez Berlin, Monachium, Rzym, Tunis, Bona do Capetown, (projekt Hermana Storgela ogłoszony w *Bergwerkszeitung* z dn. 4 kwietnia 1942 r.). Czasami Niemcy w swoich publikacjach sięgają po panowanie nad całym światem. Koncepcja niemiecka opiera się na zasadzie wodzostwa, czyli *leadership'u*. Wyznaje się zasadę wielkich przestrzeni scalonych przez panowanie niemieckie. Głoszono prawo całkowitej supremacji interesów niemieckich nad interesami innych narodów. Odrzucano zasadę kollaboracji międzynarodowej i prawo istnienia mniejszych narodów. Całość systemu miała być zabezpieczona przez rozbrowienie i odprzemysłowienie innych narodów i skoncentrowanie ośrodków dyspozycji w rękach niemieckich.

W praktyce, wbrew mniemaniu bardzo rozpowszechnionemu wśród Narodów Zjednoczonych, zjednoczenie Europy pod pano-

waniem niemieckim nie zostało dokonane ani politycznie, ani gospodarczo. Bariery ekonomiczne w postaci kontyngentów towarowych i kontroli dewizowej zostały utrzymane i wzmocnione, a ich zniesienie bynajmniej nie było przewidywane, bo zamierzano w ten sposób stworzyć różnicę poziomu życiowego w różnych krajach, a w szczególności utrwalić wyższy standard życiowy narodu niemieckiego.

Uważni obserwatorzy życia niemieckiego, zauważyli w ostatnim półtora roku dużą zmianę w głoszonych przez Niemców celach wojny, a w szczególności podstaw nowego międzynarodowego porządku rzeczy. Ucichły żądania przestrzeni życiowej dla Niemców. W stosunku do narodów europejskich zaczęto używać terminu aliantów, mówi się o wspólnocie europejskiej, o konieczności uwzględnienia praw mniejszych narodów. Zapowiedziano ogłoszenie nowej Charty Europejskiej, która określałaby bliżej podstawę stosunków międzynarodowych w naszej części świata. Dotychczas ten nowy porządek nie został opublikowany, natomiast na dzień urodzin Ribbentrop'a dn. 30 kwietnia rb., wyszła w Niemieckim Instytucie Badań Zagranicznych książka pt. „Europa Handbuch”, we wstępie do której Ribbentrop sprecyzował na nowo europejskie cele wojny obecnej. Widzimy więc, w Niemczech jak gdyby pewne próby odwrotu od celów głoszonych na początku wojny w dziedzinie międzynarodowej. Czy to jest tylko obłuda? Zapewne, ale wszak obłuda nie jest niczym innym jak hołdem złożonym prawdzie przez występki. Jest ona w danym wypadku może zapowiedzią i przedświtem tryumfu prawdy i sprawiedliwości w stosunkach międzynarodowych.

Alianci w czasie pierwszej wojny światowej i Narody Zjednoczone w wojnie światowej nr 2 walczą o rozciągnięcie zasad demokracji na stosunki międzynarodowe. Spór toczy się o rozszerzenie dobrodziejstw demokracji, które utrwały się stopniowo wewnątrz krajów demokratycznych, poza granice narodowe, na stosunki międzynarodowe i światowe.

Mówi się, że pokój jest niepodzielny, że bezpieczeństwo jest niepodzielne, że dobrobyt jest niepodzielny, powiedzmy również: demokracja jest niepodzielna. Pojęcie demokracji musi być umiędzynarodowione. „Internationalism is the socialism of nations”, mówi H. G. Wells.

Świat był kiedyś dostatecznie wielki, żeby bezpośrednio za wrotami cywilizowanego i bogatego miasta mogły się rozpoczynać pogrążone w ciemnocie i nędzy przedmieścia. Dzisiaj świat jest już za mały, żeby, obok krajów rządzonych przez ludność i dla ludności, istnieć mogły narody rządzone wbrew ich woli, wyzyskiwane gospodarczo i podzielone na sfery wpływów według hitlerowskiej zasady wozostwa. Demokracja międzynarodowa jest prawdopodobnie warunkiem dalszego rozwoju demokracji również wewnątrz krajów nawet najbardziej demokratycznych. Ktoś sto lat temu powiedział, że po upływie wieku Europa będzie albo kozacka, albo demokratyczna. Powiedzmy teraz, że Europa, a nawet świat cały będzie jutro albo hitlerowski, albo demokratyczny.

Mieliśmy odpowiedzieć na pytanie, czy przyszła Europa będzie demokratyczna, czy autokratyczna. Ale czy nie należałoby zastanowić się, czy Europa jako pojęcie pewnej całości politycznej będzie istnieć? Historycznie Europa jest niewątpliwie pojęciem wspaniałym i wielkim. Nie wiem jednak, czy stara Europa nie skończyła się wraz z upadkiem w tej wojnie intelektualnej

stolicy świata — Paryża. Geograficznie, Europa jest, jak sędzę, tylko niewielkim półwyspem azjatyckim. Mam wątpliwości, czy politycznie pojęcie Europy odpowiada jeszcze prawdzie i rzeczywistości. Cała Wschodnia połowa Europy jest tylko drobną częścią wielkich przestrzeni azjatyckich Imperium Rosyjskiego. Na Zachodzie, Wyspy Wielkiej Brytanii z której wspaniałomyślnej gościnności wszyscy korzystamy i z którą zdarzenia jesieni i zimy 1940 roku połączyły serca nas wszystkich na zawsze, są częścią wielkiego światowego Imperium Brytyjskiego. Europejska Francja jest częścią światowego Imperium Francuskiego. Ośrodek bogactw i potęgi gospodarczej Holandii i Belgii leży poza Europą, Italia i Portugalia szukają swoich podstaw poza naszym kontynentem. Właściwie poza Hiszpanią i krajami Skandynawskimi, krajami Europejskimi w ścisłym tego słowa znaczeniu są tylko Niemcy, największy wróg Europy, oraz kraje Europy Centralno-Wschodniej — ten Kopciuszek Europy.

Bolesław Prus opowiada w jednej ze swoich kronik tygodniowych o pewnej rodzinie, która się często między sobą sprzeczała. Był też w tej rodzinie mały chłopiec Staś. Kiedy się już wszyscy dosyć wyklócili, wtedy ktoś z rodziny odzywał się zwykle: „A możeby tak narznąć w skórę Stasiowi?” Wszyscy propozycję przyjmowali z entuzjazmem i natychmiast w czyn ją wprowadzali. Ta rodzina — mówił Bolesław Prus — to Europa, a mały Staś — to Polska, a dziś może raczej kraje Centralno-Wschodniej Europy. Różne państwa wzajemnie sobie ofiarowują sfery wpływów w Centralno-Wschodniej Europie, a sami najchętniej plecami odwróciliby się od niej. Również i my rozstalibyśmy się chętnie z tą nieco podstarzałą damą Europą i szukamy od niej ucieczki i ratunku w polityce i gospodarce światowej. Byłoby np. lepiej, żeby zarówno Niemcy, jak kraje Centralno-Wschodniej Europy rozwiąły swoje stosunki z krajami zamorskimi, niż żeby Niemcy szukały w Centralno-Wschodniej Europie oparcia dla swojej gospodarczej samowystarczalności i wojskowej agresji. Trudno z tego konglomeratu państw o sile odśrodkowej tworzyć jakąś polityczną całość. Może lepiej wprzęgnąć poszczególne jej części — na przykład w formie federacji — do wielkiej politycznej i gospodarczej organizacji światowej? Zerwijmy z naszych ścian mapy Europy, przestańmy ją dzielić na sfery wpływów, patrzmy raczej na mapy i globusy świata, a może wtedy otrzymamy bardziej prawdziwy i realny obraz rzeczywistości!

Tworzenie dla Europy pewnych odrębnych instytucji, czy organizacji dla specjalnych celów administracji, czy zaopatrzenia powojennego może być użyteczne i uzasadnione, ale podtrzymywanie idei odrębności czy separatyzmu Europy w dziedzinie polityki, gospodarstwa, czy bezpieczeństwa nie wydaje się uzasadnione. Ani koncepcja Panameryki, ani pojęcie Paneuropy zdaje się nie odpowiadać warunkom dzisiejszym. Amerykańska zasada Monroego powstała blisko pięć ćwierćwieczy temu, więc nie należy jej naśladować dzisiaj w Europie. Jeżeli kto wierzy w słuszność teorii niemieckiej o „Grossraumpolitik” według której świat idzie w kierunku powstania wielkich zwartych bloków terytorialnych, to rzut oka na mapę naszej półkuli — a broń Boże nie na mapę Europy, nasuwa wniosek, że podział małej Europy na dwie sfery wpływów — brytyjskiej i rosyjskiej, gdzieś z granicą na Odrze, nie jest możliwy. Według tej teorii, albo cała Europa byłaby wkrótce niemiecka, o ile Niemcy wyrzuciłyby

z Europy Rosję, albo też cała uległaby wpływowi rosyjskiemu, gdyż jak wynika z mapy całe terytorium Europy byłoby tylko małym aneksem rosyjskim. Imperium Brytyjskie jest najdoskonalszym zaprzeczeniem idei zwartych obszarów. Dlatego wydaje nam się, że cała kula ziemiska jest już dzisiaj wielkim blokiem politycznym i gospodarczym, w ramach którego mogą żyć obok siebie wielkie i małe państwa.

Jednym z warunków demokracji międzynarodowej są równe prawa dla wszystkich narodów, zarówno wielkich jak i małych, a w szczególności prawo samostanowienia. Jeżeli podstawą demokracji są rządy „by the people”, to w dziedzinie międzynarodowej nie może być demokracji bez prawa każdego narodu posiadania własnych rządów i własnego państwa. Próbowano podważyć tę zasadę, szczególnie dla Europy Centralno-Wschodniej, wskazując na to, że świadomość narodowa jest tam w niższych klasach niedostateczna, że plebiscyty nie zawsze odpowiadały cyfrowo narodowościowym i językowym, że może dla względów bezpieczeństwa, czy dla względów ekonomicznych, wielu obywateli pragnęłoby tam przyłączać się do innych związków, aniżeli do swoich grup narodowościowych. Jest to niewątpliwie zasada Quislingowska, próba namawiania ludzi do zdrady wobec swego narodu, która właśnie w Europie Centralno-Wschodniej wydała w tej wojnie małe rezultaty. Nacisk administracji, albo chlebodawców może istotnie spacyfikować wyniki plebiscytów. Nie zmienia to zasady, że narodowość winna, o ile możliwości, być podstawą samostanowienia.

Nie sądzę też żeby małe narody stały na przeszkodzie tworzenia wielkich obszarów gospodarczych. Polityka autarkiczna nie wyszła w Europie od małych narodów, ale od wielkich mocarstw, Niemiec i Rosji. Konieczność pewnej ochrony zapóźnionych gospodarczo krajów nie jest związana z wielkością obszaru, ale ze stopniem rozwoju ekonomicznego. Małe państwa pragną brać udział jak najbardziej intensywny w gospodarce światowej i międzynarodowej wymianie towarowej.

Autokracja i demokracja były dawniej formą rządów poszczególnych krajów. Dzisiaj przeszły one granice państw, a nawet kontynentów. Pojęcia te nabrały znaczenia uniwersalnego. Przedstawiają one być może dwa systemy organizacji politycznej świata. Hitleryzm i Narody Zjednoczone walczą o ideę międzynarodową, która ma być podstawą i władzą systemu światowego. Niemcy wykazały już wahania, czy idee autokracji, Herrenvolku, niewolnictwa są słuszne, a nawet dla nich użyteczne. Narody Zjednoczone muszą stać mocno przy swoich celach wojny.

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

„Oto dni nadchodzą, mówi panujący Pan, że posłę głód na ziemię, nie głód chleba, ani pragnienie wody, ale słuchania słów Pańskich. Tak, że tulać się będą od morza do morza i od północy aż na wschód biegać będą, szukając słowa Pańskiego, wszakże nie znajdą. Dnia onego pomdleją panienki piękne, nawet i młodzieńcy od onego pragnienia!” Amos VIII, 11-13.

Proroctwo Amosa, pasterza z Tekao, który chłostał możnych i bronił słabych, walczył z królami i kapłanami, wzywając pomsty Bożej na tych, co krzywdzą prostego człowieka, który groził upadkiem Izraelowi, jeśli naród się nie opamięta i dalej będzie grzeszył pod płaszczem rytuałów religijnych, nigdy nie było bardziej aktualne, niż w chwili obecnej.

Konferencja w Hot Springs obradowała nad tym, jak nakarmić świat po wojnie. Inne konferencje zastanawiają się jak zorganizować nowy porządek, zapewnić bezpieczeństwo, rozplanować produkcję. Ale nie mogą one stworzyć cudów, nie wyczarują odrodzenia moralnego ludzkości. Skąd ono przyjdzie? Czy znajdują się jacyś nowi prorocy, którzy porwą za sobą masy i nakarmią je tym, o czym mówił Amos? Czy też ludzie błąkać się będą od morza do morza, na próżno szukając słów Pańskich?

Nie jest przesadą twierdzenie, że przeżywamy jeden z najcięższych kryzysów w historii. Ludzie cierpią, walczą, giną, ale nie wiedzą dokładnie dlaczego i o co? W porównaniu z wojną ostatnią, na pobojowiskach której pogrzebanych zostało tyle niespełnionych nadziei, ta wojna jest stokroć tragiczniejsza i nic dziwnego, że wielu ludzi myślących wpada w ponury pesymizm.

Tym bardziej pokrzepiające jest, gdy od czasu do czasu w mrokach zwątpienia rozlega się głos młodzieńczy tych, co mają największe prawo do przemawiania, tych co odeszli, przekazując swój testament przyszłym pokoleniom.

Niedawno prasa angielska ogłosiła wzruszający list lotnika do jego ojca. Lotnik ten zginął w Afryce. Oto treść listu: „Pragnę byś wiedział, jaki cel ma moja śmierć i dlatego postaram się wyrazić me myśli i nadzieje.

W Anglii i Ameryce zauważyłem ogromny przypyływ uczucia, które w braku innego słowa nazwę „Goodness” (dobroć).

Nie są jego wyrazicielami politycy, ani prasa. To za głębokie dla nich. Jest to serdeczna tęsknota ludzi zwyczajnych do czegoś szlachetniejszego, do świata bardziej godnego ich dzieci, prostszego w wierze, bliższego Boga i ziemi.

Słyszałem to często wśród żołnierzy w Anglii i w Ameryce, w pociągach i w fabrykach, w Chicago i w Londynie. Czasami uczucie to jest tak niezdarnie wyrażone, że trudno je rozpoznać, lecz pod nim kryje się gorące pragnienie nowego życia.

Jest ono niemniej potężne i pełne znaczenia, niż był Renesans. Mam nadzieję i modłę się, by wielką wezbraną falą zalało cały świat. To jest ideał, o który walczymy.”

W swoim czasie, pierwszego roku wojny silne wrażenie wywarł w Anglii list innego lotnika, który również zginął, pisany do matki, tak piękny, że porównywano go z arcydziełami literatury klasycznej. Młodzutki lotnik wspiął się na szczyty patriotyzmu, skąd widać nie tylko własny kraj, lecz i cały świat. Pisał on: „Stanęliśmy w obliczu najgroźniejszego wyzwania, jakie kiedykolwiek rzucone zostało chrześcijaństwu i cywilizacji. Uważam za szczęście i zaszczyt, że jestem już w tym wieku i że zdążyłem się dostatecznie wyćwiczyć, by rzucić moją osobę na szalę tej walki. Nie boję się śmierci, czuję tylko jakąś dziwną ekstazę. Wszec świat jest tak niezmierny i wieczny, że życie jednego człowieka znajduje swe usprawiedliwienie w wielkości jego ofiary. Wierzę niezłomnie, że zło istnieje po to, by nas wypróbować, że Stwórca zesłał je rozmyślnie. On bowiem wie najlepiej, co jest dla nas dobre. W ten sposób w mych młodych latach spełnione już bę-

dzie me ziemskie zadanie. Gotów jestem umrzeć, czuję tylko jeden żal, że nie dane mi będzie uczynić cię bardziej szczęśliwą, będąc przy Tobie w schyłku Twych lat, ale Ty będziesz żyła w spokoju i wolności, a ja bezpośrednio się do tego przyczynię, a więc choćby dlatego życie me nie zostanie zmarnowane.”

* * *

Nie wiem, czemu przypisać, że moje skromne uwagi znajdują zyczliwy oddźwięk wśród lotników. Czy dlatego, że bujam w obłokach i jestem nieuleczalnym marzycielem? Może. Ale tak się stało, że jeden z najlepszych najbardziej czarujących lotników polskich, który chlubnie odznaczył się w tej wojnie, obdarzył mnie swą przyjaźnią i prowadziliśmy przez jakiś czas korespondencję. I on zginął niedawno śmiercią lotnika. G i n ą z a w s z e n a j l e p s i.

Był wielkim patriotą. Marzył o szlachetnej, dobrej, sprawiedliwej Polsce. Nie tylko samolot, lecz i myśl jego wylatywała nad poziomy. Okiem swym ogarniał najdalsze horyzonty. Listy jego owiane są takim samym sentymentem, jak listy owych lotników angielskich. Był namiętym przeciwnikiem wszystkiego, co trać nacjonalizmem i co krępuje wolność jednostki. W jednym z listów do mnie pisał: „Jakoś nikt dotąd wyraźnie nie powiedział, a mnie się zdaje, że przyczyną tego, co obecnie przeżywamy jest nie co innego, jak tzw. państwo narodowe. Potworzyły się stwory od kilku do kilkudziesięciu milionów, podgradzały się jedne od drugich granicami, które zamieniono w mury chińskie, nie przepuszczające ani myśli, ani ludzi, ani towarów. Wewnątrz takiego muru państwo zaczyna urządzać dziwne figle. Zmusza różnych ludzi do robienia tego, co im się nigdy nie śniło, bo to dobre dla państwa. Każe im się wyrzec całego szeregu potrzebnych rzeczy, bo to złe dla państwa. Państwo po mału staje się Molochem, ssącym z obywatela siły żywotne, a co gorzej serca i ducha (hitleryzm i faszizm). Wszystko dla państwa, nic dla obywatela, a o kimś poza tym murem, to w ogóle nie ma mowy, po prostu nie istnieje. Państwo musi być samowystarczalne, uzbrojone, zjednoczone. A więc każe się ludziom na Kaszubach hodować banany, co dotąd lepiej robili murzyni w Afryce, nie daje się ludziom masła, lecz armaty (Goering), a wreszcie każdemu, co wpadł w te same mury, nakazuje się być absolutnie lojalnym tzn. wyrzec się własnego „muru” i słusznie, bo przecież sytuacja i tak jest zbyt skomplikowana. Na zewnątrz filozofia państwa jest prosta i bodaj że najlepiej określił ją Sienkiewicz w „Pustyni i Puszczy” definicją: dobro — Ali ukraść krowę, zło — Alemu ktoś ukraść krowę. Oczywiście temat ten można rozwinąć w nieskończoność, myśli aż się tłoczą do głowy i trudno się od nich obronić. Trzeba zdecydowanie zniszczyć koncepcję państwa narodowego i zmusić wszystkich, by utworzyli jednostki składające się przynajmniej z dwóch r ó w n o u p r a w n i o n y c h n a r o d ó w, bo mimo wszystko nie wydaje mi się możliwym utworzenie Stanów Zjednoczonych Europy tak od razu.

Zalety oczywiście takiego ustroju to jeden krok naprzód do ogólnej unii i zgody, to liczenie się z sąsiadem zza muru, to przekreślenie problemu graniczno-mniejszościowego. Niech na przykład Cześć otwierają sobie uniwersytet w Radomiu lub kolonię ogrodniczą w Brodnicy, jeśli tego pragną, tylko niech nie stanie się to w celu dodania jeszcze jednego muru do poprzeryzanej i tak Europy. Krótko mówiąc „dwunarodowe” państwa z wspólną

armią, walutą i polityką zagraniczną, z zupełną swobodą uprawiania narodowej odrębnej kultury... Wydaje mi się to możliwe i realne. Sądzę, że ogłaszając się za wroga „państwa nr 1” mam rację.”

* * *

Przytoczyłem kilka próbek myśli lotników, którzy na szlakach podniebnych znajdują wspólny język. Życzyć sobie należy, aby ich „*déformation professionnelle*” przyczyniła się naprawdę do uskrzydlenia rzeczy ludzkich, do wyrwania z korzeniami tego, co jest złe, co ciężarem swym przygniata i hamuje wszystkie wysiłki, jakie kiedykolwiek podejmowane były przez wielkich reformatorów i rewolucjonistów społecznych, przez proroków i chorażych postępu.

Dzisiaj każdy przecież rozumie, że w wojnie tej nie o to chodzi, aby pewien kawałek ziemi na mapie zamalowany został na pewien kolor i nosił taką a nie inną nazwę, nie o to, aby pewne gromady ludzkie pielęgnowały pewne zwyczaje i tradycje, monopolizowały władzę na pewnych terytoriach, a także nie o to, by pewne typy tzw. cywilizacji trwały ad infinitum, tym bardziej, że nie muszą one być doskonałe, skoro bezpośrednio lub pośrednio doprowadzały i doprowadzają do masowych rzezi, zwanych wojnami. Chodzi o coś zupełnie innego: o stworzenie w przyszłości takich warunków współżycia narodów, w których przychodziłyby na świat dzieci nie narażone na to, że, gdy podrosną, każą im w imię takich czy innych haseł i interesów krzywdzić i zabijać swoich bliźnich, mówiących innym językiem, wyznających inną wiarę, mających inny kolor skóry. Chodzi o to, by na głowy tych dzieci nie spadały bomby.

Lotnicy, o których pisałem, walczyli nie tylko o swoich najbliższych, o swoje własne kraje. Mieli świadomość tego, że walczą o prawo każdej istoty ludzkiej do życia i szczęścia. Ich patriotyzm był „*internationally minded*”, posiadali tę właśnie mentalność, która potępiana jest, jako „*niepatriotyczna*” przez egoizm, kołtuństwo i głupotę nacjonalizmu.

Są różne rozwiązania problemu pokoju, ale jest tylko jedno podejście, jeśli to ma być pokój prawdziwy, trwały, „*peace with no worm in it*”, jak mówił Cromwell. Leży ono na płaszczyźnie moralnej, a nie takich czy innych sformułowań prawnych i tez organizacyjnych. Przy całej ważności tej strony formalno technicznej zagadnienia pokoju, stoi ona na dalszym planie wobec treści duchowej, jaką pokój musi być wypełniony. Dużo mówi się o interdependencji gospodarczej narodów, a mniej o interdependencji moralnej, mimo iż jedną z głównych przyczyn wojen jest niewątpliwie konflikt niewspółmiernych moralności. Kraj, rządzony przez gangsterów politycznych i kryminalistów nie może współżyć pokojowo z krajem, gdzie tacy ludzie siedzą w więzieniach. Kraj, w którym życie człowieka ma najniższą cenę, nie może na dłuższą metę współpracować z krajem, gdzie posiada ono wartość najwyższą. Stanowisko takie klóci się z doktryną nieinterwencji, ale widzimy dzisiaj do czego ta doktryna doprowadziła.

* * *

Są to wszystko, zdawałoby się, truizmy, prawdy oczywiste, lecz często niezrozumiałe dla szerokiej publiczności, której umysły zaciemnia i serca zatruwa frazeologia demagogiczna. Niedawno ukazała się w nowym wydaniu książka p. Stuarta Chase'a p.t.

„The tyranny of words”. Winna ona znaleźć się we wszystkich bibliotekach szkolnych. Sami nie zdajemy sobie sprawy do jakiego stopnia jesteśmy niewolnikami słów, ile kryje się w nich pułapek, w które tak łatwo wciągnąć nieświadome tłumy. Frazesy, napełnione gazami, slogany, jak zatrute strzały, ogólniki paraliżujące myśl, dźwięczne wyrazy bez treści, podstępne metafory — ileż to chwytów ma demagogia słowa dla otumanienia przeciętnego obywatela. Człowiek łatwo ulega magii słów, wywołujących w nim stany emocjonalne na użytek tych, którzy umieją zręcznie posługiwać się tą magią. Niedoskonałość języka nigdy nie była tak nadużywana dla masowej sugestii, jak w wieku linotypów, maszyn rotacyjnych, radia i kina. „Bad language has the possibility of disintegrating societies”.

Gdy dwaj ludzie używają tych samych słów, wkładając w nie różny sens, nie może być między nimi zgody. A dzieje się to przecież niemal stale w dyskusjach politycznych. W ten sposób język zamiast być narzędziem porozumienia, staje się narzędziem nieporozumienia, ogłupiania, podjudzania, siania nienawiści. Państwo rozacza swą kontrolę nad higieną środków spożywczych. Niemniej ważna jest higiena słowa, uczciwość w operowaniu pojęciami, działającymi na szerokie masy, które nie orientują się w konwencjonalnym znaczeniu wyrazów. Problem ten nie jest nowy. Od niepamiętnych czasów przejmował on głęboką troską światłe umysły. Św. Jakób pisze w liście powszechnym: „Tak i język mały jest członek wszakże bardzo się wynosi. Oto maluczki ogień jako wielki las zapala. Przezeń błogosławimy Boga i Ojca i przezeń przeklinamy ludzi, którzy na podobieństwo Boże stworzeni są”, III, 5,9. Filozof angielski Locke twierdził, że „zastanawiając się nad błędami i zamętem myślowym, jakie szerzy na świecie złe używanie słów, można wątpić, czy język, którym ludzie się w ten sposób posługują, bardziej przyczynił się do szerzenia, czy też do tłumienia wiedzy”. Ale tyrania słów nigdy nie wyrządzała tak straszliwych szkód, jak w naszych czasach. Jest ona nieocenioną podporą wszelkich nacjonalizmów i totalizmów. Obalenie tej tyranii to jedno z pierwszych zadań nowego wychowania, torującego drogę do prawdziwej współpracy narodów po tej wojnie. Przed kilku laty wyszła seria pamfletów angielskich p.t. „If I were dictator”. Jeden z autorów, ekscentryczny pisarz i poeta, lord Dunsany pisze, że, gdyby był dyktatorem wprowadziłby przede wszystkim „krematorium dla frazesów”, narkotyzujących i ogłupiających społeczeństwo.

Gdy słowa te kreślę, w Rosji szaleje wielka bitwa i rozpoczęła się inwazja Sycylii przez sprzymierzonych. Niemcy rzucili na względnie mały odcinek Białogród — Kursk — Orzeł trzy czwarte swych sił pancernych i znaczną część Luftwaffe. Jasne jest, że w tej spóźnionej, lipcowej ofensywie chodzi im nie tylko o zdobycze lokalne, o korzystne wyrównanie frontu, lecz o rozstrzygnięcia na większą skalę. Czy wciąż jeszcze wierzą w możliwość rozbicia Rosji, lub przynajmniej takiego jej osłabienia, by mogli zwolnić gros swych armij dla innych frontów, czy też stawiają sobie cele skromniejsze: utrzymanie ich obecnej linii na wschodzie Europy aż do końca wojny, jako fantu „anty bolszewickiego” w rokowaniach pokojowych? — na pytanie to może odpowiedzieć tylko Hitler i jego sztab. Jedno wydaje się pewne. Jeśli Niemcom nie udało się przed dwoma laty, ani w zeszłym roku w znacznie pomyślniejszych dla nich okolicznościach złamać oporu armij

sowieckich, tym bardziej nie uda im się to obecnie po olbrzymich stratach, jakie ponieśli i ponoszą, po nieprzerwanej serii klęsk od października zeszłego roku na wszystkich frontach lądowych, morskich i powietrznych. Niewątpliwie, jednym z motywów, który skłonił Niemcy do podjęcia tak kosztownej operacji jest gwałtowna potrzeba częściowego choćby sukcesu dla podtrzymania morale w ich armii, kraju i wśród satelitów. Lecz tego rodzaju kalkulacje obliczone są na krótką metę. Mogą one co najwyżej odroczyć grożące niebezpieczeństwa, ale nie mogą ich usunąć.

Istnieje pewne podobieństwo między sytuacją obecną, a sytuacją w r. 1918 z tą różnicą, że front wschodni odgrywa poniekąd rolę ówczesnego frontu zachodniego, gdzie Niemcy szukali rozstrzygnięcia w swej ostatniej generalnej ofensywie i byli stokroć bliżsi celu, niż dzisiaj. Wtedy również załamywanie się państw centralnych nastąpiło na południu, mimo, iż alianci popełnili wielki błąd, poświęcając miliony ludzi na uderzenie w pancerz Achillesa, zamiast uderzać w jego piętę, w najłabsze miejsce nieprzyjaciela, wówczas Bałkany, nie ograniczając się do stosunkowo niewielkich i niedostatecznie przygotowanych wypraw.

Nauczeni doświadczeniem alianci starają się dzisiaj nie powtórzyć tego błędu wbrew naciskom politycznym, by jaknajprędzej, za wszelką cenę utworzyli „drugi front” na zachodzie. Oczywiście, warunki zmieniły się w porównaniu z r. 1918 na korzyść takiej koncepcji bo trzy czwarte sił nieprzyjaciela zaangażowanych jest na wschodzie, ale z drugiej strony jasne jest, że tego rodzaju operacja, bardzo jeszcze ryzykowna, pociągnęłaby za sobą olbrzymie ofiary nie tylko atakujących, lecz i ludności cywilnej okupowanych krajów. Jasne jest również, że bardzo skuteczny „drugi front” można stworzyć gdzie indziej i że dzisiaj, jak wówczas, tej „pięty Achillesa” szukać należy przede wszystkim w basenie morza Śródziemnego. Inwazja Sycylii rokuje jak najlepsze nadzieje. Wyspa ta, oddzielona od lądu Italii bardzo wąską cieśniną, w najwęższym miejscu o zaledwie kilku kilometrach, stanowi idealną bazę dla dalszych operacji inwazyjnych. Przed kilku tygodniami znany antyfaszystowski polityk włoski, b. premier, hr. Sforza pisał, że, jeśli alianci wylądują we Włoszech, będą oni powitani, jako bracia i oswobodziciele przez naród, armię i front podziemny, że armia będzie walczyć po ich stronie przeciw Niemcom, że naród włoski powita przystąpienie Italii do zjednoczonych narodów, że faszyci będą zapewniać, iż działali pod przymusem i w skrytości ducha byli zawsze demokratami, że Mussolini ucieknie, jeśli go nie zabiją lub jeśli nie popełni samobójstwa. Zobaczymy do jakiego stopnia te ultraoptymistyczne przepowiednie hr. Sforza sprawdzą się, ale wiele zdaje się, przemawiać za tym, że Włochy faszystowskie stanęły nad brzegiem katastrofy i że Niemcy nie będą tracić dużo sił na ich obronę, czyniąc z Brenneru główny, południowy bastion swej „Festung Europa” bo perspektywy bałkańskie przedstawiają się dla nich niemniej ponuro.

* * *

Na cóż więc Niemcy liczą? Skąd oczekują zbawienia? Rozwój wypadków na frontach wojennych wróży im ostateczną klęskę. Najpotężniej ufortyfikowana warownia Hitlera nie wytrzyma długoletniego oblężenia. Dzisiaj atakują ją tysiące bombowców, za kilka lat dziesiątki, setki tysięcy samolotów zasypywać

ją będą gradem śmiercionośnych pocisków. Niemcy dobrze wiedzą, że, jeśli chodzi o potencjał wojenny, czas pracuje przeciw nim. Myślą jednak, że czas jest po ich stronie, jeśli chodzi o potencjały polityczne, że przedłużanie wojny musi doprowadzić do konfliktów wśród aliantów, przede wszystkim między zachodnimi demokracjami a Rosją, że demokracje te prędzej od nich zmęczą się psychicznie długą wojną, że wzmożą się w nich fermenty wewnętrzne, rozbieżności ideologiczne, przeciwieństwa klasowe, wszelkie czynniki, osłabiające wysiłek wojenny. Wierzą oni w swoją czarną magię słów i sloganów, apelujących do najniższych instynktów ludzkich, na których oparta jest cała filozofia „Mein Kampf'u”. Terror, Gestapo, plutony egzekucyjne, szubienice i wielkie kamery masowych straceń — to nie wszystko. Posługują się oni również armią niewidzialnych morderców, którzy od dawna przygotowali grunt dla hitleryzmu i pokrewnych mu doktryn, zatruwając atmosferę bakcyliami nienawiści narodowych, nieufności i strachu. Ta armia szatańska, jest stara, jak świat. Jej właśnie zadaniem jest pomieszanie języków ludzi, błąkających się w poszukiwaniu słów Pańskich. Niemcy z właściwym sobie talentem organizacyjnym zmobilizowali ją dla swoich celów i wyposażyli w najlepsze środki techniczne.

Już przed dziesięciu laty ostrzegał przed tymi „niewidzialnymi mordercami” Sir Norman Angell, laureat nagrody pokojowej Nobla, jeden z najoryginalniejszych pisarzy politycznych Anglii. Nie należy on do pacyfistów sentymentalnych. Jego argumenty idą po innej zgoła linii. Sir Norman Angell wierzy w ostateczny tryumf zdrowego rozsądku, w pogńębienie przesądów i masowej głupoty, w to, że nadejdą czasy, kiedy znany aforyzm kanclerza szwedzkiego Oxenstierna: „Parva sapientia regnit mundum” straci nareszcie swą aktualność. W książce p.t. „Unseen Assassins” Sir Norman Angell przeprowadza analizę przyczyn kryzysów wojennych, kładąc nacisk na czynniki natury psychicznej, często nieuchwytnie na owe *i m p o n d e r a b i l i a*, które pchają do katastrof. Fizyczne rozbrojenie bez rozbrojenia tej armii „niewidzialnych morderców” nigdy nie osiągnie swego celu. Spośród bakcyliów, szczególnie zaraźliwych, którymi posługują się Niemcy, jednym z najniebezpieczniejszych jest bakcyl antysemityzmu. Bez niego Hitler nie zrobiłby swej fantastycznej kariery. Antysemityzm jest dzisiaj najwierniejszym jego sprzymierzeńcem. Demokracje zachodnie niedoceniały i wciąż jeszcze nie doceniają całej grozy tej choroby. Niedawno ukazała się niezmiernie ciekawa praca na ten temat autora amerykańskiego, Maurice'a Samuela p.t. „The Great Hatred” (Wielka Nienawiść). Dzisiaj wszyscy już zdają sobie sprawę z tego, że antysemityzm jest czymś więcej, niż jednym z wielu antagonizmów narodowych, zakłócających stosunki ludzkie. Tkwi w nim trucizna o mocy wyjątkowo destrukcyjnej. Skierowany on jest w samym założeniu swym nie tylko przeciw Żydom, lecz przeciw Chrystusowi i cywilizacji chrześcijańskiej, przeciwstawiając jej filozofię siły brutalnej, gwałtu, zbrodni, która idzie z początku po linii najmniejszego oporu, szukając ofiar wśród Żydów, ale nigdy nie kończy się na nich, stając się pożywką najbardziej zoologicznych nacjonalizmów i niezawodnym środkiem demoralizacji społeczeństw. Książkę tę, docierającą do głębi tego problemu, omówię obszerniej w następnym moim artykule. Przekleństwo uogólnień, uproszczeń, „sanno-językowego” stadnego myślenia, jak nazywał to prof. Jan Baudouin de Courtenay, było zawsze źródłem i fundamentem naj-

gorszych despotyzmów. Z niego zrodziła barbarzyńska teoria z biorowej odpowiedzialności miliony niewinnych ludzi, w imię której przelano na przestrzeni wieków oceanę krwi.

* * *

Czy tryumf prawdziwej demokracji, o jaką walczyliśmy, rozwiąże te problemy? Znowu stajemy przed słowem, w które różni ludzie różną treść wkładają. Gubimy się w definicjach. Powtarzamy hasła rewolucji francuskiej, konstytucji amerykańskiej, krótkie a tak pełne znaczenia słowa Lincolna, powołujemy się na Kartę Atlantycką. Mieszamy pojęcia wolności i niepodległości, wolności człowieka i narodu. Jest mnóstwo mądrych i trafnych sformułowań na ten temat. Henry Wallace, wiceprezydent St. Zjednoczonych domagał się stworzenia „trustu serc” obok „trustu mózgów”. Ludzie uświadamiają sobie coraz bardziej, że bez podniesienia poziomu moralnego żadna demokracja nie spełni swych zadań, że nie ma w niej miejsca dla krzywd społecznych i wyzysku pracy, że Ewangelia nie jest bynajmniej, jak mówi Wallace „ekonomicznym nonsensem”.

Gdy mowa o demokracji warto przypomnieć tu, co myślał o niej mało znany szerokiej publiczności patriota polski, później generał komuny paryskiej, Walery Wróblewski.

Oto, co pisał w r. 1869: „Jestem demokratą w logicznym znaczeniu tego słowa. W inną Polskę, niż ta, którą lud pracowitymi rękoma podźwignie nie wierzę, innej Polski nad tę, jaka, przy całości swych praw historycznych, całością praw obywatelskich obdarzy wszystkich swych synów, nie pragnę, innej Polski, jak ta, gdzie panowanie człowieka nad człowiekiem ustąpi panowaniu wolności, rozumu i prawa, gdzie ciemnota zniknie w promieniach powszechnej oświaty, a nędża w sumiennym rozkładzie społecznych korzyści — dla innej Polski ani żyć ani umierać nie mogę. Wszystko dla ludu, przez lud. W tym hasle znajduję nie tylko polityczny ideał Ojczyzny, lecz i środki jego urzeczywistnienia.

Wszystko dla ludu, to znaczy: nie dla przywileju, nie dla tytułu, nie dla monopolu; to znaczy wolność osobista i zbiorowa, składająca się z możliwości do rozwijania wszystkich władz swoich w dziedzinie umysłowej, społecznej i politycznej, to znaczy równość, oparta na zrównoważeniu warunków osobistego istnienia i braterstwa, wysnuta z powiązania stosunków obywatelskich niciami wzajemnej opieki i wzajemnego poświęcenia.

Wszystko przez lud, to znaczy: powstanie o własnych siłach przeciw wszelkiemu, obcemu i swemu ciemństwu, przeciw cudzoziemskiej i domowej niewoli, to znaczy ni mniej, ni więcej, rewolucja mas ku źródłom materialnej i moralnej pomyślności zwrócona, a falująca poprzez wszystkie tamy kombinacji dyplomatycznych, rządowych, szlacheckich, jezuickich i innych jakichkolwiek w poprzek jej rozwojowi stojących.”

„Demokracja z pojęć, z zasad, z ducha. Rewolucyjnym radykalistą jestem z krwi i kości, z przeszłości, z poprzednich przedpowstańczych robót. W kraju, upadającym pod ciężarem ohydnej jarzmy obcej przemocy nie rozumiem pracy, organiczną zwanej, to jest legalnej, to jest kompromisowej, to jest targowickiej. Dla zbawienia Polski jedną tylko widzę ścieżkę — ostrą, męczeńską, od dołu do góry pokrwawioną, ścieżkę apostołstwa słowem, piśmem i czynem wśród pospolitego ludu za pośrednictwem sprzyśżonej młodzieży.”

Kościszko był bliskim przyjacielem i towarzyszem Jeffersona, który sformułował najpiękniejsze zasady konstytucji amerykańskiej, demokratą w jego stylu. *Credo* Walerego Wróblewskiego jest pod wyraźnym wpływem Lincolna — to samo zasadnicze ujęcie podstaw demokracji. Pomijając pewne szczegóły, które straciły swą aktualność, czyż te słowa patrioty polskiego i generała komuny paryskiej nie są jak gdyby skierowane do dzisiejszego frontu walki podziemnej w Polsce?

Było wielu ludzi szlachetnych, śmiałych bojowników o wolność. Dlaczego najlepsze tradycje, które przekazywali, tak często bywają wyjałowione, sfałszowane lub zdradzone? Dlaczego natomiast gorsze tradycje trzymają się i trzeba rozpocząć walkę z nimi od nowa? Nie łatwo znaleźć wytłumaczenie tego zjawiska. Nie pamiętam kto porównywał trwanie zła w stosunkach ludzkich z istnieniem lodowców. Nie było jeszcze na świecie tyle ciepła, by się roztopiły. To samo jest z wielu sprawami, nad którymi biedzi się mózg ludzki. Nie było jeszcze u tych, co rządzą losami narodów tyle serca, prostej ludzkiej dobroci, która jest jedynym kluczem do ich rozwiązania. Nie było też wiary, iż jest to możliwe. Lotnicy, o których wspomniałem na wstępie artykułu wierzyli, że wzbiera fala lepszych uczuć, że widać już przypływ „goodness” i modlili się o to, by zalała ona cały świat. Byłoby to największym, epokowym zwycięstwem tej wojny.

Wojny tej nie wygrają tzw. wielcy ludzie, wielcy wodzowie, ani wielkie słowa. Kult dla nich jest zaprzeczeniem demokracji. Nie ma bodaj kraju, gdzie lepiej to rozumieją, niż w Anglii. Jest tu szczery sentyment dla Churchilla, ale nie robi się z niego jakiegoś bóżyszczka. Próba taka wzbudziłaby tylko wesołość, a potem niesmak. Przytoczę tu bardzo charakterystyczne uwagi generała Wavella w zakończeniu jego odczytów o „idealnym wodzu”: „Pobożny Grek, stawiając ołtarze wszystkim znanym mu bogom, dodawał jeszcze jeden ołtarz dla „nieznanego boga”. To też, gdy mówimy i rozmyślamy o wodzach, gdy stawiamy ołtarze Hannibalowi, Napoleonowi, Marlborough i innym, postawmy również ołtarz dla nieznanego wodza, dla dowódcy kompanii, plutonu, sekcji, który prowadzi swych żołnierzy naprzód lub broni swego posterunku i często pada, nikomu nieznanym. To oni właśnie najwięcej przyczyniają się do wygrwania wojen. Anglicy byli zawsze wolnym narodem i są nim jeszcze — w porównaniu z innymi. Aczkolwiek nie jesteśmy, dzięki Bogu, narodem militarnym, ta tradycja wolności daje naszym dowódcom bezcenny dar inicjatywy. Dopóki nie jest ona skępowana nadmierną ilością przepisów i przesadnym formalizmem, mam nadzieję, że będziemy dalej wygrywać bitwy — niekiedy może nawet pomimo naszego naczejnego dowództwa.” Trudno o lepsze sformułowanie demokracji.

DOROTA FALSKA

FRANCJA MILCZĄCA

Minęły trzy lata od klęski Francji, od chwili gdy pétainowskie zawieszenie broni pozornie wykreśliło Francję z mapy duchowej Europy. W ciągu tych trzech strasznych lat stała

się rzecz, która wydawałaby nam się przed wojną niepodobieństwem. Żyliśmy bez literatury francuskiej, bez promiennego wpływu słowa i myśli francuskiej. Zadawaliśmy so-

bie w ciągu tych lat nieraz pytanie, czy faszyzm przyjął się we Francji? Czy w cieniu czołgów niemieckich rozpleścił się jego chwasty, wyjaławiając głębię twórczości duchowej tego kraju? Dziś już wiemy, że posiew faszyzmu padł we Francji na ziemię twardą i suchą i że myśl francuska nie dała się pokonać. Tropiona, schodziła coraz niżej w mroki podziemia, nie po to by uciec od rzeczywistości, lecz po to, aby przetrwać.

Nieliczna tylko garstka pisarzy francuskich znalazła w sobie smutną odwagę przejścia do obozu Rewolucji Narodowej. Na czele ich znalazł się radykał niegdyś i lewicowiec Drieu la Rochelle. Grupa ta, ciesząca się poparciem władz, posiadająca monopol prasy legalnej, nie potrafiła jednak zatruć żywego strumienia myśli francuskiej. Stwierdził to nie bez pewnej melancholii sam Drieu la Rochelle, gdy pisał: „Prawie cała inteligencja francuska, prawie cała liryka francuska jest przeciwko nam.” To stwierdzenie pisarza kolaboracionisty stanowi dla nas, którzy nie mogliśmy się pogodzić z pozorną pustką duchową Francji, prawdziwą ulgę. Przywraca ono honor słowu francuskiemu i jego twórcom.

Po wojnie dowiemy się dopiero czym był dla literatury francuskiej ponury okres zawieszenia broni, jakie myśli i jakie motywy rodziły się w mroku ujarzmionej Francji. Dziś wiemy już tyle, że piśmiennictwo francuskie na ogół w tym zawieszeniu broni nie uczestniczy, i że broni swojej nie składało nawet wówczas, gdy nie mogło z niej czynić użytku.

Dochodzą nas czasem z Francji drobne strzępy piśmiennictwa francuskiego. Bywają to zaledwie słowa lub urywane echa, lecz w echach tych odnajdujemy stary wspaniały dźwięk, do którego przyzwyczai-

ła nas Francja. Niedawno ukazał się w Anglii tomik wierszy Aragona p.t. „Le Crève-Coeur” — jedyny tomik poezji francuskiej, który dotarł za granicę od roku 1940. Obecnie zaś pojawiło się po raz pierwszy za granicą opowiadanie francuskie z cyklu pod wymownym tytułem „Les Cahiers du Silence”. Tytuł tego opowiadania brzmi „Le Silence de la mer”, autor zaś ukrywa się pod pseudonimem Vercors. Okładkę wydawcy zapatrzyli uwagą: „napisane we Francji — 1943 — opublikowane w Londynie”. W przedmowie do tego opowiadania, podpisany tylko inicjałami autor, w ten sposób charakteryzuje nastroje pisarzy we Francji:

“Są więc przede wszystkim ci, którzy postanowili nie opublikować ani jednego słowa, póki trwa okupacja i którzy podobnie jak starzec z *Silence de la mer*... pozostają nimi w obecności nieprzyjaciela. Nie przyjęli oni żadnego kompromisu, żadnej okoliczności łagodzącej. Niejedni, którzy za cały majątek mieli swoje dzieła, znajdują się w skrajnej nędzy. Innych wiek pozbawi tej radości, jaką byłoby dla nich ogłoszenie swych ostatnich dzieł.

Wszyscy piszą nadal w cieniu, dla siebie samych i dla przyszłości. Żyją oni nadal zgodnie ze swą prawdą i niewątpliwie wielkie świadectwa prawdy, złożone przez tych pisarzy milczenia, oczekują światła dziennego.

Są dalej ci pisarze, którzy w ciągu trzech lat potrafili pod nosem nieprzyjaciela protestować przeciw uciskowi, utracie swobód, masakrze niewinnych, podłości i zdradom; którzy zaostrzyli swoją myśl tak, by każde zdanie było obosieczne, którzy wezwanie do broni ukryli w elegii...”

Istnieją poza tym i ci najodważniejsi, którzy swoje nowele i utwory drukują w nielegalnym wydawnictwie „Les Editions de Minuit”. „Le Silence de la Mer” ukazało się we Francji kilka miesięcy temu w tym właśnie wydawnictwie. Mały ten tomik jest dokumentem zupełnie niezwykłym. Nie ma w nim ani ochryplej nienawiści, ani nuty rozegzaltowanego nacjonalizmu, ani też żadnej mesjanistycznej mglistości. O Trzeciej Rzeszy i o ujarzmieniu swego kraju autor francuski mówi w słowach pełnych dojrzałej mądrości, stylem klarownym, wychodowanym na klasykach francuskiej literatury. Jest to jak gdyby świetlana plama myśli i najsubtelniejszego uczucia w ponurym obrazie wojny, wśród barbarzyństwa, które z tamtej, wrogiej strony frontu rzuca i na nas swe cienie.

* * *

„Le Silence de la Mer” to obrazek z życia niemieckiego muzyka kompozytora, który jako oficer armii okupacyjnej znalazł kwatery w starym dworcu francuskiego pisarza i jego siostrzenicy. Na próżno szuka bliskości i zrozumienia tych dwojga. Milczenie jest jedyną odpowiedzią na każdy gest jego i na każde słowo. Cisza w opowiadaniu Vercorsa jest integralną częścią jego utworu, jest głównym niemal bohaterem, grającym rolę tytułową. Cała Francja od trzech lat żyje pod znakiem ciszy i milczenia:

„Milczenie w tłumie, milczenie domów, milczenie, bo w południe Niemcy defilują na Polach Elizejskich; milczenie bo w sąsiednim pokoju mieszka oficer niemiecki... milczenie, bo dziecko nie śmie już mówić, że głodne, milczenie, bo trupy zakładników ginących co wieczór, z każdego poranka czynią nowy dzień żałoby narodowej.”

Pełna kultury atmosfera francuskiego saloniku działa kojąco na muzyka-oficera niemieckiego Wernera von Ebrennac. Znajduje tu wszystko, czego brak mu było w jego ojczyźnie. Co wieczór, schylony przy płonąącym kominku, mówi o swych marzeniach i nadziejach, o swej miłości do sztuki i muzyki, do Francji i wszystkiego co francuskie. Na wszystkie te zwierzenia odpowiedzią jest milczenie grzeczne i cierpliwe, nigdy nie pogardliwe lub nacechowane wrogością osobistą. Lecz niezmiennie pełne głębokiego żalu i wyrzutu. Co wieczór nie spodziewając się odpowiedzi, muzyk niemiecki żegna swych gospodarzy słowami: „je vous souhaite une bonne nuit” i zamyka drzwi, pozostawiając za sobą milczenie „jak gaz ciężkie i dławiące”.

Podbój Francji był dla Wernera von Ebrennac przedsięwzięciem bolesnym. Widział w nim jednak wielki sens historyczny. Jeszcze ojciec jego, który wierzył w Republikę Weimarską i Brianda pragnął zjednoczenia Niemiec i Francji. Miało to być wielkie małżeństwo narodów, które stałoby się błogosławieństwem dla całej Europy. Tymi kategoriami myśli też zupełnie szczerze młody Werner von Ebrennac: „Komponuję, i to jest moje życie. Śmiesz mnie moja postawa wojskowa. A jednak nie żałuję tej wojny. Nie. Wierzę, że z tego zrodzą się wielkie rzeczy...” —mówi głosem śpiewnym i niemal rozmodlonym. Wodzi oczyma po starych meblach, obrazach i bibelotach artystycznych, napawa się atmosferą tego pokoju, który — jak mówi — „ma duszę”. „Cały ten dom ma duszę” — powtarza, wodząc delikatnymi palcami muzyka po grzbietach książek. Chciałby, aby naród, który wydał Moliera, Racine’a, Voltaire’a, Rabe-

lais, poślubił ojczyznę Wagnera, Beethovena, Bacha. Werner von Ebrennac pamięta z dzieciństwa swego bajkę „La Belle et la Bête”. Francja jest dla niego tą dumną księżniczką, w której beznadziejnie kocha się potwór - Niemcy. Wierzy, że piękna księżniczka dojrzy w oczach bestii iskierkę uczucia i odpowie miłością. A wówczas okrutna klęska straci moc. Opadnie kształt straszego potwora i przed księżniczką ukaże się szlachetny, piękny książę.

Związek ten przyniesie najwyższe szczęście, a dzieci które się z niego zrodzą, pomnożą wartości duchowe rodziców. Świat stanie się naprawdę wspaniałą. Trzeba tylko przewyciężyć milczenie Francji, trzeba sprawić, aby odczuła miłość tych, którzy jej łakną — powtarza z rozmarzeniem w głosie von Ebrennac. Lecz uparte milczenie gospodarzy nie pozwala mu ani na chwilę zapomnieć, że na ziemi francuskiej jest obcym najeżdżcą i że piękno katedry w Chartres oglądał ze swego wozu pancernego. Wojna wydaje mu się tylko konieczną drogą do celu. Ma pogardę dla zdrajców Francji, ale: „potrzebny był ktoś, kto zgodziłby się na zaprzecanie ojczyzny, bo Francja nie może, bez poczucia utraty swej godności, paść dobrowolnie w nasze otwarte ramiona. Czasami najbardziej nikczemna pośredniczka przyczynia się do powstania najszcześniejszego związku. Pośredniczka nie jest przez to mniej godna pogardy, ani związek mniej szczęśliwy.”

To marzenie na głos kończy się niezmiennym „je vous souhaitez bonne nuit”, na które odpowiada mu znowu milczenie.

* * *

Jest rzeczą ogromnie znamienną, że bohaterem opowiadania, które powstało pod okupacją niemiecką jest właśnie

oficer Niemiec. Vercors daje niesłychanie subtelną analizę tego przedstawiciela elity intelektualnej Niemiec. Pokazuje jakimi drogami idą jego myśli, jakie ideały i motywy skłoniły artystę kompozytora do udziału w wojnie przeciwko tej Francji, której piękno potrafił odczuć. W całą gamę dźwięków niemieckiego marsza wojennego Ebrennac wplótł swoją własną melodię. Pragnie on zespolenia Francji z jego własną ojczyzną dla uszlachetnienia samych Niemiec. Zna on swych towarzyszy. Wie, że zdolni są do okrucieństw, ale wierzy, że Francja ich uleczy. „Oni wiedzą o tym — mówi. Wiedzą, że Francja uczyni z nich ludzi naprawdę wielkich i czystych”.

Z zadumy i marzeń w atmosferze dworku francuskiego wrywa von Ebrennac'a podróż do Paryża. Vercors z ogromnym talentem kreśli najbardziej dramatyczną scenę swego opowiadania — powrót Ebrennac'a do milczącego dworku. W Paryżu wszystkie marzenia młodego muzyka niemieckiego rozwiąły się doszczętnie. Zobaczył na nowo tych zwycięzców, którzy szli do Francji nie jak on do oblubienicy, lecz szli po to, aby ją zgniebić i zniszczyć. Aby pokonać ją i uczynić z niej „une chienne rampante”. Przemawiał do ich sumień — wykpił go. Okazał się sam jeden osamotniony wśród zgrai brutalnych oficerów. Marzenia jego były próżne — nie nauczyli się niczego w tej Francji, która miała z nich zrobić ludzi „wielkich i czystych”. Własny brat jego, poeta, najbliższy towarzysz marzeń z lat studenckich powiada mu: „Kupimy duszę Francji za miskę soczewicy”. Polityka to nie sen poety. „Nie przypuszczasz chyba że pozwolimy by Francja na nowo powstała. Mamy okazję zniszczyć Francję i zniszczymy ją”. Najbliżsi jego przemawiali do nie-

go, rozmiłowanego w Proust'cie, Bergsonie, językiem hitlerowskiej biblii „Mein Kampf”.

Vercors z niezwykłą wnikliwością opisuje rozczarowanie swego bohatera. W opisie tym nie tylko każde słowo, ale każdy gest i każdy znak milczenia są pełne treści. Jest w tym ostatnim monologu Ebrennac'a głębia bólu zawiedzionego marzyciela, któremu nagle w najbardziej brutalny sposób ukazano prawdę. Jest to rozpacz osamotnionego idealisty, którego ogłuszyła ponura rzeczywistość. Droga, po której kroczył z wiarą, prowadziła nie ku światłu, lecz „w dolinę ponurą, ku wilgotnym mrokom grząskiego lasu”.

Von Ebrennac nie potrafi znaleźć wyjścia. Jest oficerem niemieckim, przyzwyczajonym do lojalnego pełnienia obowiązków. Potrafi cierpieć, lecz nie umie się buntować przeciw wrogim siłom we własnym narodzie. Będzie dalej walczył w szeregach armii, do której należy, pójdzie na wschód „ku wielkim polom, na których w przeszłości zboże żywić się będzie trupami”.

Vercors nie upraszcza psychologicznego obrazu swego bohatera. Stara się zrozumieć możliwie najbardziej idealistyczne motywy podboju niemieckiego. Ukazuje przy tym konflikt wewnętrzny intelektualisty niemieckiego, nie rozstającego się ze swym idealizmem nawet w swoim wozie pancernym. Lecz na tym tle tym jaskrawiej ukazuje się brak przemyślanego

światopoglądu u tej właśnie warstwy, brak kośćca psychicznego i treści. Zdolności do kontemplacji nie towarzyszy żadna wola działania. Nad oficerem ciąży klątwa przynależności do narodu, który mu dziś jest duchowo obcy. Ale mimo całej tej obcości von Ebrennac nie zdobędzie się na to, by zerwać więzy łączące go z Niemcami.

* * *

Opowiadanie Vercors'a mogłoby być tematem interesującej dyskusji. Niektórym czytelnikom może się ono wydawać za mało bojowym i nadmiernie racjonalistycznym. Sąd taki byłby jednak fałszywy. Nowela pisarza francuskiego jest w gruncie rzeczy ciężkim oskarżeniem pod adresem intelektualistów niemieckich. Lecz nie jest to oskarżenie oparte na uproszczonym podziale na czarne i białe charaktery narodowe, lub też na barbarzyńskich koncepcjach odpowiedzialności zbiorowej. W oskarżeniu różne stopnie odpowiedzialności i winy ustalone są z precyzją i jasnością doprawdy francuską. Vercors bynajmniej nie stawia idealisty niemieckiego na jednej płaszczyźnie z bohaterami SS lub SA, lecz oskarżenie jego zwraca się z całą siłą przeciwko brakowi charakteru i brakowi woli inteligencji niemieckiej, to jest przeciwko tym jej cechom, które doprowadziły spadkobierców wielkiej filozofii i sztuki niemieckiej do kapitulacji przed hitlerowską filozofią dżungli.

ADAM CIOLKOSZ

SŁUPY PRZYDROŻNE

Część II WŁOCHY

NOC DWUDZIESTOLETNIA

Wszystko wskazuje na to, że kraj, w którym narodził się prawnór fašyzmu, będzie też pierwszy oglądał sromotny upadek fašystowskiego reżimu. Już przedtem wyrok sprawiedliwości dziejowej sprawił, że Abi-

synia, pierwszy kraj bezkarnie podbity przez agresję faszystowską (1935-36) został pierwszy wyzwolony w przebiegu obecnej wojny. A wszakże wojna włosko-abisyńska rozgrywała się bynajmniej nie na marginesie historii: bezkarny napad Włoch na niemal bezbronną Abisynię stał się modelem dla szeregu późniejszych agresji niemieckich i zapoczątkował na dobre ponurą erę „appeasement'u” (ugodowości wobec agresorów) a tym samym przygotował grunt dla wojny światowej. Także jeśli chodzi o samą technikę łamania i niszczenia demokracji, Mussolini stworzył wzór, z którego — jak się do tego sam przyznaje w „Mein Kampf” — obficie czerpał Hitler. Nadzieja naiwnych, że można rządy terroru zizolować do jednego tylko kraju (Włoch), okazała się złudna: zarówno wolność jak i niewola nie znają granic; pogwałcenie demokracji w jednym kraju staje się groźbą dla całej ludzkości. Tym większa — w perspektywie historii — jest zbrodnia faszyzmu od samych jego początków.

Uczeń prześcignął mistrza i Hitler, na podatnym niemieckim podłożu psychologicznym, zatrutym nacjonalizmem i znieprawionym żądzą panowania nad światem — rozwinął do doskonałości system, którego pierwszy przykład dał Mussolini. Nie posiadamy dokumentów, stwierdzających niezbitą świadomą walkę mas ludowych niemieckich przeciw Trzeciej Rzeszy; posiadamy dokumenty autentyczne, stwierdzające iż walka przeciw faszyzmowi we Włoszech toczy się w sferze myśli i czynu.

Poniższa odezwa, przedrukowana w bostońskich „*Quadrerni Italiani*” a potem w nowojorskim „*Free World*” z marca 1942, nie wnosi wprawdzie żadnych momentów politycznych. Natomiast oddaje ona nastrój, w jakim toczyła się walka o wolność w ciągu 20 lat faszystowskiej nocy nad Włochami.

Włosi, bojownicy wolności włoskiej! Winnicie wiedzieć, co przynieść wam może udział w walce. Winnicie wiedzieć, co stanie się z wami, jeżeli zostaniecie ujęci. Uzbroście serce w odwagę i poznajcie prawdę, abyście mogli prowadzić walkę tym skuteczniej i obalić tyranję faszystowską.

Jeśli Cię ujmą, będziesz poddany torturom. Tortury są różne, zależnie nie tylko od prowincji, ale także od sędziego; szczególnie między sędziami wielu spodziewa się awansu w nagrodę za obmyślenie nowych i oryginalnych środków męki. Dwa są główne rodzaje tortur: pierwszy, stosowany jest do jednostek słabych fizycznie, lecz mocnych na duchu; drugi, stosowany do jednostek mocnych fizycznie, zgoła niezależnie od ich duchowej siły oporu. W obu wypadkach winienesz nauczyć się rozróżniać pomiędzy wstępem do tortury, od tortury samej. Sędzia będzie zawsze usiłował przysposobić Cię do tortur, zarówno cielesnych jak umysłowych. Lecz pamiętaj o jednym: Tortura jest zawsze sprawą siły duchowej, albowiem gdy raz tylko załamie się siła ducha — zaczynasz mówić.

W wypadku powszechnie tak zwanej tortury psychologicznej, rzecz polega na fizycznym osłabieniu Cię przez niedozwalanie na jedzenie lub na spanie. Policja zawsze czuwać będzie, abyś nie załamał się całkowicie oraz byś nie popełnił samobójstwa. Chodzi o to, by wyczerpać Cię fizycznie, lecz byś mimo to nie stracił przytomności umysłu. Może się zdarzyć, że policja posłuży się kapłanem i podtrzymą twego ducha wiadomością, że masz być wkrótce uwolniony. Kapłan może też gawędzić i czytać literaturę religijną, aby Cię podniecić. Jeśli nie powiedzisz się kapłanowi, mozesz otrzymać książki z dzieł wspaniałej poezji lub filozofii, tak, abyś umysłowo był wciąż przywiązany do życia, aczkolwiek coraz to bardziej słabnie fizycznie.

W niektórych wypadkach otrzymasz nawet książki z dziedziny socjalizmu i komunizmu. Gdy w ten sposób zostaniesz dostatecznie przygotowany, rozpocznie się pierwszy stopień tortur; bezustanne przerywanie — dnem i nocą — Twojej pracy i Twego snu. Do celi Twojej wejdzie ktoś, kto będzie powtarzał przez pół godziny: „Powiedz mi nazwiska Twoich współników — albo — daj mi spis wszystkich członków, i t.d.”. Bardzo często zapytanie to powtarzają całymi godzinami osoby, zmieniające się co pewien czas. Obudzi Cię oślepiające światło i nie będziesz widział człowieka, który Ci stawia pytanie. Tortura ta często kończy się wyznaniem, jeszcze częścię obłędem. Lecz musisz o tym wiedzieć, abyś ani nie zeznał niczego, ani nie oszaleć. Gdybyś oszalał, będziesz użyty do torturowania Twoich towarzyszy, silniejszych od Ciebie na ciele i na duchu.

W wypadku tortury cielesnej, metoda jest zgoła odmienna. Jeżeli jesteś słaby ciałem, ujrzyś, jak policja będzie próbowała ugnać Twą siłę ducha karmiąc Cię dobrze, dając Ci dobre łoże i zezwalając na częste spacerowanie na świeżym powietrzu. Jednocześnie będą łamać Cię na duchu, zamykac Cię w celi z towarzyszami, którzy popadli w obłęd, przekazując Ci złe wiadomości od rodziny, a nawet doręczając Ci listy od Twoich rodzi-

ców, wymuszone na nich siłą i zawierające najokropniejsze wieści. Będziesz też świadkiem bicia Twych najlepszych przyjaciół, bicia na śmierć. Gdy sędzia lub policja uzna już, że dojrzałeś do tortury, spotkasz się z czterema jej głównymi formami:

Pierwsza forma: Osadzony będziesz w celi bez okien, bez światła, bez łoża. Ręce Twe przywiązane będą do pierścienia w ścianie tak, abyś mógł usiąść, ale abyś nie mógł położyć się na podłodze. Twój pokarm będzie się składał z czarnego chleba i wody. Nie będą Cię wypuszczać z celi, nawet za nieodzowną potrzebą. Bezustannie przez okienko w drzwiach patrzeć będzie na Ciebie policjant. Po kilku dniach zaprowadzą Cię z wrotem do Twej celi i będą Cię z powrotem traktowali bardzo dobrze, wykorzystując ten kontrast, aby wydobyć z Ciebie zeznania. Sędzia będzie zachowywał się serdecznie. Ofiaruje Ci papierosy. Być może, przyjdzie nawet razem z Twą matką lub z kimś spośród Twych najbliższych krewnych. Sędzia lub policjant stanie przed Tobą i przyrzeknie Ci wolność, jeśli złożysz zeznania; matka Twoja dołączy swe nalegania i być może osiągnie skutek tam, gdzie nie powiodło się sędziemu.

Jeśli ta tortura nie wystarczy, zamknięty będziesz w celi jasno oświetlonej dniem i nocą. Sufit w celi jest zbyt niski, byś mógł w niej stać. Łoże jest z glazu i pochyłe. Gdy zmorzy Cię sen, zesuniesz się zawsze na podłogę. Podłoga jest ceglana, z cegieł ułożonych pionowo i oddzielonych pewnym odstępem od siebie, tak że nie możesz ułożyć się na podłodze. Następnie będziesz przesłuchiwany, jak w wypadku pierwszym.

Faza trzecia łączy w sobie przesłuchanie i torturę fizyczną. Jesteś przesłuchiwany w ten sposób, że bezustannie powtarzają Ci jedno zdanie. Jednocześnie ciało Twe poddane będzie wszelkiego rodzaju udrękom fizycznym, z których najboleśniejsze jest przypiekanie paznokci przez wsuwanie płonących kawałków słomy między ciało i paznokcie. Policja lub sędzia powie Ci, że jest to metoda indyjska. Inne metody, to ściskanie palców kleszczami, albo ściskanie skoblem piersi lub innych części Twojego ciała.

Towarzysze, bojownicy wolności włoskiej, wiecie już że dla przypośobienia Was na tortury łamać będą równowagę, istniejącą między ciałem i duszą. Jeśli nie potrafisz się opanować, będziesz stracony od pierwszej chwili. Wykończy Cię najmniejszy ból. Raz złamany, musisz oczekiwać najboleśniejszych udręk. By się nie dać złamać, musisz ćwiczyć się w rozpoznaniu metod, używanych przez policję i przez sędziów, aby umieć zapobiegać wynikom, jakich tamci oczekują. Gdy widzisz że karnią Cię, by złamać siłę twego ducha, działaj odpowiednio. W pierwszym przypadku, tortura psychologiczna nie nastąpi, ponieważ przejściowo zaniemówisz. W drugim wypadku, tortura fizyczna nie powiedzie się, ponieważ w drodze starannego przygotowania możesz doprowadzić swe ciało do stanu niezczulenia, tak, by słaba Two strona fizyczna nie reagowała i nie cierpiała. Pomyśl o metodach, używanych przez bohaterów rewolucji albo przez religiantów hinduskich. Pomyśl zwłaszcza, że wszystkie nasze doświadczenia uczą, iż tortura dała zawsze wyjątkowe wyniki u tych, którym udało się potem powrócić do zdrowia. Znasz takich wśród naszych przewodców, którzy przed pójściem do więzienia byli niezdolni do działania, a teraz — stoją na naszym czele. Znasz innych, którzy byli słabi i niepewni, a teraz stali się najdzielniejszymi bojownikami w walce o wolność dla Włoch.

Włosi, towarzysze, jeśli pod torturą złożycie zeznania, będziecie niegodni być wśród nas. Tortura jest niczym wobec zadania, jakie mamy do spełnienia.

WASAL, CZY OFIARA IMPERIALIZMU NIEMIECKIEGO

10 czerwca 1940 r. Włochy porzuciły postawę państwa nonbelligerentkiego i weszły w wojnę po stronie Niemiec hitlerowskich. W ten sposób skonsumowany został niemiecko-włoski pakt wojskowy, zawarty w przeddzień wybuchu wojny obecnej (Berlin, 22 maja 1939 r.).

Nadzieje Mussoliniego na wojnę krótkotrwałą, a zyskowną, zostały jednak zawiedzione. Włochy, prowadzące wyprawy wojenne właściwie od jesieni 1935 r. (Abisynia, Hiszpania, Albania), znalazły się w długotrwałej wojnie totalnej, w przebiegu której z poziomu równorzędnej z Niemcami potęgi („pakt stalowy”) spadły do roli wasala, a wreszcie niemal że kraju okupowanego. Mussolini odgrywa już tylko rolę hitlerowskiego Gauleitera.

Odezwa poniższa (pomieszczona w „Europe speaks” z 5 października 1942) rozbrzmiewa tonami nowymi w agitacji antyfaszystowskiej. Piętnuje ona faszyzm za to, że wciągnął Włochy do wojny i że wydał je na łup imperializmowi niemieckiemu. Jest to odezwa socjalistów-patriotów (w najlepszym znaczeniu tego wyrazu). Apelują oni nie tylko do dumy narodowej włoskiej, ale i do włoskiej tradycji humanitarnej i liberalnej. Przeciwnie Niemcom i przeciw Mussoliniemu, ich służce — ton ten będzie się potęgował w miarę, jak klęska wojenna zaglądać będzie Włochom coraz bliżej do oczu.

Nic jaskrawiej nie demaskuje okrutnego, dekadencckiego i przeciw-włoskiego charakteru bandy zbrojów, którzy rządzą dziś naszym krajem, jak fakt, że całość interesów naszego kraju, a nawet wojskowe i polityczne konieczności wojny podporządkowują oni jednemu tylko celowi — utrzymaniu swej politycznej dyktatury. W chwili, gdy w stawce jest los Europy i ludu włoskiego, kiedy na stos rzucone zostały miliony żyć i kiedy każda myśląca istota ludzka staje twarzą w twarz z piekającymi problemami społecznymi — Mussolinim, Ciano, Farinaccim i ich współnikami o władniętą jedną tylko obawą: że mogą utracić swą osobistą władzę. Ryzykują życia coraz to większej liczby żołnierzy; pomiatają honorem i poręką; zużywają ostatnie rezerwy kraju wyłącznie tylko w celu zapewnienia kilku chwilowych sukcesów swemu haniebnemu reżimowi. Aby oszukać opinię publiczną co do natury tej wojny i udziału w niej Włoch, zniekształcili całkowicie rolę propagandy. Gdy w innych krajach wojujących propaganda jest instrumentem podporządkowanym celom wojny, to osobista i przeciwnarodowa dyktatura Mussoliniego robi z wojny instrument wyłącznie osobistej swej propagandy. Stało się to oczywiste w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy to obóz faszystowski opuściły grupy i osobistości, do tej pory popierające go bez zastrzeżeń, jak np. Tassinari, Rossoni i były sekretarz partii faszystowskiej Serena.

To zmusiło Mussoliniego do uproszenia swych niemieckich panów, by pozwolili mu na zorganizowanie w miastach włoskich irredentystycznych demonstracji antyfrancuskich w jednym tylko celu: skierowania niezadowolenia powszechnego na boczny tor. Musiał też prosić usilnie o niemiecką pomoc zbrojną dla odwrócenia niebezpieczeństwa, jakie dla jego armii w Afryce stanowiła ósma armia brytyjska. Lecz nawet pomoc okazana przez Niemców nie wystarczyła, by przeciwdziałać niezadowoleniu wśród żołnierzy, oficerów, klasy robotniczej i klasy średniej gospodarczo eksploatowanej przez Niemców — i wśród katolików. I istotnie, nie ma rozstrzygających zwycięstw, więc trzeba było przed oczyma wywołać miraż: okupacja Egiptu; Duce na koniu na tle piramid; kolonie włoskie w żyznej dolinie Nilu; wejście armii włoskich do Palestyny i Syrii; oswobodzenie grobu Chrystusowego od obecności plugawych protestantów i prawosławnych oraz oddanie go papieżowi.

Aliści ani rzeczywiste lecz częściowe sukcesy, ani antycypacja ostatecznych zwycięstw, nie potrafiły skutecznie przeciwdziałać postępującemu rozkładowi bloku agrariuszy, przemysłowców i klerykałów, którzy do tej pory popierali Mussoliniego.

Komunikaty wojskowe wywierają tylko powierzchowne wrażenie na opinię publiczną. Ci, co entuzjazmują się sukcesami wojskowymi i martwią się klęskami, nie reprezentują opinii publicznej, a pomoc świadczona przez nich jest wątpliwej wartości. Włoska Partia Socjalistyczna i grupy polityczne, które rozwinęły się w ciągu ostatnich lat i które popierały socjalistów w ich walce z reżimem, nie dadzą się oszukać sukcesami wojskowymi. Aby nie było nieporozumień:

Opozycja antyfaszystowska nie opiera swych nadziei na klęsce militarnej kraju. Opozycja nie zamierza budować reżimu demokratycznego i miłującego wolność na ruinach zdegradowanego narodu — pragnie ona ocalenia ludu włoskiego i Europy. Włoska Partia Socjalistyczna nie jest zwykłą kliką ambitnych polityków. Razem z innymi grupami antyfaszystowskimi, jest ona częścią ludu włoskiego, najlepiej zdającą sobie sprawę z poczucia narodowego i społecznego. Jest ona wyrazem ludu spowitego w więzy, lecz zdecydowanego żyć. Włoska Partia Socjalistyczna oświadcza wszystkim Włochom, że wojna ta, jakikolwiek byłby jej wynik, oznacza dla Włoch ruinę. Jest tylko jedna możliwość odwrócenia katastrofy: rewolucja armii i ludu, która usunie przeciwnarodowy reżim Mussoliniego, Ciano i Farinacciego i położy tej wojnie kres.

Gdy faszyści wplatali się w tę wojnę, myśleli, że będą mieli do czynienia z nieprzyjacielem już konającym. Podówczas to propagandyści faszystowscy chępli się swą wojną; zwali ją „wojną faszystowską“, nie zdając sobie sprawy, jak trafne było to określenie. Zaiste wojna ta jest wojną faszystowską. Jest to wojna partii faszystowskiej; wojna zgrai awanturników na usługach Niemiec. Najbardziej jej oburzającą cechą jest fakt, że aczkolwiek jest to wojna faszystowska, prowadzi ją nie sama tylko milicja faszystowska, lecz — pod przymusem — cały naród włoski; wojna ta nie dotyczy interesów samych tylko faszystów, dotyczy ona interesów całego ludu, który musi przez nią cierpieć. Powszechna jest dziś świadomość, że wojna ta ma całkowicie faszystowski charakter.

Jakikolwiek przebieg przyberze wojna, interesy Włoch podporządkowane będą interesom imperializmu niemieckiego. Wojska włoskie w Afryce są pod rozkazami niemieckiego generała. Wojska włoskie na froncie wschodnim zostały zdegradowane do statusu wojsk kolonialnych lub legii cudzoziemskiej i służą pod dowództwem niemieckim. Wojska włoskie idą po Finlandczykach, Rumunach i Węgrach.

Wielu robotników włoskich zmuszonych jest pracować w Niemczech w upokarzających warunkach. Traktowani są nie lepiej niż jeńcy wojenni lub niewolnicy.

Nic nie może zmienić faktu, że w wypadku zwycięstwa anty-demokratycznego sojuszu włoskiego nad Europą, Europa cała, włącznie z Włochami, stanie się łupem barbarzyńskiego imperializmu niemieckiego.

Przec z faszyzmem!

Przec z wojną!

Włoska Partia Socjalistyczna.

CYWILNE NIEPOŚLUSZEŃSTWO

Następna odezwa, ujawniona w Londynie dnia 1 grudnia 1942 r., jest dokumentem dojrzałym zarówno jeśli chodzi o zasady polityczne, jak i o wskazówki taktyczne. Jest ona dowodem, iż po raz pierwszy od 20 lat antyfaszyści przeszli od defensywnej taktyki wytrwania do taktyki ofensywnej, opartej na praktycznych wskazaniach, możliwych do realizacji w danym etapie.

Odezwa ta nie jest defetystyczna: jest ona optymistyczna i poprzez klęskę militarną faszystów wskazuje drogę do odrodzenia kraju w wolności. Lecz socjaliści włoscy nie chcą dzieła wyzwolenia pozostawić w pełni armiom alianckim. Wołają oni: „Włosi, wyzwolenie waszego kraju może być dziełem tylko was samych”. Żądają walki, żądają poświęceń, ale rozumieją, że walka rewolucyjna rozwija się stopniami. Pierwszym stopniem opozycji jawnej miało być nieposłuszeństwo cywilne. Odezwa wyjaśnia, co przez nie rozumieć i jak je przeprowadzać należy.

Manifest Włoskiej Partii Socjalistycznej.

Dość wojny! Dość faszystów!

Partia Socjalistyczna wzywa wszystkich wolnych i odważnych Włochów do natychmiastowej powszechnej i zdecydowanej kampanii nieposłuszeństwa cywilnego.

Włosi!

Kraj wasz stoi na progu doniosłych i rozstrzygających wydarzeń. Na widowni jest klęska wojskowa. Przyniesie ona to, na co miliony Włochów niecierpliwie czekają — koniec faszystowskiego reżimu hańby, korupcji i ucisku.

Dyktatura faszystowska chwieje się już na swym niepewnym fundamencie błota, zaprawionego krwią. Bilans 20 lat stanowi bankructwo reżimu i całkowita klęska — klęska w polityce zagranicznej, klęska w dziedzinie samowystarczalności gospodarczej, klęska systemu korporacyjnego, klęska programu wychowawczego, klęska w stabilizacji nowej klasy rządzącej.

Faszyzm przyrzekał nam imperium. Zredukował nas do poziomu kolonii niemieckiej.

Faszyzm zapowiadał pomyślność i niezależność gospodarczą. Sprowadził nas do kija zebraczego.

Faszyzm proklamował pokój społeczny i zbratanie wszystkich wytwórców w najwyższym interesie narodu. Oslaniając się kłamstwem, za zasłoną państwa korporacyjnego, rozdrapał on majątek publiczny i prywatny na rzecz ograniczonej liczby nowobogackich.

Faszyzm proklamował zasadę „wodzostwa” i selekcji najlepszych. Oddał władzę w ręce zgryźliwych, morderców i łokai bez skrupułów.

Faszyzm głosił powrót do zasad i tradycji cywilizacji włoskiej. Zawłócił lud włoski przed ołtarze barbarzyńskiego kultu swastyki.

Faszyzm narzucił krajowi bezlik poświęceń celem zmilitaryzowania ludu włoskiego.

Pysnił się swą siłą wojskową w tysiącu parad; urągał, jednemu po drugim, niemal wszystkim narodom świata; zapowiadał, że faszystowskie aeroplany zakryją niebo, że pod faszystowskimi tankami zadrży ziemski glob. Lecz w godzinie najwyższej próby, którą faszyzm sam wybrał i narzucił armii, żołnierze, z przyrodzenia dzielni i odważni, posłani zostali na pola bitwy źle wyposażeni, źle odziani, źle karmieni, prowadzeni przez oficerów nieuków.

Wszędzie się już czuje świadomość tej całkowitej klęski dyktatury Mussoliniego. Robotnicy, chłopci, studenci, sztucznie zagnani do przymusowych organizacji przytroczonech do rydwanu państwa, czują odór trupi. Zrywają oni z faszyzmem, spontanicznie uświadamiają sobie nowe więzy duchowego pokrewieństwa i przyjaźni, uświadamiają sobie na nowo swą godność istot ludzkich, swój honor obywatelski i swe przyrodzone prawa.

Z drugiej strony, wielu zaiste ludzi, którzy w latach ubiegłych popierali dyktaturę faszystowską i czerpali z niej zyski, jako to „hierarchowie” robotniczych związków zawodowych, przewodcy katolicy, zawodowi wojskowi, dawni członkowie partii nacjonalistycznej, różnego rodzaju piewcy reżimu, starają się obecnie co rychlej opuścić tonący okręt.

Bardzo jest już trudno znaleźć Włocha, który by w głębi serca wierzył jeszcze w zwycięstwo wojskowe i w trwałość reżimu. Każdy czuje w głębi serca, że kraj idzie ku rozpaczliwemu kryzysowi, z którego wyjdzie radykalnie zmieniony. W samotności swego serca każdy przyznaje już, że faszyzm zaprowadził lud włoski do katastrofy.

I nie bodaj tak brutalnie i tak patetycznie nie dowodzi upadających, korrumpujących i demoralizujących wyników 20 lat dyktatury faszystowskiej, jak jaskrawy kontrast między tym, co Włosi czują i mówią w głębi swych serc, a ich zewnętrznym zachowaniem się.

Rewolty są rzadkie i sporadyczne. Więzienia przepełnione są więźniami politycznymi, lecz przyczyną aresztowań jest głównie rozpowszechnianie ulotek, albo przynależność do stowarzyszeń podziemnych, albo podejrzenia i fałszywe denuncjacje. Ale nie ma

celu pozwalać sobie na pobożne życzenia. Większość Włochów kocha wolność i potajemnie tęskni za jej przywróceniem, lecz do tej pory oszukiwali sami siebie, myśląc, że otrzymają ją w podarku.

Włoska Partia Socjalistyczna sądzi, że nadeszła pora zrucenia jak najpoważniejszego i publicznego wezwania do wszystkich jej członków, do wszystkich stronnictw opozycyjnych, a poprzez nie, do całego kraju.

Włosi!

Wyzwolenie waszego kraju może być dziełem tylko was samych. Niema cudów, na nic fortele, na nic psoty, nie ma skrótów w tej drodze. Nic nie może Wam oszczędzić ciężkich i bolesnych poświęceń, których wymaga zdobycie wolności. Koniec faszyzmu będzie rzeczywistością. Musimy uniknąć niebezpieczeństwa wpadnięcia spod jednej dyktatury pod inną dyktaturę, z rąk jednej zgrai bandytów w ręce innej zgrai, z łap jednej mafii w łapy innej mafii, musimy być rzeczywistymi panami swej doli. Powiedzcie się nam to tylko o tyle i tylko pod tym warunkiem, że zapagniemy walczyć i poświęcić się dla sprawy wolności.

Wolność, narzucona przez armie obce, nie jest wolnością prawdziwą. Demokracja przyniesiona przez odważną awangardę w drodze zamachu stanu nie jest prawdziwą demokracją. Stopień wolności i demokracji we Włoszech po-faszystowskich zależy będzie w mniejszym lub większym stopniu od udziału ludu włoskiego w rozstrzygającej walce o swe wyzwolenie.

Wydarzenia dnia jutrzejszego zależą od postanowień dnia dzisiejszego. Nadeszła godzina przystąpienia do opozycji czynnej. Wybiła godzina oczenia honoru i przyszości ludu włoskiego. Od naszej akcji zależy, by koniec dyktatury faszystowskiej zbiegł się ze zmartwychwstaniem Włoch prawdziwych.

Anty-faszyści przejść muszą od fazy propagandy do fazy niemaskowanej opozycji. Imperatywną koniecznością chwili jest, by większość przeciw-faszystowska objawiła się bez maski; by każdy Włoch zachowywał się zgodnie ze swoim wewnętrznym przeświadczeniem; by każdy świadomy przeciwnik faszyzmu zaniechał współpracy z reżimem; by każdy świadomy przeciwnik wojny zaniechał pomagania faszystowskiej maszynie wojennej.

Włoska Partia Socjalistyczna wzywa wszystkich swych członków, wzywa antyfaszystów wszystkich przekonań politycznych, wzywa cały lud włoski do nieposłuszeństwa cywilnego.

Nieposłuszeństwo cywilne nie oznacza jawnej rewolty. Nie eszcze. Nie oznacza ono strajku powszechnego. Nie jeszcze. Nie oznacza jeszcze ono rozpoczęcia gwałtownej ofensywy, która obali dyktaturę faszystowską. Nieposłuszeństwo cywilne jest przede wszystkim aktem świadomości indywidualnej. Każdy uczciwy Włoch musi czuć najgłębszy wstręt do współpracy z reżimem, którego nienawidzi i który prowadzi wojnę niesławną.

Nieposłuszeństwo cywilne oznacza przede wszystkim bunt duszy, odmowę jakiegokolwiek solidarności z reżimem, na który rozum ludzki i sumienie ludzkie wydały wyrok potępiający. Jeżeli kampanię tę podejmie duża część ludności, nieposłuszeństwo cywilne stanie się potężną bronią polityczną, która może sparaliżować maszynę ucisku faszystowskiej dyktatury i przyspieszyć jej obalenie. Jest to, co więcej, wojna bezkrwawa, którą może podjąć każdy.

Nieposłuszeństwo oznacza ignorowanie praw, dekretów i rozporządzeń wydawanych przez władzę faszystowską, oznacza postępowanie, jak gdyby one nie istniały.

Nieposłuszeństwo oznacza — w innych wypadkach — jak najściślejsze stosowanie się do praw, dekretów i rozporządzeń wydawanych przez władze faszystowskie, o ile dosłowne ich przestrzeganie może prowadzić do wyników zgoła przeciwnych tym, do jakich zmierzały faszystowskie władze.

Nieposłuszeństwo oznacza stosowanie praw faszystowskich wbrew ich intencji. Oznacza ono tworzenie nieładu i zamieszania w urzędach, oznacza ich sabotowanie i obstrukcję.

Nieposłuszeństwo oznacza odmowę płacenia podatków oraz rachunków za gaz lub elektryczność albo płacenie ich z opóźnieniem, lub pod złym adresem.

Nieposłuszeństwo oznacza podnoszenie żądań, protestów i wezwań przy każdej możliwej sposobności, niepokojenie straży ogniowej, policji i sądownictwa bez potrzeby lub dla błahych przyczyn.

Nieposłuszeństwo oznacza powolną pracę, o ile praca ta ma jakikolwiek związek z fabrykami państwowymi lub przemysłem wojennym.

Nieposłuszeństwo oznacza odmowę składania przysięgi.

Nieposłuszeństwo oznacza mówienie prawdy i demaskowanie kłamstwa.

Nieposłuszeństwo cywilne nakłada różne obowiązki na każdą klasę ludu włoskiego. Robotnicy muszą sabotować produkcję wojenną. Chłopi muszą odmawiać dostarczania płodów rolnych do składnic rządowych. Kolarze i tramwajarze muszą osłabiać tempo systemu transportowego. Urzędnicy rządowi muszą pracować tak, by stwarzać zamęt w swych urzędach. Przymusowi członkowie organizacji faszystowskich muszą masowo z nich występować, albo żądać głosu na zebraniach faszystowskich i dawać wyraz swym żalom na działaczy faszystowskich. Studenci i nauczyciele muszą odmawiać udziału w ceremoniach faszystowskich w swych szkołach, albo też muszą korzystać ze sposobności by dawać wyraz swemu przywiązaniu do sprawy wolności. Oficerowie

muszą odmawiać użyczania swych jednostek do działań policyjnych, lub też bronić muszą tłumów przeciw wszelkiemu aktowi agresji ze strony faszystowskiej policji i milicji.

Włosi!

Nieposłuszeństwo cywilne może nadać sens moralny naszej wywoleńczej walce i przyspiesza jej nadejście. Jednoczy ono polityczne problemy naszego kraju z odpowiedzialnością moralną. Zespala ono w sumieniu każdego Włocha żądania myśli i obowiązki akcji. Rozgrzewa ono duszę entuzjazmem, bezinteresownością i śmiałością w walce o zdobycie wolności.

Nieposłuszeństwo cywilne będzie etapem w historii naszego kraju. Anty-faszyzm przędzie z okresu pogłosek i szeptów lub czekania na cud — do okresu akcji. Tym samym anty-faszyzm zda sobie sprawę z swej własnej siły.

To, czego Partia Socjalistyczna żąda od każdego Włocha, jest czymś niezwykłym, lecz nie niemożliwym. Nieposłuszeństwo cywilne odśloni Włochowi jego prawdziwą istotę. Dzięki niemu, odzyska on utraconą odwagę, wiarę w skuteczność świadomej akcji, zadowolenie jakie daje postępowanie w zgodzie z własną duszą.

Nieposłuszeństwo cywilne wyzwala jednostkę z okropnej izolacji, w jakiej trzyma ją dyktatura. Jednostka nie będzie już więcej czuła się samotna. Więzy przyjaźni, solidarności i braterstwa utworzą się spontanicznie wokół niej, jako żywe komórki nowego społeczeństwa wolnych ludzi, za którym wszyscy tęsknimy.

Radykalna zmiana w naszym własnym łonie jest warunkiem radykalnej zmiany w kraju.

Socjaliści włoscy, następcy i uczniowie Jakóba Matteottiego, dać muszą przykład całemu ludowi. Każdy socjalista organizować musi kampanię nieposłuszeństwa cywilnego. Rozpoczęcie walki wymaga od naszych najlepszych towarzyszy ochotnego aktu bezinteresowności, odnowienia się w sobie i odwagi.

Padną ofiary, lecz lepiej jest żyć przez jeden dzień jako wolny człowiek, niż przez sto lat żyć jako niewolnik. Przykład, jaki dadzą socjaliści, zachęci i innych. Gdy ruch nieposłuszeństwa cywilnego ogarnie szerokie masy, stanie się on nieodpartą siłą, która rozwali tamy dyktatury.

I droga, i cel jasno są wytyczone.

Naprzód, za wolność i pokój!

Dość już wojny! Dość już faszyzmu!

Włoska Partia Socjalistyczna.

Treść odezwy powyższej jest dostatecznie doniosła dla oceny sytuacji wewnątrz Włoch. Równie doniosłe jednak jest zbadanie jej efektów. Oto sprawozdanie:

„Kampanii, wzywającej do położenia kresu wojnie i faszyzmowi, oczywiście nie powiodło się zmienić zupełnie całej sytuacji politycznej. Atoli partia nasza, Włoska Partia Socjalistyczna, która była inicjatorką całej tej akcji, uzyskała sposobność zbadania sytuacji politycznej i nastrojów ludności. Zbyteczne byłoby podawać liczbę mężczyzn, kobiet i młodzieży, robotników, ludzi z klas średnich i chłopów, których pobito i aresztowano podczas kampanii i po niej. Aresztowano nawet uczniów szkół średnich za rozdawanie manifestu wśród kolegów. Wielu naszych starszych towarzyszy, którzy od lat nie brali żadnego udziału w działalności politycznej, aresztowano wyłącznie na podstawie podejrzenia, że czytali manifest. Wielu naszych towarzyszy aresztowano i są oni wciąż pod nadzorem policyjnym. Przedmieścia, a zwłaszcza te dzielnice miasta, gdzie było najwięcej manifestów i napisów na murach, były przeszukiwane nie tylko przez patrole policyjne ale także przez milicję faszystowską a nawet wojsko. Patrole przetrząsały wszystkie gmachy publiczne i zatrzymywały każdego przechodnia wyglądającego na robotnika. Zależnie od swego uznania, patrole zakuwały ludzi w kajdanki.

Nadzwyczaj zachęcające doświadczenie dał nam sposób użycia naszego materiału propagandowego: kopie naszego manifestu i afiszyki do naklejania na murach mnożyły się jak ryba św. Piotra. Robotnicy, pracownicy umysłowi, kobiety i nawet młodzi chłopcy powielali odbitki z własnej inicjatywy. W dzień po pierwszym rozdawnictwie w Turynie, Genui, Mediolanie, Bolonii, Trieście, Spezii, Liworno, Rzymie i Neapolu zmobilizowano strażę miejskie i zamiataczy ulic oraz policję do zamalowywania napisów na murach bielidłem lub smołą. W Mediolanie robota szła bez przerwy, gdyż z zapadnięciem zmroku pojawiały się napisy gęściej niż kiedykolwiek.

W innym ośrodku przemysłowym kampania wzbudziła wielkie zainteresowanie wśród żołnierzy. Materiał propagandowy krążył zwłaszcza w koszarach i magazynach. W pewnym hotelu w owym mieście, gdzie zakwaterowani byli oficerowie niemieccy, mury były dosłownie utynkowane napisami przeciw wojnie i Osi. W innym jeszcze mieście kampania nasza zbiegła się z demonstracjami przeciw niedostatecznym racjom chleba. Dziennik faszystowski „Il Telegrafo” w Liworno, omawiał tymi słowami ową całotygodniową kampanię, oczywiście nie wzmiankując jej otwarcie: Odkąd nieprzyjaciele narodu pragną zizolować faszystów nawet w naszym własnym kraju, trzeba dać im odpowiedź pełniejszym zjednoczeniem się, blokiem wszystkich Włochów wokół Mussoliniego”.

Jak z powyższego sprawozdania wynika, akcja opisywana nie wyszła poza stadium agitacyjne. Natomiast wolno wnioskować, że agitacja zatoczyła dość szerokie kręgi.

Obie powyższe odezwy Włoskiej Partii Socjalistycznej nie były ani ostatnie ani jedyne. Dowodem łączności konspiracyjnych ruchów socjalistycznych jest przedrukowanie innej włoskiej odezwy socjalistycznej w podziemnym „Le Populaire” francuskim.

6 MILIONÓW WŁOCHÓW W AMERYCE

Znane nam dokumenty, pochodzące z Włoch samych, nie kreślą programu na przyszłość dla Włoch wyzwolonych. Program taki został sformułowany poza granicami Włoch, mianowicie w Ameryce. W sierpniu 1942 r. odbył się w Montevideo kongres „wolnych Włochów”, na którym przewodnikiem Zjednoczonego Ruchu Demokratycznych Włochów za granicą wybrany został Carlo Sforza. Upoważniony on został do sformowania Komitetu Narodowego, mającego na celu społeczną i demokratyczną republikę włoską, z tym, że ustrój nowego państwa zostanie ustalony przez swobodnie wybrane zgromadzenie konstytucyjne.

Carlo Sforza, były dyplomata włoski, minister spraw zagranicznych w latach 1920-21, potem senator, usunął się ze służby dyplomatycznej po dojściu faszyzmu do władzy. Aż do roku 1926 przewodził opozycji demokratycznej, po czym wyjechał za granicę. Jest autorem wielu książek, obecnie liczy lat 60.

Program swój określił w liście do „New York Times” z dnia 21 stycznia 1942. Oto tekst tego listu:

1) Po uwolnieniu z pod ucisku hitlerowsko-faszystowskiego, lud włoski nada sobie swe urzędzenia polityczne.

2) Wszyscy Włosi podporządkują się wynikom swobodnego plebiscytu. A jeśli — co jest prawdopodobne — wybór narodu padnie na demokratyczną republikę, wszystko co mnie dochodzi z Włoch daje mi bezwzględną pewność, iż nie będzie opozycji ni urazy z żadnej strony; zgoła naodwrot. Wszakże jeden z najwyższych i najstarszych przed-faszystowskich dostojników włoskich napisał przed kilku tygodniami: „Czyż możemy popierać samobójstwo?”

3) Lecz instytucje niewiele znaczą bez ludzi. Wolne Włochy potrzebować będą ludzi, którzy wiedzą, iż najpewniejszą drogą obrony demokracji i nadejścia wyższej sprawiedliwości społecznej jest rygorystyczne poszanowanie prawa. Ludzie tacy istnieją nawet na tych jałowych wyspach, na które zesłał ich faszyzm. Po latach demagogicznych szarlatanów, Włochy będą wiedziały, na kogo ma paść wybór.

4) Stara humanistyczna cywilizacja włoska odnajdzie nieodzowną równowagę pomiędzy wolnością ducha a organizacją gospodarczą. Decentralizacja, oparta na naszych najlepszych tradycjach intelektualnych, dopomoże do stworzenia nowej atmosfery całkowitej wolności myśli, prasy i — oczywiście — wierzeń religijnych.

5) System sądowy całkowicie niezależny zapoczątkuje nową erę najsurowszymi sankcjami na tych, którzy na najwyższych stanowiskach złamali swą uroczystą przysięgę. Taka surowa sprawiedliwość umożliwi przebaczenie tym, którzy grzeszyli głównie z lęku lub nieświadomości. Tym samym powstaną Włochy pokoju, a nie pomsty.

6) Nowy rząd włoski już przez to, że złożony z ludzi, którzy powitali Kartę Atlantycką z r. 1941 jako szlachetną odezwę sprawiedliwości ludzkiej, posiadać będzie autorytet, by nalegać na słuszny podział surowców potrzebnych ludowi włoskiemu do podtrzymania swej świetnej tradycji inteligentnej pracy.

7) My Włosi wiemy, że te i inne problemy społeczne i gospodarcze mogą być rozwiązane jedynie w świecie opartym na solidarności międzynarodowej, gdzie nie będzie już

miejsca na anarchiczną niezależność nacjonalistycznych państw. Oto dlaczego wolne Włochy użyć swego najgorętszego poparcia nadejściu takiego to zorganizowanego świata. Wszakże dowodem anty-włoskiego charakteru faszyzmu jest fakt, że nasze najszlachetniejsze tradycje intelektualne, od Dantego po Mazziniego, przejęte są duchem międzynarodowym bardziej niż czymkolwiek innym.

8) Włosi współpracować będą z odwagą i pogodą ducha nad rozwiązaniem wszelkich problemów międzynarodowych, ich dotyczących, pod jednym tylko warunkiem, iż dyskutować się będzie nie problemy włoskie jako takie, lecz włoski aspekt problemów europejskich. Oczywiście, w Europie jutra narodowości pozostać muszą żywym płomieniem myśli i sztuki; lecz nigdy więcej nic mogą one stać się pretekstem dla agresji. Jako Włoch nigdy nie zapominał, że nieśmiertelny nasz Mazzini pisał: „Kocham mój kraj, ponieważ kocham wszystkie kraje“.

Tych kilka dokumentów rzuca snop światła na troski i nadzieje ruchu wyzwolenczego włoskiego. Resztę powiedzą szybko toczące się wydarzenia zarówno wewnątrz Włoch (strajki marcowe w Mediolanie, Turynie, Neapolu; kwietniowe w Trieście; majowe w Istrii) jak przede wszystkim na froncie militarnym. Inwazja Sycylii jest zwrotnym punktem tej wojny. Zwycięski oręż sprzymierzonych oczyszcza Włochy z faszyzmu, torując drogę wolności ludu włoskiego.

LUCJAN BLIT

SZMUL ZYGIELBOJM

Są ludzie, których nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi. Z dumą obnoszą swoje uśmieczone twarze. Nie czynią tego, by się upodobnić do gospodarzy tej wyspy. Nie. Po prostu jest im dobrze. Czasami przemawiają. Wtedy oczywiście mówią o „okrutnym losie“, i o „barbarzyństwie“. Ale to się ich nie tyczy. Tylko tamtych, prawie już zapomnianych w jakże dalekim „kraju lat dziecięcych“.

Ale Szmul Zygielbojm nie zapominał. Nie zadowolił się na Porchester Square. Nie umiał mądrze podzielić swego życia na część „społeczną“, gdzie trzeba i należy śmętnie reprezentować dalekie cierpienia, a część zwaną „prywatną“, czy osobistą, a w każdym razie zupełnie inną.

Bo Zygielbojm wciąż jeszcze był w Polsce. Tak jak w niej był przez 45 lat swego życia. Z początku w Borowicach, w lubelskiej pół-wiosce, pół-mieście, gdzie matka, krawcowa „do wszystkiego“, doglądała go wraz z jeszcze dziesięciorgiem rodzeństwa. A od 8 roku życia „podróże co kształcą“ w poszukiwaniu pracy i zarobku. Nauka rzemiosła u stolarza, piekarza a w końcu u rękawicznika. Nigdy w żadnej szkole. Historia naturalna żydowskiego robotnika sprzed czterdziestu laty.

Mimo to wcześniej zaczął czytać.

Wpierw po żydowsku, a potem po polsku. Pereca i Żeromskiego, Szolem-Alejchema i Sienkiewicza. A od 17 roku życia był już członkiem Partii. Nasiąkł wtedy całym romantyzmem rewolucyjnej walki przeciwko caratowi.

... Aż przyszedł wrzesień 1939 roku. Zygielbojm był już w Bundzie znanym i popularnym „towarzyszem Arturem“. Należał do Komitetu Centralnego partii, do kierownictwa związków zawodowych. Miał za sobą warszawską radę miejską, był radnym robotniczej „czerwonej“ Łodzi. I oto przyszła chwila zdania egzaminu. Z całego życia. I trzeba było jeszcze raz zaśpiewać „Na barykadzie“. Najwznieślij, najprawdziwiej. Tylko bez nadziei młodzieńczych.

Znalazł się w Warszawie. Jakżeż zmienionej. Bez kwiatów i bez urzędników. W Warszawie, która stała się zaporą przeciwczołgową. I fortecą, której załogą byli żołnierze i robotnicy, sklepikarki a nawet dzieci. Zygielbojm wziął na siebie „północną dzielnicę“. Trzeba było ludzi podtrzymać na duchu. Robił to dziennik bundowski „Naje Folkscajtung“. W nim ukazał się artykuł, podpisany inicjałami: Z.A. (literacki pseudonim Zygielbojma — Artura), który z całą mocą protestował przeciwko „wyzwalającemu“ marszowi wojsk sowieckich w kierunku Bugu...)

Tenże artykuł, jak mi opowiadał Henryk Erlich w listopadzie 1941 r. w Kujbyszewie, był jednym z podstawowych motywów wyroku śmierci, zapadłego w stosunku do niego w lipcu b.r. w Saratowie).

Wróg przed zajęciem stołkiy zażądał wyznaczenia dwunastu zakładników. Wśród nich, na żądanie okupanta, musiał się znaleźć przedstawiciel robotników żydowskich. Prezydent Starzyński zwrócił się do Bundu o wyznaczenie zakładnika. Zygielbojm uważał za rzecz samo przez się zrozumiałą, że na nim ciąży obowiązek „reprezentowania” swej partii w tym gronie kandydatów na skazańców. Był nim przez 4 miesiące — aż do chwili udanej ucieczki do Belgii.

I takie same żądanie zostało wysunięte przy utworzeniu żydowskiej Rady Starszych, powstałej na miejscu rozwiązywanej Warszawskiej Gminy Żydowskiej. I do niej poszedł Zygielbojm. W październiku 1939 r. Gestapo zaarrestowało połowę Rady, a drugiej połowie rozkazało, pod groźbą rozstrzelania, w ciągu 3 dni „dobrowolnie” urządzić ghetto żydowskie w Warszawie i przesiedlić do niego wszystkich Żydów, mieszkających dotąd poza wyznaczoną dzielnicą. Ludzie byli na śmierć wystraszeni. Nikt nie wątpił w możliwość wykonania zapowiedzianej przez Gestapo represji. Zygielbojm, ten podwójny zakładnik, nie zawahał się. Zażądał na posiedzeniu Rady odrzucenia bezwstydnego żądania Gestapo. Większość postanowiła, bez otwartego wypowiedzenia się w tej sprawie, spróbować zmienić decyzję Gestapo przez interwencje u władz wojskowych. Ale Zygielbojm postanowił działać bezpośrednio. Na wielkim podwórzu Gminy (Grzybowska, 26) zgromadziło się kilka tysięcy ludzi, oczekujących z największym napięciem wiadomości o grożącym im niebezpieczeństwie. Do nich przemówił Zygielbojm. O wrogu, o hańbie, o dumie. „Dobrowolnie nie pójdziemy do ghetta“.

A równocześnie z ludźmi, którzy

dotąd zajmowali raczej mniej odpowiedzialne stanowiska w partii, budował nową, nielegalną organizację żydowskich socjalistów. Na miejscu wielkiego dziennika, całego szeregu tygodników trzeba było zacząć od małej odezwy, od 4 stronicowego miesięcznego pisemka. Ale zaraz później zaczęły regularnie się ukazywać: „Biuletyn“ — tygodnik w języku żydowskim, „Za Naszą i Waszą Wolność“ — miesięcznik po polsku, „Jugnt-Sztyme“ — dwutygodnik młodzieży socjalistycznej. A poza tym odezwy, często w dwóch językach, specjalne wydawnictwa a nawet broszury. Trzeba było pomóc i innym. Opowiedzą o tym kiedyś kierownicy polskich organizacji nielegalnych. Opowiedzą specjalnie o bohaterstwie drukarzy z ghetta... I to było przyczyną, że podczas jednej nocy w czerwcu 1942 roku, Gestapo przed domami, gdzie mieszkali, zostawiło trupy 53 żydowskich zerców i drukarzy.

Opowiadał mi kiedyś Zygielbojm o pierwszym zebraniu kadry, liczącej około 50 ludzi, która stała się zaczątkiem tego ruchu, który w styczniu i w maju 1943 r. odpowiedział barykadami na niemieckie kamery gazowe. Wymieniał nazwisko każdego z nich.

— To nie są ci sami ludzie, których znaleźmy przed wojną. Oni są inni. Tacy są mądry, tak dokładnie widzą niebezpieczeństwo i... tak mało go się boją.

... Później był w Londynie. I widział ludzi, którzy wcale nie widzieli niebezpieczeństwa. Ale za to bardzo się bali...

Nie dawała mu spokoju obojętność i grzeszne przyrzeczenia. Żył wciąż Warszawą. Tą z września. Tą walczącą i cierpiącą. Był wciąż jeszcze na zebraniu kadry nielegalnych swoich towarzyszy. Był z nimi w wagonie, wiozącym ich do Tremblinkii. Liczył echo każdego strzału z samotnej barykady na Smoczej.

Od nich tu przyszedł. Do nich musiał wrócić.